

STEVEN BRUST

FENIKS

PIĄTY TOM SERII
VLAD TALTOS



Spis treści

KARTA TYTUŁOWA



Podziękowania



Wstęp

Część pierwsza Kwestie techniczne

Lekcja pierwsza Negocjowanie kontraktu

Lekcja druga Transport

Lekcja trzecia Zabójstwo doskonałe

Lekcja czwarta Pójście w zaparte na przesłuchaniu

Lekcja piąta Powrót do domu

Część druga Kwestie zawodowe

Lekcja szósta Postępowanie z pośrednikami

Lekcja siódma Racje stanu

Lekcja ósma Postępowanie z pośrednikami II

Lekcja dziewiąta Zawieranie przyjaźni I

Lekcja dziesiąta Zawieranie przyjaźni II

Lekcja jedenasta Racja stanu II

Lekcja dwunasta Umiejętności przetrwania - podstawowe

Lekcja trzynasta Umiejętność przeżycia - zaawansowana

Lekcja czternasta Podstawy zdrady

Część trzecia Kwestie estetyczne

Lekcja piętnasta Improwizacja

Lekcja szesnasta Postępowanie z kierownictwem I

Lekcja siedemnasta Postępowanie z kierownictwem II

Epilog

STEVEN BRUST

FENIKS



Przełożył: Jarosław Kotarski



REBIS
2003



Nadal jeszcze żonaty, ale już normalny Vlad zostaje wynajęty przez swą boginię—opiekunkę Verrę. Ma zabić władcę wyspy położonej nieopodal kontynentu, na którym leży Adrilankha. Zadanie oczywiście wykonuje, bo któż odmawia bóstwu, ale to dopiero początek. Odkochany, kierując się lojalnością, ratuje Cawti z więzienia co prowadzi do otwartego konfliktu z całym Domem Jherega.

Dla Pam i Dawida

Podziękowania

Na podziękowania za pomoc w przygotowaniu tej książki zasłużyli: Emma Bull, Pamela Dean, Kara Dalkey, Will Shetterly, Fred A. Levy Haskell, Terri Windling i Beth Fleisher.

Dziękuję także mojej matce, Jean Brust, za rozmaite polityczne uwagi oraz Gail Cathryn i Adrian Morgan za pomoc przy opracowaniu historii Dragaerian. Dziękuję Robinowi „Adnanowi” Andersowi za „perkusyjną” pomoc. I na koniec dziękuję mojemu współmieszkańcowi Jasonowi — gdyby nie jego telewizyjne upodobania, książka ta zostałaby ukończona znacznie później.



*Feniks ponownie rozpada się w kurz,
Smok groźny na łów wyrusza już.
Lyorn dziś warczy, opuszcza róg,
Przed tiassy snami umyka wróg.
Sokoła na niebie znak wartownika,
Dzur cieniem przez noc przenika.
Issola uderza zdradziecko i cicho,
Tsalmoth jak żyje, wie tylko lichy.
Valista na zmianę niszczy i stwarza,
Cichy iorich zna, nie powtarza,
Jhereg tym żyje, co ma po innych,
Chreotha plecie sieć na niewinnych.
Yendi wystrzela zabójczym splotem,
Jhegaala co robi, dowiesz się potem.
Athyra w myśli milczkiem się wkrada,
Strachliwa teckla w trawach jak zjawia.
Orka przemierza podmorskie gaje,
A szary Feniks z popiołów wstaje.*

Wstęp

Cały czas słyszę od różnych osób pytania, w jaki sposób to robię i jakim cudem jestem tak dobry w zabijaniu ludzi. Co śmielsi pytają, jaki jest mój sekret. A prawda jest taka, że nie ma żadnego sekretu. To fach jak każdy inny. Jeden jest dobry w robieniu butów, inny w tynkowaniu ścian, a ja w zabijaniu. Zasada jest taka sama: trzeba się nauczyć zawodu i ćwiczyć, aż nie osiągnie się wprawy. Potem człowiek zaczyna być dobry w tym, co robi.

Ostatni raz byłem na robocie w okresie powstania, czyli w miesiącu Athyry 234 roku po Bezkrólewiu. Aktywność zawodową zakończyłem w miesiącu Feniksa roku następnego, bo trochę mi się zeszło. Prawdę mówiąc, z powstaniem miało to niewiele wspólnego, bo w zasadzie nie brałem w nim udziału. A tak zupełnie szczerze, to byłem chyba jedynym człowiekiem w okolicy, który nie miał pojęcia, że się na nie zanosi. Było to spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę masowe wiece odbywające się nawet w moim sąsiedztwie i ciągłą obecność gwardii na ulicach. Cóż, czasami naprawdę jestem zdolny...

A oto krótki poradnik zawodowego zabójcy (z przykładami naturalnie).

Część pierwsza _____

Kwestie techniczne

Lekcja pierwsza

Negocjowanie kontraktu

Nie wiem, jak to jest z innymi, ale jeśli chodzi o mnie, to wychodzi na to, że kiedy wszystko zaczyna się pieprzyć — żona jest gotowa odejść, świat wywraca się do góry nogami i zaczynam wątpić we wszystko, co dotąd było pewne — najlepszym lekarstwem jest ktoś, kto próbuje mnie zabić. Natychmiast przestaję myśleć o pierdołach.

Tak właśnie było w tym wypadku.

Znajdowałem się w piwnicy brzydkiego, piętrowego domu o drewnianej konstrukcji stojącego w Południowej Adrilance. Dokładniej przycupnąłem za pozostałością ceglanej ściany jakieś piętnaście stóp od schodów. W sumie niedaleko, tylko że miałem dziwną pewność, że jeśli wystawię głowę zza osłony, to ją stracę. Przed chwilą właśnie omal się tak nie stało. Sytuacja była niewesoła. Miałem zamiar wezwać posiłki — gdy tylko będę w stanie. Albo teleportować się — gdy tylko się da. Ale nie wyglądało na to, by miało to nastąpić szybko.

Naturalnie nie znaczyło to, że byłem bezbronny albo bezradny. Cały arsenał miałem przy sobie, a poza tym towarzyszył mi mój familiar. Jak każdej porządnej wiedźmie niezależnie od płci. Moim familiarem był jhereg — niewielki latający gad połączony ze mną telepatyczną więzią. Odważny, lojalny, godny zaufania...

Szefie, jak ci się wydaje, że polecę przodem, to wybij to sobie z głowy!

I to by było na tyle.

Dość komplementów. Następny pomysł.

Pora na magię — postawiłem taką barierę, jaką mogłem (przyznaję, że nie najlepszą), wyjąłem dwa noże i wziąłem głęboki oddech. Skoczyłem w lewo, przetoczyłem się, kończąc przykłękami, i cisnąłem oba równocześnie, po czym potoczyłem się dalej. Naturalnie w nikogo nie trafiłem, ale nie o to mi chodziło. Przestałem być widoczny ze schodów, a tam właśnie znajdował się napastnik. I jedyna droga do wolności. Loiosh przeleciał pod sufitem i dołączył do mnie bez problemu.

W powietrzu zasyczało i parę magicznych wyładowań rąbnęło w murek i w podłogę; przestało mi się to podobać. Dobry mag powinien mnie w ten sposób usmażyć w połowie drogi. A zły nie powinien tego w ogóle umieć.

Odchrząknąłem i spytałem uprzejmie:

— Możemy ponegocjować?

Seria kolejnych wyładowań trafiła w ścianę, za którą stałem. Posypał się tynk, więc na wszelki wypadek podparłem ją magiczną osłoną. Nie lubię, jak mi cegły na łeb lecą. Odpowiedź uznałem za wystarczającą.

Przyszedł czas na pracę koncepcyjną.

Loiosh, masz jakiś pomysł?

Zaproponuj, żeby się poddali.

To on nie jest sam?

Widziałem trzech.

Pięknie; masz inny pomysł?

Poproś Melestava o przysłanie obstawy.

Nie mogę się z nim skontaktować.

A z Morrolanem?

Też nie.

Aliera? Sethra?

To samo.

Nie podoba mi się to, szefie. Kragar i Melestav to jedno, ale...

Wiem.

Blokada obejmuje też teleportację?

Obejmuje, próbowałem! Nie sądziłem, że można zablokować tele...

Dalszą konwersację przerwała mi seria ostrych i niemiłych przedmiotów, które nagle wyprysnęły z za rogu. Ponieważ wysłano je przy użyciu magii, zdołałem je zablokować. Z trudem — magiem jestem raczej kiepskim. Posypały się z brzękiem na podłogę, a ja poruszyłem lewym nadgarstkiem i w dłoni poczułem znajomy kształt Spellbreakera. Prawą dobytek z pochwy rapier.

Zaczynałem być zły.

Ostrożnie, szefie! Nie...

Wiem. Jak uważasz, kim oni są? Ludźmi nie, bo używają magii. Wysłannikami Imperium też nie, bo przedstawiciele władz nie urządzają zasadzek. Do organizacji nie należą, bo zamiast głupio się bawić, już by mnie zabili. Więc kim są?!

Nie wiem, szefie.

Chyba im się przyjrzę...

Tylko bez szaleństw, szefie.

Coś się nagle taki troskliwy zrobił?

Prychnąłem.

Byłem już nieźle wkurzony. Zakręciłem młynka Spellbreakerem, zgrzytnąłem zębami i jak zwykle wzniosłem

krótką modlitwę do Verry, Bogini Demonów. I już miałem zaatakować, gdy zdarzyło się coś naprawdę niezwykłego.

Moja modlitwa została wysłuchana.

* * *

Nie żebym jej nigdy wcześniej nie widział. Zdarzyło mi się już, choć na szczęście tylko raz, brać udział w wyprawie przez parę tysięcy mil nadnaturalnych horrorów zwanych Ścieżkami Umarłych. Czyli przez rejon, w którym rządzą bogowie. Przeżyłem, ale powtarzać tego nie miałem najmniejszego zamiaru.

Miałem wtedy okazję ją poznać. Mój dziadek wyraża się o niej z rewerencją i podziwem, ja nadal pozostałem przy dragaeriańskim podejściu. A Dragaerianie o bogach mówią tak samo jak o brudnej bieliźnie. I to nie dlatego, by wątpili w ich realność czy moc; ot, różnica w podejściu. Ja odruchowo wzywałem ją przed każdym wyjątkowo ryzykownym posunięciem — robiłem tak, zanim ją poznałem, i robiłem to później. I jak dotąd nigdy nic z tego nie wyniknęło.

No, może raz...

Ale w sumie to raczej nie...

Zresztą nieważne.

Tym razem wyniknęło i to się liczyło.

Niespodziewanie znalazłem się Gdzieniebądź, bo trudno to inaczej określić. Raz, że nie wiadomo gdzie, dwa, że w ogóle nie czułem, żebym został gdzieś przemieszczony, a przecież przy moim delikatnym żołądku konsekwencje każdej teleportacji były nieuniknione. Stałem w korytarzu gabarytami przekraczającym salę bankietową Czarnego Zamku. Tyle że białym. Sufit musiał

znajdować się co najmniej sto stóp nad moją głową, a ściany dzieliło od siebie najmarniej ze czterdzieści stóp. Przed każdą znajdował się rząd filarów ustawionych w odległości dobrych dwudziestu stóp od siebie. I o ile naturalnie zmysły mnie nie zawodziły, bo wszystko było nieskazitelnie białe, a to może wywoływać nawet poważne złudzenia. Końca korytarza ani z jednej, ani z drugiej strony widać nie było, a powietrze było przyjemnie chłodne. Jedynym zaś słyszalnym odgłosem był mój własny oddech. Bo tego, czy słyszę, czy tylko czuję bicie własnego serca, nie wiedziałem.

Loiosh z wrażenia się nie odzywał, co nie zdarzało mu się często. Najpierw pomyślałem, iż padłem ofiarą potężnej iluzji wywołanej przez napastników. Zresztą zaraz zmieniłem zdanie — każdy, kto byłby w stanie wywołać taką iluzję, mniejszym nakładem sił i środków mógłby zniszczyć mnie i dom, w którym mnie zobaczył, zanimbym się zorientował, że coś mi grozi.

A zaraz potem zobaczyłem koło siebie czarnego kota. Siedział dwie stopy ode mnie i przyglądał mi się. Widząc, że go zauważyłem, miauknął, wstał i pomaszerował w kierunku, w którym byłem zwrócony. Wzruszyłem ramionami i poszedłem za nim, wychodząc z założenia, że na pewno nie znalazł się tu przypadkiem.

Odgłos moich kroków rozbrzmiewał dziwnie głośno, co z niezrozumiałego powodu miało krzepiący wpływ na moje morale. Na wszelki wypadek schowałem rapier do pochwy — nigdy nie wiadomo, co może poirytować boginię.

I tak maszerowaliśmy biegnącym prościutko korytarzem, aż doszliśmy do przegradzającej go ściany mgły. Kot usiadł sobie przed nią i spojrzał na mnie wyczekująco.

A Loiosh odezwał się po raz pierwszy:

Szefie, mamy ją spotkać?

Sądzę, że tak.

Cholera!

Już się z nią spotkałeś...

Pamiętam!

To czego desperujesz?

Kot wstał, wszedł w mgłę i zniknął.

Poszedłem za nim.

Po jakichś dziesięciu krokach ścian już nie widziałem, a powietrze stało się znacznie chłodniejsze. Poczułem się tak, jakbym wrócił do piwnicy... Przede mną pojawiły się drzwi. A raczej odrzwia — dwuskrzydłowe i co najmniej dwa razy wyższe niż ja. Zobaczyłem je w momencie, gdy już się otwierały. Powoli, majestatycznie i teatralnie. Przez moment zastanawiałem się, czy poczekać, aż otworzą się całkowicie — wtedy mogłaby przez nie przejść kompania gwardii w paradnym szyku — czy przejść ledwie będzie dość szeroko. Zdecydowałem się poczekać.

Co chwilę potrwało.

Za drzwiami też była mgła. Wzruszyłem ramionami i przeszedłem przez nią.

Pomieszczenie, w którym się znalazłem, miało gabaryty przyzwoitego ogrodu, sądząc po tym, jak roznosił się w nim dźwięk. Tyle że z podłogą i sufitem.

Od przybycia minęło z dziesięć, może piętnaście minut. Loiosh cały czas był dziwnie małomówny, ale z tego, jak zaciskał pazury na moim ramieniu, odgadłem jego rosnące napięcie.

Po kilkunastu krokach dostrzegłem Verrę siedzącą na białym tronie ustawionym na białym podwyższeniu. Ubrana w białą

suknię. Co za mania z tą bielą?! Poczujęm się, jakbym był z innej bajki.

Wyglądała tak, jak ją zapamiętałem: wysoka i dziwnie obca, ale to ostatnie było trudne do sprecyzowania, gdyż nie sposób było się przyjrzeć jej twarzy na tyle dokładnie, by zapamiętać szczegóły. Wzrok jakoś tak sam się odwracał, kierując w inne miejsce. Może dlatego zauważyłem, że palców miała tyle samo co ja czy Dragaerianin, za to każdy posiadał dodatkowy staw. Jedynym niebiałym elementem były jej włosy, dziwnie przypominające płynącą wodę. Nie kolorem, a fakturą. Wyglądało na to, że jest w sali sama, i być może nawet tak było.

Wstała i zeszła z podestu.

Zatrzymałem się z dziesięć stóp przed nim, nie bardzo wiedząc, czy się uklonić, czy przyklęknąć. Więc nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego. Nie wyglądało na to, by jej z kolei zrobiło to jakąkolwiek różnicę.

— Wezwałeś mnie — powiedziała wyjątkowo cichym jak na boginię głosem.

Brzmiał nawet melodyjnie, choć zdawało się pobrzękiwać w nim echo.

Odchrząknąłem i wyjaśniłem:

— Miałem kłopoty.

— Wiem. Sporo czasu minęło od naszego ostatniego spotkania.

Ponownie odchrząknąłem.

— Tak.

Loiosh, zawsze taki pyskaty, nie odzywał się.

A ja nie bardzo wiedziałem, co rzec. W końcu miałem raczej małe doświadczenie w pogawędkach z bogami. Nawet z boginią —opiekunką, jeśli tak ją można określić. Ostatnim razem gadał głównie Morrolan.

— Chodź — poleciała.

Może uznała, że nic mądrego ode mnie nie usłyszy, jak długo by czekała...

W każdym razie poprowadziła mnie w głąb pomieszczenia. I w mgłę.

Na szczęście po kilku krokach dotarliśmy do drzwi prowadzących do innego pokoju — mniejszego i znacznie przyjemniejszego. Tym razem dominującą barwą był brąz, a oprócz dwóch wygodnych foteli był nawet kominek z płonącymi bierwionami. Poczekalem uprzejmię, aż Verra usiądzie pierwsza, po czym zająłem wolne miejsce i spojrzałem na nią wyczekująco. Wyglądaliśmy niczym para starych kompanów wspominających stare dzieje.

Musiała odezwać się pierwsza i w końcu to zrobiła:

— Jest coś, co możesz dla mnie zrobić.

Pokiwałem głową.

— Tego się spodziewałem.

— Dlaczego?

— Bo to wszystko wyjaśnia.

— Co wyjaśnia?

— Nie bardzo byłem w stanie zrozumieć, kto i dlaczego mnie zaatakował w tej piwnicy, a zwłaszcza dlaczego atak ograniczał się tylko do użycia magii.

— A uważasz, że teraz wiesz?

— Nie uważam. Wiem.

— A co porabiałeś w tej piwnicy?

Miałem ochotę powiedzieć, że to nie jej interes, ale ugryzłem się w język.

— Problemy rodzinne — wyjaśniłem i dodałem, widząc w jej oczach błysk prawie rozbawienia: — Moja żona ubrdała sobie

przyłączyć się do rewolucjonistów...

— Wiem.

Omiał nie spytałem skąd, nim się opamiętałem: w końcu była boginią.

— No to resztę już znasz. Skończyło się na tym, że parę tygodni temu wykupiłem całą dzielnicę, a raczej wykupiłem interesy od poprzedniego właściciela.

— I co zamierzasz?

— Zacząłem czyścić to bagno. Zamykać to, co parszywe, i zostawiać porządne lokale z piciem i hazardem, paserów i takie tam, ale bez wymuszeń, szantaży i porwań. Dochód nadal będzie spory, a spokój w dzielnicy powinien być większy.

— To niełatwe zadanie.

Wzruszyłem ramionami.

— Ale w ten sposób unikałem większych kłopotów.

— Całkowicie.

— No, może nie wszystkich...

Przez moment przyglądała mi się w milczeniu.

— A co to ma wspólnego z piwnicą? — spytała w końcu.

— Szukałem budynku nadającego się na moje biuro... W sumie to był impuls: zobaczyłem tabliczkę: „Do wynajęcia”, i postanowiłem sprawdzić...

— Bez obstawy?

— Szedłem do dziadka. Nie chodzę tam z obstawą — wyjaśniłem zgodnie z prawdą.

Dotąd uważałem, że jeżeli będę postępował w sposób nieprzewidywalny, nie muszę wszędzie chodzić w towarzystwie ochroniarzy. Przeważnie miałem rację.

— To mógł być błąd — oceniła.

— Mógł być. Ale wtedy musiałybyś poczekać na inną okazję.

Przecież nie kazałaś im mnie zabić, tylko nastraszyć.

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

— Więc sądzisz, że to ja wszystko zorganizowałam?

— Owszem.

— Dlaczego miałabym to zrobić?

— Z tego co wiem, większość bogów nie może sprowadzić do siebie śmiertelników ani komunikować się z nimi bezpośrednio, jeżeli nie zostaną przez nich wezwani.

— Nie wydajesz się rozzłoszczony, że tak postąpiłam.

— Byłaby to bezsilna złość, prawda?

— A ty nie lubisz być bezsilny, choć ostatnio często ci się to przytrafia.

Uśmiechnąłem się bez śladu wesołości.

— Pracuję nad tym — powiedziałem tonem raczej jasno wskazującym, że mam dość tego tematu.

Zrozumiała.

Pokiwała głową i nagle zauważyłem, że ma żółte oczy. Dziwne.

Nie wiem, czy ją lubię, szefie — oznajmił niespodziewanie Loiosh.

Wiem.

— No dobrze — odezwałem się głośno. — Skoro twój plan się udał, to może przejdziemy do rzeczy? Co chciałabyś, żebym zrobił?

— To, w czym jesteś najlepszy.

— Chcesz, żebym kogoś zabił? — Zwykle nie jestem aż tak bezpośredni, ale z boginią postanowiłem być bardziej szczery niż zazwyczaj. — Za bogów liczę ekstra.

Uśmiechnęła się.

— Nie musisz się martwić: chcę, żebyś zabił jedynie króla.

— A, to w takim razie żaden problem.

— To dobrze.

— Mam pytanie...

— Naturalnie zapłacę ci — powiedziała, ignorując mój głos.

— Mam pytanie...

— Obawiam się jednakże, że będziesz musiał zrobić to, nie dysponując częścią swych zwykłych możliwości, ale...

— Powiedziałem, że mam pytanie.

— Słucham?

— Dlaczego nazywają cię Boginią Demonów?

Nie przestała się uśmiechać, ale też nie odpowiedziała.

— No dobrze — skapitulowałem. — Powiedz mi o tej robocie.

— Na zachód od Imperium znajduje się wyspa. Nazywa się Greenaere.

— Wiem. Między Northport a Elde, zgadza się?

— Właśnie. Ma trochę ponad dwieście tysięcy mieszkańców, głównie rybaków, ale są tam też sady. Głównym towarem w handlu ze stałym lądem są owoce i klejnoty.

— Zamieszkują ją Dragaerianie? — upewniłem się.

— Tak, ale nie są poddanymi Imperium. Nie należą do żadnego domu i nie mają połączenia z Kulą. Mają za to Króla. I to on musi zginąć.

— Dlaczego sama go nie zabijesz?

— Bo nie mam takiej możliwości. Cała wyspa jest chroniona przed magią i ta ochrona uniemożliwia mi również pojawienie się tam.

— Dlaczego?

— Tego nie musisz wiedzieć.

— Aha.

— Za to musisz wiedzieć, że przebywając na wyspie, nie będziesz w stanie utrzymać więzi z Kulą i czerpać z niej mocy.

— Dlaczego tak jest?

— Tego też nie musisz wiedzieć.

— Mhm... Cóż, i tak rzadko używam magii.

— Wiem. I to główny powód, dla którego cię wybrałam.

Zrobisz to?

Miałem ochotę zapytać ją, dlaczego chce zabić tego całego króla, ale dałem sobie spokój — to w końcu nie był mój interes. Natomiast zapłata była, i to jak najbardziej.

— Jaka jest twoja propozycja? — zapytałem.

I miałem nadzieję, że nie odpowie, iż mi nie zapłaci, bo nie bardzo wiedziałem, co wtedy bym zrobił.

— A ile zwykle wynosi zapłata?

— Nigdy dotąd nie zabiłem króla. Powiedzmy, że dziesięć tysięcy imperiali w złocie.

— Mogę ci zapłacić w inny sposób.

— Serdeczne dzięki! Za wiele się nasłuchałem, jak skończyli ci, którym bogowie spełnili życzenia. Wystarczy porządne, uczciwe złoto.

— Jak sobie życzysz. Rozumiem, że się podejmujesz?

— Podejmuję. Chwilowo nie mam żadnych palących zajęć.

— To dobrze.

— Jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć? Zastanowiła się przez chwilę.

— Król nazywa się Haro — powiedziała w końcu.

— I jak rozumiem, nie ma się nadawać do wskrzeszenia?

— Tam nie działa magia — przypomniała mi bez uśmiechu.

— Aha. To ułatwia sprawę. W takim razie jeszcze tylko jedno...

dlaczego właśnie ja?

— Dlatego, Vlad, że to twój zawód, nieprawdaż?

Westchnąłem.

— I jak można w takich warunkach przejść na emeryturę? — spytałem retorycznie.

— Może jeszcze nie czas... — uśmiechnęła się, patrząc mi w oczy.

Jej oczy nagle zdały się wirować...

...i znalazłem się w znajomej piwnicy.

Pozostałem długą chwilę w bezruchu, ale nie usłyszałem żadnego dźwięku. Po chwili więc zaryzykowałem szybkie wystawienie głowy zza osłony i rozejrzenie się. A potem dłuższe, już bez pośpiechu. Nigdzie nikogo nie dostrzegłem, toteż wyszedłem z ukrycia. Podniosłem z podłogi swoje noże, umieściłem je w pochwach i podszedłem do schodów. A potem spokojnie dotarłem na parter i opuściłem budynek.

Nikt nie próbował mi w tym przeszkodzić i nikogo też nie zauważyłem.

* * *

Melestav, miałeś tu przysłać Kragara!

Przecież od paru minut jest już u pana, szefie?!

To gdzie...? Nieważne.

— Mógłbyś coś mówić, gdy wchodzisz, Kragar — zaproponowałem z urazą.

— A co na przykład?

— Nieważne — westchnąłem z rezygnacją. — Muszę na jakiś czas wyjechać z miasta.

— Na długo?

— Nie wiem. Tydzień albo dwa.

— Aha. Przez tyle to sobie poradzę.

— Wiem. Jedna uwaga: nie zapominaj, że Herth istnieje, i miej

na niego oko.

— Myślisz, że jednak spróbuje cię załatwić?

— A ty jak myślisz?

— To możliwe — przyznał.

— No właśnie. I będę potrzebował teleportu na jutrzejsze popołudnie.

— Dokąd?

— Northport.

— Co się porobiło?

— Nic specjalnego. Opowiem ci, jak wrócę.

— Sam będę wiedział, jak usłyszę, kto zginął w Northport.

— Nic nie będziesz wiedział, bo nikt nie zginie. Robota jest na Greenaere. Co wiesz o tej wyspie?

— Niewiele. Królestwo nie będące częścią Imperium.

— To dowiedz się, czego możesz.

— A konkretniej to czego mam się dowiedzieć?

— Wszystkiego, zaczynając od wielkości, terenu, położenia stolicy. Przydałaby się też mapa wyspy i plan stolicy.

— Takie ogólniki to nie problem. Do wieczora powinienem się uwinąć.

— Doskonale. Tylko dopilnuj, żeby nikt nie wiedział, że zbierasz te informacje. Ta robota może wywołać trochę zamieszania i nie chcę, żeby ją skojarzono ze mną.

— Nie ma sprawy — obiecał. — A co z ludzką dzielnicą?

— A co ma być?

— Jakieś specjalne zalecenia?

— Nie. Wiesz, co chcę osiągnąć, więc rób dalej to, co zaczęliśmy. Tylko bez zbytniego pośpiechu.

— Jasne. Powodzenia.

— Dzięki.

* * *

Powoli wspiąłem się na prowadzące do mieszkania schody, czując się dziwnie stary i zmęczony. Loiośh poleciał przodem i czule witał się z Roczą. Cawti ubrana była dziś na zielono, a na szyi miała czerwoną apaszkę podkreślającą kilka ledwie widocznych piegów na nosie. Długie włosy rozczesała z pozoru niedbale, osiągając efekt, który zawsze mi się podobał. Widząc mnie, odłożyła książkę — była to jedna z historyjek Paarfięgo — i powitała mnie bez czułości, ale i bez oziębłości.

— Jak minął dzień? — spytałem.

— W porządku — odparła.

Bo i niby co miała powiedzieć? Dobrze wiedziała, że nie interesują mnie szczegóły jej wywrotowej działalności, a jedyną naprawdę ciekawą dla mnie informacją o Kellym byłaby ta o jego zgonie. Ostatecznym.

— A tobie? — spytała.

— Interesująco. Widziałem się z noish—pa.

Uśmiechnęła się szczerze. Jedyne, co nas tak naprawdę jeszcze łączyło, to miłość do mojego dziadka.

— Co powiedział? — zaciekawiała się.

— Martwi się o nas.

— Bo wierzy w rodzinę.

— Ja też. To pewnie dziedziczne.

Znów się uśmiechnęła.

— Powinniśmy porozmawiać z Alierą, może udałoby jej się wyizolować odpowiedzialny za to gen.

I uśmiech zniknął z jej twarzy.

Spojrzałem jej w oczy. Zawsze patrzyłem jej w oczy, gdy się

kochaliśmy... Niezręczna cisza zaczęła się przeciągać...
Odwróciłem wzrok i usiadłem naprzeciwko niej.

— Co zrobimy? — spytałem cicho.

Podobną rozmowę odbyliśmy już kilkanaście razy.

— Nie wiem, Vladimir. Kocham cię, ale teraz tak wiele nas dzieli...

— Chcesz, żebym opuścił organizację. — To też już mówiłem.

— Tylko jeżeli sam tego zechcesz i to z poważnych powodów, a nie dlatego, żeby sprawić mi przyjemność. — To już także słyszałem. — Czy dlatego, że ja tego nie pochwalam.

Ironią losu było, iż mówiła to osoba do niedawna stanowiąca połowę pary zabójców o lepszej niż moja reputacji.

Przez długą chwilę siedzieliśmy w ciszy — zastanawiałem się, czy jej opowiedzieć o reszcie dnia. W końcu powiedziałem tylko:

— Wyjeżdżam na parę dni.

— O!

— Na robotę za miasto i prawie za morze, żeglując...

— Kiedy wrócisz?

— Nie jestem pewien, ale nie powinno mi to zająć więcej niż dwa tygodnie.

— Może znajdziesz przy okazji jakieś zajęcie...

Lekcja druga

Transport

O Northport niewiele mogę powiedzieć — poza tym, że właściwie powinien nazywać się Westport. A to dlatego, że praktycznie go nie widziałem, jeśli nie liczyć samego portu. Ten wyglądał znacznie gorzej niż nabrzeża Adrilankhi. Był brudniejszy, bardziej opustoszały i miał mniej knajp, za to więcej wraków i opuszczonych statków. Zanim doszedłem do siebie po teleportacji, co zawsze zajmuje mi kilka minut, przyszło mi do głowy, że powód może być prosty — Adrilankha nadal była ważnym portem, a ten tu najwyraźniej nigdy nie odzyskał dawnej świetności po Katastrofie Adrona.

Mimo to raz albo dwa razy dziennie to właśnie stąd odpływały statki do Elde oraz inne płynące wzdłuż wybrzeża. Mnie interesowały te do Elde, gdyż część z nich zawijała po drodze do Greenaere. Podobno tak było prościej z powodu wiatrów i prądów. Pojęcia nie mam dlaczego, ale właśnie z tej racji bez większych zastrzeżeń wierzę w to, co mówią ci, którzy się na nich znają.

Znalezienie właściwego statku zajęło mi mniej niż godzinę, co uznałem za niezłe osiągnięcie; okazało się, że szczęśliwym trafem odpływa on wczesnym popołudniem.

* * *

Wróciłem po paru godzinach i rzeczywiście przed wieczorem podnieśliśmy kotwicę. W czasie tej podróży często

zastanawiałem się, czy marynarze nie pobierają czasem nauk, jak robić dziwne i zaskakujące rzeczy po to tylko, by ogłupić resztę, czyli głównie pasażerów. Na pokładzie było ich równo dziesięciu i każdy robił co innego — ten coś wiązał, tamten coś odwiązywał, inny ciągnął za linę, jeszcze inny przestawiał jakieś skrzynie, a kolejny maszerował po pokładzie z tak ważną miną, jakby od niego zależało, czy w ogóle wypłyniemy.

Kapitan przedstawiła się jako baronowa Mul—cośtam, ale na imię miała Trice, a tu wszyscy mówili do siebie po imieniu, a do niej „pani kapitan”. Jak na Dragaeriankę była krępa — i nerwowa. Jej przeciwieństwem była jedyna oficer pokładowa — wysoka, obdarzona długim nosem i zawsze wyglądająca na wpół śpiącą Yinta.

Pani kapitan powitała mnie bez entuzjazmu, ale i bez wrogości i uprzejmie poprosiła, żebym się nie „szwendał pod nogami”, jak to zgrabnie ujęła. Większe jej zainteresowanie, ale żadnego konkretnego komentarza, wzbudził Loiośh siedzący na moim ramieniu. Jak się dowiedziałem, statek nazywał się skip i przeznaczony był do krótkich rejsów. Miał dobre sześćdziesiąt stóp długości i trzy maszty. Pierwszy z niewielkim trójkątnym żaglem, środkowy z dwoma prostokątnymi i trzeci z dużym prostokątnym.

Widząc to całe zamieszanie, znalazłem sobie kąt przy beczkach z winem — przynajmniej po zapachu sądząc, było tam wino — i usiadłem na pokładzie. Wiatr miło łopotał żaglami, które rozwiązano przed odpłynięciem, a raczej odepchnięciem od nabrzeża. Odepchnięto nas takimi drągami, że żadnego bym nie podniósł, ale ci, którzy się nimi posługiwali, mieli więcej krzepy i wprawy, więc nie sprawiało im to trudności. Wszyscy, i ci na nabrzeżu, i ci na pokładzie należeli do Domu Orki, a na

najwyższym maszcie powiewała flaga tegoż domu przedstawiająca orkę, włócznie i zamek albo fort.

Przed odpłynięciem dostałem amulet zapobiegający chorobie morskiej. Kiedy statkiem zaczęło kołysać, ucieszyłem się, że go mam, choć spodziewałem się gwałtowniejszych ruchów. Chwilowo nie był mi potrzebny, co stanowiło miłą niespodziankę po reakcjach mojego żołądka na teleportację.

Wiesz, Loiosh, nigdy nie byłem na żadnym statku — przyznałem.

Ja też nie, szefie. Ale wygląda tu miło.

Mam nadzieję, że tak też będzie.

Na pewno milej niż w piwnicy...

Nie kracz!

Nie umiem!

W blasku zachodzącego słońca dopłynęliśmy do końca portu, co wybitnie wzmogło aktywność marynarzy. Uspokoili się dopiero, gdy znaleźliśmy się na otwartym morzu. Do kołysania w górę i w dół dołączyło drugie — z boku na bok. Nadal jednak nie potrzebowałem amuletu. Dziwne... Chyba że działał cały czas i dlatego tak dobrze się czułem...

Ułożyłem się tak wygodnie, jak potrafiłem, i zastanawiając się, czy zdołam zasnąć, zacząłem radosne rozmyślenia. Nie trwały długo...

* * *

Dom Orki najczęściej kojarzy mi się z jego młodymi przedstawicielami — gówniarzerią między setką a sto

pięćdziesiątką. Z zasady płci męskiej. Powód jest prosty: gdy jako podrostek pomagałem ojcu prowadzić restaurację, tacy właśnie podpierali ściany w okolicy, zaczepiając przechodniów. Zwłaszcza ludzi. A najczęściej mnie. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego są tacy wredni, chamscy i tylko czekają na okazję, by komuś przyłać.

Teraz już wiem.

Wcale nie dlatego, że byli samotni, bo starsi pływali po morzach. I nie miało to nic wspólnego z cechami samej orki, pływającej stadnie i zabijającej wszystko, co mniejsze i słabsze. Nie — powodem było jedzenie zbyt dużej ilości solonej kethny. Nie żebym miał coś przeciwko solonej kethnie jako takiej. Owszem, jest to jedzenie twarde i proste, ale nie najgorsze. Tylko nie trzy razy dziennie przez całą podróż. Drugiego dnia, kiedy na obiad dostałem to samo co na śniadanie, czyli soloną kethnę, chleb i kubek wody, zrozumiałem, że taka dieta musi mieć wpływ na każdego. I na każdego podobny — sam czwartego dnia zacząłem się rozglądać, komu by tu przyłożyć.

Drugiego ranka odkryłem też ciekawostkę — wiało mi w twarz, gdy patrzyłem przed dziób, a statek napędzany właśnie wiatrem (podobno) płynął w kierunku przeciwnym do kierunku wiatru. Do tej pory nie potrafię tego zrozumieć, ale nie pytałem o wyjaśnienie — nikt nie wydawał się stosownie mile do mnie nastawiony, więc nie ryzykowałem.

Kethnę dzieliłem z Loiošem, który lubił ją zdecydowanie bardziej. I zabijałem czas. O robocie nie myślałem, bo było to bezcelowe. Miałem zbyt mało informacji, a proste spekulacje mogą prowadzić jedynie do błędów. Dlatego gapilem się w zieloną wodę, słuchałem plusku fal uderzających o kadłub i pogawędek załogi. I zwiększałem zasób słownictwa, bo klęli, aż

powietrze jęczało. Szkoda tylko, że w raczej monotony sposób, więc szybko mogłem im dorównać.

Jedzenie dostawałem jako ostatni, a przynosił je starszy marynarz, który zawsze potem brał się za konsumowanie swojej porcji, stojąc przy burcie. Zwróciłem na niego uwagę, gdyż miał niebieskie oczy, co u Dragaerian jest rzadkością. Zawsze przyglądał się morzu z jakimś takim odległym zainteresowaniem, jakby się z nim komunikował. Regularnie dziękowałem mu i na tym kończyła się nasza rozmowa. Któregoś razu w końcu go spytałem:

— Wypatrujesz czegoś konkretnego?

— Nie — odparł z akcentem ze wschodnich rejonów Imperium, przez co zabrzmiało to podobnie do „no”.

Statek kołysał się nieco podobnie do konia, acz znacznie przyjemniej, bo na koniu na pewno tak długo bym nie wytrzymał, nawet z dziesięcioma amuletami. Wiem, bo próbowałem. Natomiast kołysanie to było za każdym razem nieco inne, dlatego po chwili spytałem:

— Nigdy nie jest takie samo, prawda?

Spojrzał na mnie tak naprawdę pierwszy raz, ale z miną, której nie byłem w stanie odczytać. Potem odwrócił się z powrotem ku morzu i odparł:

— Nie jest. Dlatego nigdy nie męczy mnie przyglądanie mu się. Zawsze jest inne i zawsze jest w ruchu.

Potem kiwnął mi głową i poszedł na tył, nie wiedzieć czemu nazywany rufą.

* * *

Innym razem zauważyłem parę orek, które wynurzyły się na

chwile i zaraz znów zanurkowały. Stałem i przyglądałem się temu samemu fragmentowi morza i po jakimś czasie orki wynurzyły się ponownie. I znów zniknęły w odmętach. A potem trzeci raz. Były naprawdę ładne — smukłe, dumne i pełne gracji. Idealni zabójcy w swoim środowisku.

— Rzeczywiście są — usłyszałem głos Yinty i omal nie sięgnąłem po nóż.

— Co proszę? — spytałem, odwracając się.

— Rzeczywiście są piękne.

Cholera, jeśli człowiek gada na głos i o tym nie wie, to coś z nim jest poważnie nie w porządku. Nie dałem jednak nic po sobie poznać, tylko kiwnąłem głową i odwróciłem się z powrotem ku morzu.

Orki jednak nie pojawiły się ponownie.

— Młode były — powiedziała Yinta. — Tylko młode pływają parami. Starsze łączą się w większe grupy.

* * *

Kolejnego dnia pojawiły się nad nami mewy, co jak mi powiedziano, było niechybną oznaką zbliżania się do lądu. Innych oznak życia przez całą podróż nie widziałem — płynęliśmy zupełnie sami i cały czas panowała miła cisza. Przerywało ją tylko pluskanie fal i skrzypienie olinowania. Tak się przyzwyczailem do tych odgłosów i do ruchu statku, że w nocy zasypiałem natychmiast, nawet ich nie zauważając.

Greenaere była blisko. Przypomniałem więc sobie, co o niej wiem. Nie było tego tak wiele, więc szybko mi poszło. Wyspa miała sto dziesięć mil długości i ze trzydzieści szerokości, a na mapie wyglądała podobnie do banana zwróconego łodygą w

stronę lądu. Tam, gdzie łodyżka przechodziła w banan, zlokalizowano port, a stolica, w której żyła z dziesiąta część liczącej nieco ponad dwieście tysięcy osób populacji, położona była dwanaście mil w głąb lądu. Dwanaście mil to pół dnia marszu albo piętnaście godzin na tratwie, ponoć popularnym środkiem transportu według informacji Kragara.

Wiatr się zmienił. Jakieś drewno przymocowane do żagla przeleciało mi nad głową i poczułem delikatny aromat fajkowego tytoniu. Pani kapitan jak zwykle leżała martwym bykiem z rękoma pod głową i pykała z krótkiej fajeczki wyposażonej w mały parasol. Pewnie po to, żeby się woda do środka nie dostała.

Yinta oparła się o burtę obok mnie.

— Jesteś urodzonym marynarzem, prawda? — zagadnąłem. — Robisz to, co naprawdę lubisz.

Przyjrzała mi się uważnie. Dopiero w tym momencie zauważyłem, że ma szare oczy.

— Tak — odparła po chwili poważnie.

— I kiedyś zamierzasz mieć własny statek?

— Tak.

Wyglądało na to, że to koniec rozmowy, więc odwróciłem się ku morzu i wbiłem wzrok w miejsce, w którym zielona woda stykała się z pomarańczowo—czerwonym niebem.

— Ale nie taki jak ten — powiedziała niespodziewanie Yinta.

Odwróciłem się.

Nie patrzyła na mnie, tylko na morze.

— Proszę? — spytałem, nie wiedząc, o co chodzi.

— Nie będę kapitanem takiego małego stateczku handlowego — wyjaśniła.

— A czego?

— Podobno za morzem są nowe lądy... albo pod morzem, jak

niektórzy mówią... Za Maelstromem, którego nie mogą pokonać żadne statki. Ale to nieprawda: nie wszystkie wiry są stałe i od zawsze była mowa, że istnieje między nimi droga... Na mapach widać tylko Grey Rocks z jednej, a Spindrift z drugiej, ale mówi się o innej trasie. O zbadaniu ziem Spindrifitu i wyruszeniu w morze dopiero stamtąd. O miejscach, do których można w ten sposób dotrzeć. O miejscach, w których ludzie mówią dziwnymi językami i używają magii, o jakiej nawet nie słyszeliśmy. O miejscach, gdzie nawet Kula jest bezsilna.

— Słyszałem, że moc Kuli nie działa na Greenaere — wtrąciłem.

Wzruszyła ramionami, jakby to było bez znaczenia. Pewnie — coś tak bliskiego i znanego nie mogło jej zainteresować. Miała krótko ścięte, kasztanowe włosy, zwijające się w ciasne kędziory, co dodawało lat jej twarzy wystawionej na działanie soli i wiatru.

Wiatr znów się zmienił i rozległo się dzwonienie dzwonków umieszczonych wysoko na maszcie. Pierwszy raz, gdy je usłyszałem, spytałem, po co dzwonią. Zaraz potem bom łupnął mnie w plecy. Od tej pory zawsze grzecznie kuciałem, nie zadając głupich pytań. Ktoś coś mówił o jakimś żaglu — zdaje się, że mieli go skrócić, ale niewyraźnie słyszałem przez skrzyp lin i drewna oraz plusk fal. Zresztą nawet gdybym usłyszał, pewnie i tak bym nie zrozumiał.

— Więc chcesz przepłynąć przez Maelstrom, żeby zobaczyć, co jest po drugiej stronie? — spytałem.

Kiwnęła głową, a potem uśmiechnęła się.

— Powiem ci prawdę. Tak naprawdę to chcę zaprojektować statek, który byłby do tego zdolny. Mój pradziadek był cieślą okrętowym. Zaprojektował system sterowy *Luck of the South Wind* i służył na nim przed Bezkrólewem. Był na pokładzie, gdy

nadeszła wielka fala.

Pokiwałem głową, jakbym wiedział, co to znaczy, albo słyszał kiedykolwiek o takim statku, i spytałem:

— Wyszłaś za mąż?

— Nie. Nigdy nie miałam ochoty. A ty masz żonę?

— Mam.

— Mhm... I co? Podoba ci się małżeństwo?

— Czasami tak.

Zachichotała, choć wątpię, by wiedziała, o czym mówię.

— Powiedz mi, po co udajesz się na Greenaere? — spytała.

— W interesach.

— Ciekawe interesy, skoro mamy cię dostarczyć w skrzyni jako część ładunku.

— Wszyscy na pokładzie już o tym wiedzą?

— Nie.

— To dobrze.

— Więc jakie to interesy?

— Wolałbym nie wnikać w szczegóły, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wzruszyła ramionami.

— Jak chcesz — przyznała. — Zapłaciłeś za nasze milczenie, a poza tym nie mamy powodów, by zgłaszać władzom każdego pasażera. A już na pewno nie wyspiarzom.

Nie odpowiedziałem i rozmowa się urwała.

Zjadłem kolejną porcję solonej kethny, dzieląc się z Loioshem, i poszedłem spać, gdy zapadła noc.

* * *

Następnego dnia koło południa zauważyliśmy wreszcie ląd, a

potem kilka masztów w zatoce będącej naszym celem. Niebo pojaśniało i więcej było w nim czerwieni. Wydawało się też znajdować wyżej. W sumie było ciepło i przyjemnie. Kapitan siedziała sobie na „wyżce rufowej”, czyli na nadbudówce w tyle okrętu, Yinta zaś podpierała burtę na dziobie, wykrzykując do niej jakieś niezrozumiałe informacje. Kapitan przekazywała je marynarzowi, który sterował, albo innym ciągnącym, albo puszczającym liny z niezgłębionych powodów.

Korzystając z przerwy w krzykach, podszedłem do Yinty i przyjrzałem się wyspie.

— Z bliska nie wygląda jak banan — oceniłem.

— Co?!

— Nic. Nieważne.

Dalszą rozmowę przerwał mi ryk Trice:

— Sondować!

Yinta powtórzyła rozkaz i ciemny, przygarbiony marynarz pognał z linką na sam czubek dziobu. Greenaere, całkiem już dobrze widoczna, zdawała się składać głównie z ciemnoszarych skał.

— Wygląda na to, że ją miniemy — skomentowałem.

Yinta nie zaszczyciła mnie odpowiedzią, wykrzykując jakieś liczby podawane przez marynarza na dziobie, co i raz wrzucającego linkę do morza. Kapitan wykrzykiwała najrozmaitsze rozkazy, żagle ze skrzypieniem zmieniły położenie i skierowaliśmy się w bok. Przez chwilę płynęliśmy prosto ku wyspie, potem zaczęła przesuwać się znów coraz bardziej na bok, tyle że drugi. Uważałem, że takie pływanie zygzakiem jest strasznie nieekonomicznym sposobem dotarcia do celu, ale się nie odzywałem.

Śmieszny sposób wydłużenia prostej drogi, szefie — odezwał się

Loiosh.

Z początku śmieszny, na dłuższą metę nudny.

Fakt. Nic się nie dzieje...

Wybrzeże było widać już całkiem wyraźnie — parę drzew, a za nimi szeroki pas zieleni wyglądający na łąki lub pola. Na tak małym kawałku lądu tereny uprawne musiały być bardzo ważne.

Cała wyspa Teckli — prychnął pogardliwie Loiosh.

Zapomniałeś, że tu nie ma domów.

To może wszyscy tu to Jheregi.

Zboczone poczucie humoru.

W odpowiedzi tylko zachichotał telepatycznie.

Zacząłem odczuwać dziwny spokój. A raczej nie tyle spokój, ile ciszę, jakby umilkł jakiś dźwięk, który ciągle słyszałem, a z którego istnienia nawet nie zdawałem sobie sprawy. Zaciekawilo mnie to, ale na podobne rozmyślenia nie miałem czasu, zajęty uważnym rozglądaniem się i zapamiętywaniem szczegółów.

Kołysanie znacznie się zmniejszyło i znaleźliśmy się w dużej zatoce. Kotwiczyły w niej duże statki — zbyt duże, by mogły dopłynąć do samego nabrzeża. To ich maszty widziałem, gdy podpływaliśmy. Przy nabrzeżach cumowały mniejsze jednostki, ale i tak zostało sporo wolnego miejsca. I oprócz statków była też masa większych i mniejszych łódek, co mnie ucieszyło.

Na jednym z nabrzeży zaczęło nagle błyskać coś kolorowego w dziwnie regularnym rytmie. Zupełnie jakby ktoś coś sygnalizował. Spojrzałem za siebie, na panią kapitan. Okazało się, że obok niej stoi Yinta i macha zawzięcie dwiema kwadratowymi chorągiewkami: czerwoną i żółtą. Faktycznie

sygnalizowali.

Wiatr był jeszcze silny, toteż marynarze zajęci byli ściąganiem żagli, czy jak się to tam nazywało. Poszedłem na środek pokładu, gdzie stały beczki i skrzynie, i przykucnąłem za nimi.

Dobra, Loiosh. Uciekaj i unikaj kłopotów, nim się nie dostanę na brzeg — poleciłem telepatycznie.

To ty unikaj kłopotów. Mnie nikt nie zauważy.

Odleciał i pozostało mi tylko czekać.

Ponieważ pragnąłem pozostać niezauważony, niewiele widziałem. Słyszałem jedynie odgłosy wzmożonej krzątania, aż w końcu żagle zostały zwinięte i coś głucho łupnęło. Ani chybi przybiliśmy do nabrzeża.

Krzątanie trwała dalej — wiązano żagle, rozwiązywano ładunek. Na pokładzie pojawili się robotnicy i zaczęto rozładunek. W pewnym momencie Yinta dała mi znak i oboje zeszliśmy pod pokład. Bez słowa wskazała mi pustą skrzynię.

— Już mi się ten pomysł nie podoba — burknąłem.

— Ma prawo. Ale zapłaciłeś, więc nie ma odwrotu. Właź!

Wlazłem do skrzyni i ułożyłem się na tyle wygodnie, na ile było to możliwe.

Raz już w podobny sposób podróżowałem, bo była to jedyna możliwość dostania się do zamku pewnego czarnoksiężnika z Domu Athyry. Tyle że w beczce, co było wygodniejsze. Tym razem za to powinno być krótsze. W sumie udało mi się ułożyć nawet znośnie, jeśli nie liczyć karku, bo musiałem zgiąć szyję pod nietypowym kątem.

Yinta przybiła wieko skrzyni i wyszła.

Czekałem znacznie dłużej niż powinienem, a przynajmniej tak mi się wydawało, nim zjawili się robotnicy i wynieśli skrzynię. Obchodzili się z nią tak, że miałem ochotę ich skląć i nakazać

ostrożność. Naturalnie tego nie uczyniłem, toteż dorobiłem się niezłej kolekcji siniaków, w tym niektórych w naprawdę dziwnych miejscach.

Widzę cię, szefie — zameldował radośnie Loiosh. Niosą cię do wozu... Jeszcze kawałek... o, już jest wóz.

Dzięki, czuję, że jest wóz: prawie mi nerki odbili.

Nie dramatyzuj! Wszystko wygląda spokojnie i normalnie. Teraz tylko musisz poczekać, aż skończą ładować.

No to czekałem.

Naprawdę długo.

* * *

Jazdy wolę nie opisywać — na szczęście była krótka. Potem ładunek znalazł się w magazynie. Z relacji Loiosha wynikało, że był to jeden z kilku stojących kilkaset stóp od nabrzeża. Potem znowu czekałem.

W końcu Loiosh poinformował mnie, że wszyscy wyszli.

No to wykopałem wieko, co okazało się trudniejsze, niż się spodziewałem. Drzwi do magazynu nie były zamknięte, toteż ledwie odzyskałem władzę w nogach, opuściłem go bez problemu. Wieko przymocowałem, jak się dało — jak długo ktoś się skrzynią nie zainteresuje, nic nie zauważy. A jeśli się zainteresuje, to i tak zorientuje się, że jest pusta, choćby wieko pozostało nienaruszone.

Zapadał zmierzch, ale jeszcze było dość jasno. Loiosh wylądował mi na ramieniu i oznajmił:

W prawo, szefie. Znalazłem dobrą kryjówkę. Do nocy nikt nas nie powinien znaleźć.

Prowadź — poleciłem.

I po pięciu minutach marszu znalazłem się w rowie na polu oddzielonym od drogi niewielkim zagajnikiem. Z tego co wiedziałem, przedostałem się na wyspę nie zauważony przez nikogo.

Miałem jednak świadomość, że wydostanie się z niej nie będzie takie łatwe.

* * *

Ten rejon wyspy był rolniczy i gęściej zaludniony niż kontynent. Nie jestem przyzwyczajony do dróg przecinających pola — i to głównych dróg na dodatek. Ponieważ marsz takową drogą oznaczał pozostawanie cały czas na widoku bez żadnej możliwości ukrycia się, zrezygnowałem z niej i szedłem polami równoległe, ale o jakieś pół mili od niej. Co na tych polach rosło, pojęcia nie mam — było zielone i przyciągało ptaki.

Loiosh dla zabawy gonił je i obaj byliśmy zadowoleni.

Budynki stały dość gęsto, ale były niewielkie. Wykonano je z zielonych desek, a dachy sporządzono z pędów jakiejś rośliny, nie ścinając ich, lecz przyginając tak, że dom znajdował się jakby w półkolistej osłonie od góry. Nie wyglądało to na wynalazek zdolny powstrzymać solidny deszcz, ale nie przyglądałem się żadnemu uważniej. Teren był łagodnie pofałdowany, tak że cały czas szedłem albo z górki, albo pod górę, ale wzniesienia nie były strome. Opóźniało to jednak tempo i zwiększało zmęczenie, toteż często odpoczywałem. Na szczęście od morza wiał chłodny wiaterek. Wiał w plecy i mile orzeźwiał.

Po bokach drogi pojawiły się rzadko rosnące drzewa o dziwnych białawych pniach i prawie okrągłych liściach. Po jakimś czasie dołączyły do nich znajome dęby i jesiony, aż

wreszcie maszerowałem bardziej przez las niż przez pole. Pewnie go wytną, kiedy będą potrzebowali więcej pól uprawnych, ale to już nie będzie moje zmartwienie.

W regularnych odstępach czasu sprawdzałem swoje położenie na mapie, ale na drogę nie wyszedłem. Ruch co prawda na niej panował niewielki, ale od czasu do czasu zdarzali się podróżni. Głównie pieszy, czasami przejechał jakiś zaprzężony w osła wózek. Ot, prymityw i zadupie. Za to ptaki śpiewały prawie przez cały czas, a niebo wydawało się znajdować wyżej niż nad Imperium. Sprawiało też dziwne wrażenie, jakby zdarzały się momenty, gdy odzyskuje normalny błękitny kolor, taki, jaki ma na Wschodzie.

Było już późne popołudnie, gdy dotarłem do rozwidlenia dróg, co oznaczało, że do stolicy pozostał już niewielki odcinek. Naturalnie jeśli mapa nie kłamała.

Okazało się, że nie kłamała.

Miasto było niewielkie jak na standardy dragaeriańskie, a dziwne jak na ludzkie. Tu i tam stały skupiska domów wykonanych z desek lub płótna rozpiętego na drewnianych lub kamiennych ramach. Niektóre w ogóle nie miały dwóch ścian, za to stały przed nimi stoliki i krzesła. Mogły to być miejsca kultu albo coś zupełnie innego. Nigdy tego nie sprawdziłem. Miasto wyglądało na takie, które po zmroku pustoszeje, a i tak, choć było jeszcze jasno, na ulicach znajdowało się niewielu przechodniów.

Ukryłem się w kępie drzew w pobliżu śmietnika, a Loiośh poleciał szukać lepszej kryjówki. I bezpiecznej drogi do niej. Znalazł przy tej okazji kamienny budynek wysoki na trzy piętra i stojący z dala od drogi. Na dodatek otaczał go ogród pozbawiony ogrodzenia. Do niezbyt imponujących drzwi prowadziła ścieżka wyłożona kamieniami i wielobarwnymi muszlami.

Zarówno wygląd, jak i położenie odpowiadały opisowi pałacu.

Lekcja trzecia

Zabójstwo doskonałe

Istnieją dosłownie miliony sposobów, by kogoś zabić jeśli weźmie się pod uwagę każdy organ, którego uszkodzenie może doprowadzić do zgonu, i warianty, jakie można wykorzystać. Pomijając starość i wypadki, na które narażeni są tak ludzie, jak i Dragaerianie. Prawdę mówiąc, naturalnych lub przypadkowych powodów jest tyle że aż dziw bierze, iż w ogóle potrzebni są zawodowi zabójcy. Albo że komuś udaje się przeżyć na tyle długo, by osiągnąć w życiu cokolwiek. Dotyczy to także Dragaerian którzy dożyć mogą i dwóch tysięcy lat, nim umrą ze starości.

Ponieważ jednak zobowiązałem się dopilnować szybkiego zejścia z tego świata konkretnej osoby, nie mogłem czekać, aż będzie uprzejma zadławić się ością. Należało zastanowić się, jak najskuteczniej jej w tym pomóc. Wybór miałem nieco ograniczony, bo magia tu nie działała (a i tak rzadko jej używałem, bo łatwo się przed nią obronić), czarów nie byłem pewien i nie zawsze dawały spodziewane wyniki, a do trucizn od zawsze miałem ograniczone zaufanie. Pozostała więc sprawdzona siła fizyczna wsparta stosownym ostrym narzędziem.

Dawało to nadal ładnych parę tysięcy możliwości, bo i bronie bywały rozmaite, a miałem ich spory wybór, i ciosów istniała duża różnorodność. Niektóre były łatwe, ale nie dające gwarancji, inne pewne, ale trudne do wykonania. Na przykład w miarę łatwo jest poderżnąć komuś gardło, ale nie powoduje to

natychmiastowej śmierci, a jeśli trafiło się na maga potrafiącego się uleczyć, wtedy zaczynały się poważne kłopoty. Z drugiej strony natychmiastowy zgon dawało pchnięcie w serce, ale było to znacznie trudniejsze do wykonania, bo przeszkadzały żebra.

Istniały też inne czynniki, które należało wziąć pod uwagę. Na przykład czy przyszła ofiara ma przyjaciół zdolnych ją wskrzesić. A jeśli tak, to czy dać im tę możliwość, czy też zabić delikwenta ostatecznie. Jeżeli w grę wchodziło to ostatnie, a z jakichś powodów niewskazane było użycie broni Morgantich, należało zadać taką ranę, by wykluczała ona ożywienie. W tym celu najlepiej było uszkodzić mózg albo przynajmniej przeciąć kręgosłup. Naturalnie można było to zrobić po zabiciu lub unieszkodliwieniu ofiary, ale tych parę sekund straconych na dobiecie często okazywało się kluczowe dla udanej, niezauważonej ucieczki.

A jak długo władze nachalnie interesowały się sposobem, w jaki obywatele Imperium trafiają na Ścieżki Umarłych, tak długo pozostanie niezidentyfikowanym zabójcą było nader istotne. Przynajmniej dla mnie. Do ucieczki lepiej było nie używać teleportacji: raz dlatego, że przez dwie—trzy sekundy było się bezbronnym, dwa dlatego, że teleport można nie tylko wykryć, ale i w pewnych okolicznościach wysledzić.

Biorąc pod uwagę wszystkie te kwestie, dobry zabójca starannie planuje każdą robotę i nim ją wykona, zbiera jak najdokładniejsze informacje o ofierze, jej przyzwyczajeniach i możliwościach. Oraz o terenie akcji. Aby jak najlepiej wykorzystać okoliczności, należy starannie zaplanować, jakiej broni się użyje, gdzie i kiedy zaatakuje i jaki cios zada. Oraz jak pozbędzie się narzędzia zbrodni i ucieknie niepostrzeżenie.

Tyle teorii.

W praktyce podjąłem się roboty, nie wiedząc właściwie niczego. I to nie tylko o ofierze, ale nawet o państwie, w którym się znalazłem. Nie znałem jego terytorium, zwyczajów mieszkańców czy skuteczności władz w ściganiu przestępców. Ba — nie wiedziałem nawet, jak wygląda ten, którego miałem zabić, nie mówiąc już o takich detalach jak to, jaką ma ochronę (fizyczną, magiczną czy boską).

Do pałacu dotarłem w nocy, a noc, jak się okazało, była tu znacznie ciemniejsza niż w Adrilance, gdzie ulice zawsze oświetlał blask padający z jakichś okien czy drzwi albo latarni Gwardii Feniksa, dokonującej mniej lub bardziej regularnych obchodów. Na Wschodzie mrok rozpraszały też gwiazdy, tu i w Imperium niewidoczne, gdyż znajdowały się wyżej od pomarańczowo—czerwonego paskudztwa zakrywającego niebo.

Tu zaś nic nie rozświetlało mroku, chyba że gdzieś trafiło się nieszczęselnie zasłonięte okno. W pałacu znalazło się takie. No i spod drzwi przeciskał się wąski pasek światła. Czekałem kilka godzin, żeby światło w oknie zgasło. Oczywiście zgasło jako ostatnie.

Na wszelki wypadek odczekałem jeszcze mniej więcej godzinę, bo wolałem nie ryzykować choćby czegoś tak drobnego jak połączenie z Zegarem Imperialnym. Nic się jednak nie działo, więc uznałem, że mieszkańcy wreszcie poszli spać, i obejrzałem sobie dokładnie okolicę i budynek.

* * *

Przed świtem wróciliśmy do kryjówki, gdzie uczciwie przespałem większość dnia pilnowany przez Loiosha. Potem zająłem się organizowaniem czegoś, co umożliwiłoby

przełknięcie solonej kethny, a on obserwował pałac.

* * *

Gdy zapadł zmrok, ponownie dotarłem do pałacu. Tak jak się spodziewałem, miasto w nocy było wymarłe. Natomiast nie spodziewałem się, że nie znajdę w okolicy żadnych straży. A tak właśnie było. Poszukałem spokojnie możliwych dróg wejścia do wnętrza i ucieczki. Znalazłem parę i wyglądało na to, że sprawa będzie łatwiejsza, niż pierwotnie sądziłem. Nauczony doświadczeniem wołałem jednak nie poddawać się przedwczesnemu optymizmowi.

* * *

Następnej nocy wśliznąłem się do pałacu, by poznać rozkład pomieszczeń i inne niezbędne szczegóły. Najpierw wysłałem Loiosha, by obleciał budynek. Nie znalazł nic ciekawego: żadnych otwartych okien czy zapraszająco uchylonych drzwi. I żadnych wart.

Pozostała jedynie klasyczna metoda, czyli wejście przez drzwi. Zawsze, nim się zabiorę do zamka, mam zwyczaj sprawdzać, czy nie jest chroniony magicznymi alarmami czy innym podobnym paskudztwem, ale tu tego nie mogłem zrobić, gdyż nie działała tu magia. Pozostało liczyć na to, że nie działa ona w żadną stronę.

I tak też było.

Był to pierwszy wypadek, gdy wchodziłem do czyjegoś domu, by zabić mieszkającą w nim osobę. Pod tym względem zasady organizacji były bezwzględne — dom był dla każdego bezpiecznym azylem. No, ale mój cel nie należał do organizacji.

Zresztą to zlecenie było wyjątkowe także i z tego właśnie powodu — nigdy dotąd nie wziąłem roboty, która polegała na zgładzeniu kogoś spoza niej. W sumie dziwnie się czułem, ale nie pozwoliłem, by mnie to rozproszyło.

Pchnąłem delikatnie drzwi. Nie były zamknięte i otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Na szczęście bez pisku zawiasów, który jest znacznie bardziej przeraźliwym dźwiękiem. Wewnątrz było jeszcze ciemniej niż na ulicy. Ostrożnie przesunąłem się o krok. Nie wpadłem na nic, więc cicho zamknąłem za sobą drzwi. Miałem wrażenie, że znalazłem się w dużym pomieszczeniu, choć nie potrafiłbym powiedzieć, dlaczego tak uważałem.

Loiosh, ta cała robota coraz mniej mi się podoba.

Mnie też, szefie.

Ktoś jest w tym pokoju?

Nie.

W takim razie zaryzykuję trochę światła...

Jestem za, szefie.

Wyjąłem z kieszeni sześciocalowy kawałek liny świetlnej i zakręciłem nim powoli. Rozświetliła słabo obszar o powierzchni może siedmiu stóp, ale i tak zaboląły mnie oczy przyzwyczajone do ciemności. Zakręciłem nią szybciej, gdy oczy przestały mnie boleć, i rozejrzałem się. Wnętrze wyglądało bardziej na korytarz domu zamożnego kupca niż na siedzibę władcy. Na ścianie wisiał wieszak, pod nim znajdowało się miejsce na buty, na którym nawet stały dwie pary. Korytarz biegł prosto i prowadziły z niego tylko jedne drzwi w głąb budynku. Zwolniłem obroty liny i ruszyłem ku nim.

W blasku dnia wewnątrz wyglądało zapewne nawet przyjemnie.

Ale teraz był środek nocy, a ja na dodatek nie znałem rozkładu budynku. Przypomniały mi się Ścieżki Umarłych, po których chodziłem, także nie wiedząc, co mnie za chwilę spotka.

Na wszelki wypadek energiczniej zakręciłem liną.

Szefie, tu naprawdę nie ma straży! Król całkowicie pozbawiony ochrony?! Przecież to nienormalne — zirytował się Loiosh.

U nas tak, tu jak widać nie.

Samego mnie to jednak zastanawiało.

I nie tylko to: skoro wyspiarze byli tak pokojowo nastawieni, dlaczego ich Król musiał zginąć? Co prawda nie był to mój interes, ale czułem ciekawość. Poruszałem się powoli, utrzymując niewielkie świecenie sznura, a Loiosh wyteżał słuch, czy przypadkiem ktoś tu jednak nie czuwa. Słuch miał nieporównanie lepszy niż ja, więc dałem sobie spokój z nasłuchiwaniami. I tak sprawdzaliśmy pomieszczenie po pomieszczeniu. Jeden pokój był przestronny niczym salon w porządnej rezydencji. Na jednej ze ścian widniała płaskorzeźba orki i motto w języku, którego nie znałem. Przed płaskorzeźbą stał ozdobny fotel niepodobny do innych mebli. Sufit był na wysokości dobrych piętnastu stóp nad moją głową, więc pozostałe piętra musiały być znacznie niższe. Pozostałe ściany wyłożone były drewnem, a boazeria ta została częściowo wymalowana. Dominował kolor niebieski i choć nie były to obrazy, dało się rozróżnić jakieś wzory i kształty. Mogły być magiczne, ale nie czułem obecności żadnej magii.

Zakręciłem szybciej liną i uważniej obejrzałem salę. Okno było tylko jedno, za to w rzeźbionej ramie. W co rzeźbionej, nie byłem w stanie rozpoznać. Z wyposażenia na uwagę zasługiwały trzy

złote tace i waza na cokole. Stała w rogu, wypełniona kwiatami. Zdaje się czerwono—żółtymi.

Następnym pomieszczeniem była kuchnia, co stanowiło zaskakujące sąsiedztwo. Była duża, przestronna i wygodna, choć miała trochę za mało miejsca na zapasy. Noży był stosowny wybór, dobrej jakości, w dobrym stanie, co świadczyło pozytywnie o kucharzu. Garnki zaś były albo naprawdę duże, albo malutkie, nic pośredniego. Obok pieca leżał przyzwoity zapas drewna, a komin wychodził przez ścianę na zewnątrz. Na przeciwległej ścianie zamontowano zlew z ręczną pompą, błyszczący wręcz czystością. W tej kuchni mógłbym gotować i sprawiłoby mi to przyjemność.

W ten sposób sprawdziliśmy cały parter. Z piwnicy zrezygnowałem powodowany dziwną niechęcią, a na piętra wolałem nie wchodzić. To było rozpoznanie, nie atak, a istniało zbyt duże ryzyko, że mogłoby się to skończyć niemiłą dla mnie niespodzianką. Schowałem linę do kieszeni peleryny i wyszedłem. Po czym jeszcze raz okrążyłem budynek. Nie dowiedziałem się wiele nowego poza tym, że niezwykle trudno jest zachować milczenie, gdy człowiek nadepnie na grabie.

* * *

Do kryjówki wróciłem mniej więcej godzinę przed świtem. Po drodze, korzystając z rozpoczynającej się szarówki, obaj z Loiosem spróbowaliśmy znaleźć ukrycie bliżej pałacu, ale nam się nie udało. Zniechęcony zaszyłem się w lesie i otuliłem peleryną, bo było chłodnawo.

I grzecznie zasnąłem.

* * *

Obudziłem się późnym popołudniem.

Dzisiaj go załatwimy?! — powitał mnie Loiosh.

Nie, ale jeśli dziś wszystko dobrze pójdzie, zrobimy to jutro.

Kethna nam się kończy.

To dobrze. Zaczynam mieć nieodpartą ochotę na dietę.

Mimo to zjadłem kawałek solonego mięsa, nim podkradliśmy się do miasta. Pałac jak dotąd wyglądał na kompletnie niestrzeżony. Prawdopodobnie mógłbym tam od razu wejść i wykonać zlecenie, gdybym wiedział, który to Król i gdzie jest. Podkradłem się bliżej, korzystając z osłony starego straganu owocowego, który, sądząc po stanie zbutwienia, od paru lat przestał pełnić jakąkolwiek użyteczną rolę.

Zacząłem zmierzchać, gdy zdecydowałem, że nadszedł właściwy czas. Teraz było jeszcze dość widno, żebym widział bez żadnych dodatkowych świateł, za to wkrótce będzie wystarczająco ciemno, by ułatwić mi to ucieczkę. Wcześniej ułożyłem plan akcji, a teraz przyszła pora na próbę ostateczną. Nic więcej nie mogłem już zrobić.

Dostanie się do środka nie przedstawiało żadnego problemu, służba nie zamykała bowiem drzwi kuchennych na żaden zamek, a po kolacji w kuchni nikt nie przebywał. Najbardziej ryzykowne było przekradnięcie się z kuchni do schowka pod schodami. Po długim nasłuchiowaniu udało mi się dokonać tego niepostrzeżenie i teraz pozostało jedynie czekać i słuchać strzępków rozmów, tak domowników, jak i służby, która znalazła się w pobliżu. Czas wypełniłem sobie wydłubaniem niewielkiego otworu obserwacyjnego, by móc widzieć przechodzących.

Pomysł opłacił się po prawie godzinie.

Dowiedziałem się mianowicie, jak wygląda Król, dzięki temu, że gdy przechodził obok z jakimś młodzieńcem, ten zwrócił się do niego oficjalnie. Był w średnim wieku. Chudy, miał przyлизane włosy i przenikliwe zielone oczy. Ubrany był raczej prosto, w strój o czerwono—żółtych barwach. Jeśli nie liczyć grubego łańcucha z rytymi symbolami, które widziałem w sali tronowej, nie nosił żadnych insygniów urzędu. Młodzian uzbrojony był w krótką, lekką włócznię zwaną sulicą. Mogłem załatwić ich obu, ale zrezygnowałem z tej kuszącej okazji. Nadal żyję tylko dlatego, że jestem ostrożny, ryzykując głowę, a to byłoby właśnie niczym nieuzasadnione ryzyko.

Korzystając z lekkiego zamieszania, które powstało, gdy wchodzili na piętro, sprawdziłem drogę odwrotu prowadzącą także przez kuchnię, wokół pałacu i do lasu.

I co, szefie? — zainteresował się Loiosh, ledwie wróciliśmy do kryjówki.

Jutro finalizujemy kontrakt.

* * *

Noc spędziłem na zapamiętywaniu charakterystycznych punktów terenowych, by móc rozpoznać je w ciemności. Spać poszedłem, gdy zaczęło świtać.

* * *

Kiedyś, dawno temu, żył ponoć kowal rasy Serioli, który na prośbę bogów wykonał łańcuch z diamentów tak długi, że sięgał dalej niż szczyt nieba, i tak mocny, że utrzymywał niebo na miejscu, gdy bogowie zmęczeni się utrzymywaniem go innymi

sposobami. Pewnego razu jedna z bogiń wzięła sobie diament, chcąc dać go śmiertelnikowi, do którego miała słabość, i ogniwa łańcucha rozsypały się po niebie. Bogowie musieli od tej pory trzymać je po staremu, a bogini ukarać nie mogli, gdyż wówczas zabrakłoby stosownej ich liczby do trzymania i niebo by spadło. Ukarali więc kowala, zmieniając go w chreothę.

Tak mi to przyszło do głowy, gdy czekałem na zapadnięcie zmroku i zastanawiałem się, co ja właściwie robię w tym lesie. Naturalnie zachowywałem też czujność, co skutecznie angażowało część mojej uwagi i zwalniało proces myślenia. W sumie spełniałem prośbę swego bóstwa opiekuńczego, i to przechodząc, że się tak wyrażę, moralny kryzys, jakiego nie powinien doświadczać żaden uczciwy zawodowy zabójca. Cały ten kryzys coraz mniej mi się podobał — zaczynało mnie mianowicie niepokoić, że zabijam za pieniądze.

Problem był zresztą w całości zawiniony przeze mnie, bo zachciało mi się, kretynowi jednemu, zapytać, co o tym sądzi jedyna osoba na świecie, na której zdaniu naprawdę mi zależało. Naturalnie nie była to żona, choć oczywiście przykro mi było patrzeć, jak w ciągu niespełna dwóch lat z jednego z najlepszych w branży zabójców zmieniła się w rewolucjonistkę opętaną manią pomocy uciśnionym i żyjącą marzeniami. A na dodatek z kompleksami większymi niż moje ego. Chodziło o mojego dziadka. Od dawna podejrzewałem, że nie pochwała mojego fachu, ale nigdy tego otwarcie nie powiedział. Do momentu, w którym w chwili słabości nie spytałem go o to. Okazało się, że podejrzewałem słusznie, no i w związku z tym wszystko stanęło na głowie.

No i teraz siedziałem w lesie, gotów zabić obcego jegomościa nie należącego nawet do organizacji, a więc nie podlegającego jej

prawom, tylko dlatego, że chciała tego bogini. Ludzie wierzą bogom i uważają, że ci postępują słusznie. Dragaerianie nie mają podobnych ciągot ani złudzeń. Ja zaś byłem człowiekiem wychowanym w dragaeriańskiej społeczności i dlatego właśnie miałem w tej sprawie mieszane uczucia.

Nie mając nic lepszego do roboty, żułem źdźbło trawy i przyglądałem się drzewom. Te przede mną były co do jednego pochylone w prawo jakby pod wpływem stale wiejącego wiatru. Miały gładkie pnie, a gałęzie wyrastały dopiero od wysokości piętnastu—dwudziestu stóp, przez co wyglądały jak przerośnięte grzyby pełne zielonych liści. Te za mną bardziej przypominały krzewy. Były nieco wyższe ode mnie, rosły zbite w grupy i miały odsłonięte korzenie rosnące pionowo; wyglądały tak, jakby były gotowe sobie pójść, gdy tylko przyjdzie im na to ochota. Nazywały się, jeśli mnie pamięć nie myliła, cloin—burr i Cawti miała suknię z ich włókien. Sama je zebrała w końcu lata, gdy zmieniały barwę z jasnozielonej na czerwoną, dzięki czemu ozdobiona białymi koronkami powłóczyta szata miała na dole jasnozielony kolor łagodnie przechodzący w czerwień, a pod szyją w karmazyn. Kiedy weszła w niej do restauracji „U Valabara”, wzbudziła powszechną sensację.

Wyplułem przeżute źdźbło, sięgnąłem po następne i nadal czekałem na zachód słońca. A gdy ten wreszcie nastąpił, nie ruszyłem się, nadal czekając nie wiedzieć na co.

W końcu Loiosh miał tego dość.

Szefie, bierzemy się do roboty czy masz zamiar powiedzieć Verze, żeby znalazła sobie kogoś innego do wykończenia tego dupka, bo dostałeś nagłego ataku wątpliwości i skrupułów?

Zamiast odpowiedzieć, rozpałem niewielkie ognisko i wrzuciłem weń wszystkie notatki, a potem na wszelki wypadek

roztarłem popiół.

A potem ruszyłem w stronę pałacu.

* * *

Kiedy wyszedłem z pałacu, na grzbiecie prawej dłoni miałem królewską krew. Znikając w mroku otaczającym budynek, zachowałem szczególne względy ostrożności, pierwsze bowiem chwile po zabójstwie zawsze są najgroźniejsze, a tym razem znajdowałem się w sytuacji, w której każdy błąd mógł okazać się śmiertelny.

Zupełnie ciemno będzie mniej więcej za godzinę, dlatego nie biegłem, lecz szedłem szybkim krokiem — nie chciałem zwracać uwagi. Za pazuchą miałem sztylet owinięty w zakrwawiony materiał — wolałem nie zostawiać go przy zwłokach. Brak magii brakiem magii, a jeśli używali tu czarów? Zbyt mało wiedziałem, by ryzykować.

Loiosh krążył nad pałacem i obserwował, czy pościg już się zaczął.

I co się dzieje, Loiosh?

Pościgu nie ma, szefie. Za to zamieszanie jak cholera. Szukają cię po całym budynku i ogrodzie, tylko jakoś tak bez sensu. Doświadczenia nie mają czy co?!

To dobrze. Zauważyłeś jakieś rytuały czy czary?

Nie. Ganiają tylko w kółko... zaraz, ktoś właśnie wybiegł... zaczyna wysyłać patrole w różnych kierunkach... ale za tobą nikt nie idzie.

A ilu idzie w kierunku portu?

Cztery grupy po czterech.

Dobra. Wracaj.

Może minutę później wylądował na moim ramieniu.

Dlaczego nie zostawiłeś sztyletu, szefie?

Jeżeli mnie złapią, to posiadanie go i tak mi nie zaszkodzi. A nie chciałem go zostawiać na wypadek, gdyby mieli tu czarownicę.

Aha. A teraz idziemy nad morze?

Zgadza się.

Dopiero gdy oddaliłem się od miasta, zacząłem biec. Ten fragment planu niezbyt mi się podobał, ale na nic lepszego nie wpadłem, więc pozostało tylko dbać o formę fizyczną. Sprawy nie ułatwiał fakt, iż miałem przy sobie parę ładnych funtów żelastwa poukrywanych w odzieży i rapier, który nawet gdy znajdował się w pochwie — nie był bronią zaprojektowaną z myślą o bieganiu.

Niemniej jednak nie miałem wyjścia, więc na zmianę bieglem i szedłem szybkim krokiem. Liczyły się czas i szybkość, bo tylko dzięki nim mogłem uciec. Po drodze przeszedłem przez strumień i z miłym zaskoczeniem stwierdziłem, że nogi mam nadal suche. Oto co znaczą buty zrobione z porządnej skóry przez dobrego szewca, no i zakonserwowane tłuszczem chreothy.

Mój plan opierał się na dotarciu przed świtem do portu. Miałem ukraść niewielką łódkę i odpłynąć wystarczająco daleko od wyspy, by móc się teleportować. Jednym z głównych mankamentów całego pomysłu było to, że nie wiedziałem, jak bardzo będę musiał się oddalić. Dlatego też ważna była szybkość i pozostanie niezauważonym, dopóki przebywałem na wyspie. Z obliczeń wychodziło mi, że jeżeli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, powinienem znaleźć się w porcie około dwóch godzin przed świtem. Ważne było, by przez cały czas

utrzymać przewagę nad pościgiem, który poruszał się drogą.

Jeżeli nie zdążę i nabrzeża będą strzeżone, będę musiał się ukryć i czekać, a to zwiększało szanse...

Ktoś jest przed nami, szefie! Ostrzeżenie wyrwało mnie z rozmyślań. *Więcej niż jeden! Są blisko. Lepiej...*

Co lepiej, już się nie dowiedziałem, gdyż coś uderzyło mnie w ramię i znalazłem się na ziemi. Leżałem na plecach... nie mogłem ruszyć lewą ręką... bolało... — przez pierwsze sekundy byłem dziwnie otumaniony. Potem zobaczyłem obok okrągły kamień; najwyraźniej nim zostałem trafiony.

A potem usłyszałem Loiosha:

Szefie, atakują!

I skończyło się wylegiwanie.

Z zasady dobrze pamiętam przebieg walki, a to dlatego, że dziadek wyszkolił mnie, bym zapamiętywał lekcje fechtunku, byśmy potem mogli je omawiać. Natomiast przebieg tej walki, jak i jej wspomnienia są dziwnie zamazane, jakby składały się z serii pojedynczych obrazów, które pamiętam wyraźnie, i przerw, które między nimi następowały.

Stwierdziłem, że stoję, choć wstawania nie pamiętałem, a Loiosh atakuje twarz kobiety w jasnobieżowym stroju. Mogłem się nią nie przejmować, przynajmniej chwilowo... W dłoni miałem rapier, którego wydobycie sprawiło mi trochę bólu... ciąłem wysoką kobietę w nadgarstek, a jej towarzysza pacnąłem nad kolanem... zawirowałem w uniku i zakręciło mi się w głowie... wszyscy uzbrojeni byli w sulice i łysy z błękitnymi oczyma i brzuszyskiem prawie mnie nadział na swoją... odbiłem drzewce i odruchowo sięgnąłem po sztylet, ale moja lewa ręka nie chciała mnie słuchać, więc ciąłem go przez twarz i kontynuowałem obrót.

Trzy lub cztery razy Loiosh kazał mi się uchylić i natychmiast wykonywałem jego polecenia: byliśmy zgranym zespołem i mieliśmy doświadczenie w podobnych starciach w przeciwieństwie do napastników. Tylko jedna osoba zorientowała się, że Loiosh mnie ostrzega, ale i tak jej to nie pomogło.

Całe starcie trwało nader krótko, a ja przez cały czas pozostawałem w ruchu, starając się tak manewrować, by napastnicy przeszkadzali sobie nawzajem, co mi się nie najgorzej udawało.

W końcu zacząłem wyrównywać szanse — pchnąłem grubasa prosto w serce, ale straciłem przy tym rapier... ze sztyletem w prawej dłoni skoczyłem ku drugiemu napastnikowi, nurkując pod ostrzem jego broni. Zapamiętałem, że miał szeroki skórzany pas, do którego przypięty był róg... nie pamiętam dokładnie, jak go załatwiłem, ale po walce znalazłem swój sztylet w jego szyi... cisnąłem sulicą... chybiłem... Loiosh kazał mi się schylić i zrobiłem to... poczułem palący ból smagający przez plecy i wiedziałem, że dostałem... z tyłu rozległ się przeraźliwy wrzask — Loiosh dopadł tego, który mnie zranił... klęczałem i zobaczyłem wysoką kobietę biegnącą prosto na mnie z pochyloną sulicą...

Leżałem na plecach, a ona stała nade mną z dwoma nożami wbitymi w ciało — jednym w krtani, a drugim między piersiami — i wyrazem osłupienia na twarzy, której połowę zasłaniał wczepiony w nią Loiosh. Trucizna Jherega nie działa najszybciej, ale za to skutecznie, a ona już była martwa, tylko jeszcze to do niej nie dotarło... odtoczyłem się w bok, a ona westchnęła i padła jak długa w miejscu, w którym przed chwilą się znajdowałem...

Leżałem i z trudem łapałem powietrze... podniosłem głowę i

rozejrzałem się... druga kobieta siedziała oparta o drzewo, jeszcze oddychała, ale w brzuch miała wbitą własną sulicę... pojęcia nie mam, jak tego dokonałem. Patrzyła na mnie i chciała coś powiedzieć, ale ustami buchnęła krew. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz i znieruchomiała.

Załatwiliśmy całą czwórkę, Loiosh!

Wiem, szefie!

Z ubrania dobitej przez Loiosha uciąłem grube pasy i przykryłem nimi ranę na plecach. Bolało jak cholera, ale zdołałem położyć się na tym pseudoopatrunku, nim zemdlałem. Miałem nadzieję, że nacisk ciała na materiał zatamuje krwawienie.

W sumie przytomność straciłem na parę minut, ale leżałem z dobrą godzinę, nim odważyłem się sprawdzić, czy zdołałem usiąść. W górze krążyły jheregi, czując świeżą padlinę, i Loiosh parokrotnie oferował się przegonić je, ale nie chciałem, by się ode mnie oddalał. To ja musiałem się stąd oddalić i był najwyższy czas, żeby się do tego zabrać.

Z trudem zdołałem wstać, a z jeszcze większym nie wrzasnąć. Z sakwy u pasa wyjąłem parę ingrediencji do rzucania czarów, zabranych na wszelki wypadek, zacząłem od przeżucia liścia kelschu, by odzyskać choć trochę energii, a potem zabrałem się do sporządzania opatrunku. Podstawę stanowiła mieszanka spleśniałego chleba, sproszkowanej kineery, żywokostu i oleju goździkowego. Owinąłem tę mieszankę kolejnym kawałem płótna z odzieży mej niedoszłej zabójczynie i zwilżyłem wodą z manierki. A potem w jakiś sposób zdołałem umieścić to wszystko na miejscu płata materii, który faktycznie powstrzymał krwotok. Rana znów zaczęła krwawić, gdy go oderwałem, a przy okazji

rozbolała solidnie, ale udało mi się dokończyć opatrunek. Potem sporządziłem drugą mieszankę z oleju goździkowego, rozduszonych igieł sosnowych i corfiny. Rozmoczoną maź przyłożyłem do ramienia i owinąłem pasem materiału.

Wyplułem przezuty liść, włożyłem do ust następny i zająłem się zbieraniem broni. Przy tej okazji opatrunek na plecach przesunął się, więc go poprawiłem i ściągnąłem pasem grubasa.

A potem zacisnąłem zęby i ruszyłem w dalszą drogę.

Zdołałem pokonać może ze sto jardów, gdy zaczęło mi się tak kręcić w głowie, że musiałem usiąść.

Po paru minutach odpoczynku spróbowałem ponownie.

Przeszedłem może ze sto pięćdziesiąt jardów.

Siadłem, zakląłem i sięgnąłem po następny liść.

Pomogło, bo przeszedłem prawie milę, nim znów musiałem odpocząć.

Loiosh, tak w ogóle to w jakim kierunku idę?

Właściwym, szefie. Powiedziałbym ci, gdybyś nie szedł do portu.

Aha. To dobrze.

I na tym skończyłem pogawędkę, bo nawet telepatia wydawała się męczącym zajęciem. Posiedziałem długą chwilę i zebrałem się do pionu.

I poszedłem dalej, starając się myśleć o tym, co mnie nie boli.

* * *

Uszedłem może z pięć mil od pałacu, co oznaczało, że do portu zostało mi jeszcze siedem, gdy Loiosh przerwał milczenie:

Ktoś jest przed nami, szefie.

Znowu? Ilu?

Jeden!

Jak daleko?

Okolo stu stóp.

Schowałem się za najbliższe grube drzewo, zastanowiłem i spytałem Loiosha:

Dlaczego ich tak późno zauważasz?

Nie wiem. Mają bardzo mało energii psychicznej. Może... zniknął!

Jak to zniknął?! Teleportował się?

Nie wyczułem teleportu, szefie!

Przecież nie zapadł się pod ziemię!

Kto wie? Może... co to jest?

„To” było ledwie słyszalnym dźwiękiem stopniowo przybierającym na sile i dziwnie pulsującym na kształt delikatnej sugestii rytmu.

Jakby hipnotyczne, szefie.

Aha. Przyjrzyjmy mu się.

Co? Dlaczego? Przecież chcemy pozostać niezauważeni!

Jeżeli mnie szuka, to i tak nie ucieknę, bo on lepiej zna teren. Jeżeli nie... nie oszukujmy się: w tym stanie nie dotrę do portu. A co dopiero mówić o obsłudze jakiejś przeklętej łodzi.

To co masz zamiar zrobić?

Jeszcze nie wiem. Mogę go zabić i zabrać coś, co może nam się przydać... jeżeli ma cokolwiek takiego.

Myślisz, że zdołasz go zabić?

Jeżeli będę musiał...

Obiekt naszego zainteresowania siedział na niewielkiej

polance będącej równocześnie płytkim zagłębieniem. Nogi miał podwinięte, plecy wyprostowane, a mimo to sprawiał wrażenie zrelaksowanego. Oczy miał otwarte i spoglądał mniej więcej w naszym kierunku, ale nie wydawał się nas dostrzegać. Im bliżej podchodziłem, tym bardziej zaskakiwały mnie rysy jego twarzy, gdyż nie wyglądał na przedstawiciela żadnego znanego mi domu. Jak na Tiasę był zbyt blady, jak na Athyrę zbyt chudy, oczy miał lekko skośne jak ktoś z Domu Dzura, a wystające kości policzkowe i ostry podbródek upodabniały go do Smoka lub Feniksa. Włosy miał jasnobrązowe, choć na pierwszy rzut oka wydawały się ciemniejsze przy bladej cerze. Ubrany był w workowate portki, sandały i niebieską kamizelkę z frędzlami. Na szyi miał zawieszony duży czarny klejnot na łańcuszku. Ogólnie sprawiał dziwne wrażenie.

Pod lewą pachą trzymał dziwny przedmiot — okrągły, mniej więcej dwustopowej średnicy.

To bęben, szefie! — Loiosh rozpoznał go pierwszy. Obciągnięty skórą, ale...

Wykonany z muszli — dokończyłem. Podejrzewam, że jest niegroźny. Możemy go zabić albo poprosić o pomoc. Chyba że masz jeszcze inne pomysły.

Szefie, wątpię, żebyś w obecnym stanie zdołał go utrucić.

Z zaskoczenia...

Dźwięk nagle umilkł, a siedzący spojrzał na nas całkiem przytomnie. Popatrzył na bęben i poprawił jeden ze skórzanych naciągów, po czym uderzył parokrotnie w naprężoną skórę jakąś pałeczką. Rozległ się głęboki i zadziwiająco melodyjny dźwięk. Mimo to zmarszczył brwi i poprawił inny naciąg. I sprawdził

brzmienie. Tym razem wydał się zadowolony, choć ja nie usłyszałem żadnej różnicy.

Odchrząknąłem i zagałem:

— Dobry wieczór.

Kiwnął głową i uśmiechnął się lekko.

Spojrzał na Loiosha i znów na bęben. Uderzył weń lekko, potem silniej.

— Ładnie brzmi — zaryzykowałem.

Wytrzeszczył oczy, ale jego mina wyrażała nie tylko zdziwienie i zaskoczenie.

Tyle że pojęcia nie miałem co jeszcze.

Wreszcie raczył się odezwać:

— Jesteś z kontynentu?

— Owszem. Jesteśmy w odwiedzinach.

Kiwnął głową i zamilkł.

Rozejrzałem się, szukając tematu do rozmowy, ale żaden się w okolicy nie chciał pojawić.

Spytałem więc rozpaczliwie:

— Jak się nazywa to, co trzymasz pod pachą?

— Na wyspie nazywamy to bębniem.

— Dobra nazwa — przyznałem.

Zrobiłem dwa kroki ku niemu...

A potem ziemia mnie uderzyła.

* * *

Zobaczyłem wierzchołki drzew kołyszące się na lekkim wietrze. Pachniało porankiem. I bolało wszędzie.

Szefie?

Witaj. Gdzie jesteśmy?

*Nadal na polanie. Z dobozem. Jesteś znowu głodny?
Dobozem? A, pamiętam. Jak to znowu?
Karmił cię już trzy razy, odkąd padłeś jak kłoda. Nie pamiętasz?
Zastanowiłem się i zdecydowałem, że nie pamiętam.
Jak długo tu jesteśmy?
Trochę dłużej niż dobę.
O! I nie znaleźli nas?
Nikt się w pobliżu nie pojawił.
Dziwne. Zostawiłem ślad, który ślepy powinien znaleźć.
Może jeszcze nie znaleźli tego patrolu.
Jeżeli nawet, to i tak wkrótce znajdą. Musimy ruszać dalej.*

Powoli usiadłem.

Dobosz popatrzył na mnie, pokiwał głową i wrócił do strojenia instrumentu.

— Zmieniłem ci opatrunek — powiedział.

— Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

Nie odezwał się.

Spróbowałem wstać i szybko doszedłem do wniosku, że źle zrobiłem. Wróciłem do pozycji siedzącej i wziąłem parę głębokich oddechów. Pomogło, acz nadal nie wiedziałem, ile czasu minie, nim będę nadawał się do marszu. Jeżeli kilka godzin, to pół biedy. Jeżeli kilka dni, lepiej było od razu się poddać.

Odkryłem, że chce mi się pić, i oznajmiłem to głośno. Podał mi manierkę z dziwnie smakującą wodą i znów zajął się bębniem. Zmieniłem pozycję, by móc oprzeć się o drzewo, i odpoczywałem, nasłuchując, czy ktoś się nie zbliża.

Po jakimś czasie mój opiekun odłożył bęben, rozпалиł ognisko i zagotował wodę w kociołku, po czym wziął się do przyrządzania

zupy. Okazała się raczej cienka, ale sądzę, że to z powodu mojego stanu.

Pijąc ją drobnymi łyżkami, przedstawiłem się:

— Jestem Vlad.

— Aibynn — odwzajemnił uprzejmość. — Jak zostałeś ranny?

— Kilkoro twoich ziomków nie lubi obcych. Typowy prowincjonalizm, nic się na to nie poradzi.

Spojrzał na mnie dziwnie i uśmiechnął się.

— Nieczęsto widzujemy tu kogoś z kontynentu. Zwłaszcza karłów.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że uważa mnie za wyjątkowo niedorozwiniętego fizycznie Dragaerianina. Dziwne i dziwniejsze...

— Przypadek specjalny — poinformowałem go. — Dlaczego mi pomagasz?

— Bo nigdy nie widziałem nikogo, kto potrafiłby wytresować jherega.

Wytresować?! Ty...

Zamknij się łaskawie, Loioosh!

Głośno zaś odrzekłem:

— Jestem ci wdzięczny za pomoc. Dobrze, że cię tu spotkałem.

— To dobre miejsce do pracy. Niewiele osób mi przeszkadza... co to było?!

Westchnąłem.

— Wygląda na to, że ktoś się zbliża — powiedziałem ciężko.

Przez chwilę przyglądał mi się tępo, po czym niespodziewanie spytał:

— Zdołasz wspiąć się na drzewo?

Obliziałem wargi.

— Może...

— W ten sposób nie pozostawisz śladów.

— Jeżeli idą moim tropem, to kiedy nagle się urwie, zaczną zadawać ci pytania.

— Prawdopodobnie.

— I co wtedy?

— Odpowiem im.

Przyglądałem mu się przez chwilę uważnie.

Co ty na to, Loiosh?

To najlepszy z możliwych pomysłów, szefie.

Zobaczmy...

Okazało się, że mogę wspiąć się na drzewo. Nie było to nawet trudne, ale bolesne. Ukryty wśród gałęzi znieruchomiałem, słysząc ostrzeżenie Loiosha i równocześnie odgłosy z dołu. Ponieważ nie widziałem ziemi, istniała spora szansa, że z ziemi mnie też nie widzą. Wiatru nie było, przez co dym z ogniska walił mi prosto w nos. Na szczęście był aromatyczny i nie było go zbyt wiele. W ten sposób pomagał mi w ukryciu się, a nie spowodował ataku kaszlu.

— Niech dobry dzień będzie z tobą — odezwał się męski głos brzmiący niczym łabędź w rui.

— I z tobą — odparł Aibynn.

A potem zaczął bębnić.

— Przepraszam... — odezwał się łabądek.

— A co narozrabiałeś? — zainteresował się Aibynn.

— Za to, że ci przeszkadzam.

— A! Nie przeszkadzasz mi.

I znowu zaczął bębnić.

Z pewnym trudem powstrzymałem atak wesołości.

— Szukamy obcego. Karła.

Bębnienie ucichło.

— Spróbujcie na kontynencie — zaproponował uprzejmie Aibynn.

Łabądek wydał trudny do zinterpretowania dźwięk, a potem rozległo się mamrotanie paru głosów, zbyt ciche, bym zdołał je zrozumieć.

Potem odezwała się kobieta o niskim, przypominającym sowę, a raczej młodą sówkę, głosie:

— Idziemy jego tropem. Jak długo tu jesteś?

— Całe życie — przyznał smętnie Aibynn.

— Dzisiaj, idioto! — zirytował się łabądek.

— Też — potwierdził Aibynn.

Do rozmowy wtrącił się drugi mężczyzna. Jego głos brzmiał normalnie, czyli tak jak głos dorosłego mężczyzny.

— Jego ślady prowadzą na tę polanę. Widziałeś go?

— Mogłem nie zauważyć — przyznał Aibynn. — Stroję bęben, a to wymaga skupienia.

— Chcesz powiedzieć, że mógł tędy przejść nie zauważony?! — zdumiał się łabądek. — Cril i Sandy, rozejrzyjcie się! Sprawdźcie, czy gdzieś odchodzą jakieś ślady.

Ktoś na dole podszedł do samego pnia. Zamarłem w bezruchu.

— Ty jesteś Aibynn z Lowporch, tak? — przerwała mu sówka.

— Tak.

— Słyszałam, jak grasz na Zimowym Festiwalu. Jesteś bardzo dobry.

— Dziękuję.

— To nowy bęben?

— Nie mamy czasu na... — zapiał łabądek, ale Aibynn zagłuszył go natychmiast.

— Zupełnie nowy. Zrobiłem go z muszli małża obciążniętej skórą nytha, a górną część z zuchwy owiniętej skórą nytha i

materiałem. Żeby bęben był dobry, trzeba go sezonować w ognisku, do którego dodaje się muszli adnuta, nasion morwy, korzeni powoju, czosnku, śpiącznika, dreamgrassu i...

Przerwał mu trzeci męski głos, którego dotąd nie słyszałem:

— Nic, musi tu gdzieś być!

Aibynn nie dał się tak łatwo uciszyć.

— Ten jest już prawie gotów. Tak go obmyśliłem, by dało się zmieniać dźwięk w trakcie gry. O, tu jest pokrętło. Trzymam lewą ręką i gdy przekręcę... o, w ten sposób, skóra się napręży i dźwięk staje się wyższy...

I zademonstrował.

— Rozumiem... — powiedziała sówka.

Za to łabądek nie wykazał śladu zrozumienia.

— Słuchaj no: ten karzeł zabił czworo gwardzistów królewskich i mamy wszelkie powody sądzić, że...

Aibynn tak jak poprzednio zignorował go całkowicie.

Dźwięk, który wydobył z bębna, był płynnym pulsem, w którym dopiero po chwili zaczął pojawiać się rytm, który stopniowo stawał się coraz bardziej skomplikowany. Dopiero wtedy dało się w nim rozróżnić poszczególne uderzenia i wariacje tonów.

Coś zapachniało słodko.

A Aibynn wyjaśnił:

— Po wysezonowaniu trzeba grać kilka godzin, żeby oba elementy spasowały się.

Jego głos wplatał się w rytm bębna, czasem zagłuszając go nieco, czasem cichnąc. Nie wiedziałem, czy nadal eksperymentował ze strojeniem, czy też był to efekt, o który mu od początku chodziło.

— Skórę trzeba natrzeć emulsją z żywicy wiązu... wtedy da się

dobrze stroić, a dźwięk będzie dochodził z samego wnętrza bębna... Lecuda rządzi tańcem i magią, które w sumie są tym samym... niektóre z najstarszych bębnów są najlepsze, gdyż muszle zaczęły w nich absorbować dźwięk po tak wielu latach. Ostatnim razem, gdy próbowałem czegoś takiego, miałem pożyczony bęben...

Dalszą wypowiedź zagłuszyło niespodziewane pytanie Loiosha:

Szefie, on powiedział dreamgrass? Szefie!

A ja poczułem nieodpartą ochotę, by się położyć...

A potem leciałem... przeleciałem przez gałęzie, nie czując, żebym ich dotykał... usłyszałem czyjś przerażony głos:

— Uwaga!

Tego, jak zetknąłem się z ziemią, już nie pamiętałem.

Lekcja czwarta

Pójście w zaparte na przesłuchaniu

Różne są definicje tego, co określa się mianem „cywilizowane”. Dla Dzura—bohatera oznacza to przestrzeganie zasad pojedynku. Dla lorda z Domu Smoka zachowanie wszystkich towarzyskich subtelności w trakcie masowego mordu zwanego bitwą. Dla kogoś z Domu Yendi dołożenie starań, by nikt nie wiedział, co on knuje. W kraju moich przodków oznaczało to picie czerwonego wina mającego temperaturę nie wyższą niż 55°. Dla wyspiarzy oznaczało to coś, co mi się naprawdę spodobało.

— Jesteśmy cywilizowani, jakbyś nie wiedział, i nie torturujemy więźniów — oznajmił mi przesłuchujący obdarzony naprawdę krzaczastymi brwiami. — I nie bijemy.

Tak mnie zaskoczył, że języka w gębie zapomniałem, więc tylko kiwnąłem głową.

Skrzywił się nieznacznie, choć nie wiem z jakiego powodu, i dodał na pocieszenie:

— Choć najprawdopodobniej zostaniesz stracony.

Ciekawe, kogo miał zamiar pocieszyć...

Na drugi rzut oka jego brwi wcale nie były tak imponujące — wrażenie to sprawiało wysokie czoło. Z rysów twarzy najbardziej przypominał Athyrę i zachowywał się podobnie — był chłodny, zdystansowany i inteligentny.

— Stracony za co? — spytałem uprzejmie.

Zignorował moje pytanie. Obaj wiedzieliśmy za co, a to, że nie chciałem tego przyznać, było moim problemem.

— Zakładam, że jesteś albo płatnym zabójcą, albo fanatykiem ślepo oddanym jakiejś osobie, sprawie czy bóstwu — dodał. — Istnieje możliwość, iż jeśli będziesz współpracował i opowiesz nam o okolicznościach, które skłoniły cię do tego czynu, przeżyjesz. Jest to mało prawdopodobne, ale możliwe.

Mówił podobnie jak Morrolan, ale na tym podobieństwo się kończyło.

Już miałem zaprotestować, gdy uciszył mnie gestem.

— Pomyśl nad tym — powiedział i wstał. — Możemy dać ci czas do namysłu, ale nie za długi. Wróć.

I wyszedł, zostawiając mnie w samotności.

Miało to miejsce trzeciego dnia po ujęciu mnie. Przez te trzy dni rozmaite osoby troszczyły się o moje zdrowie, dzięki czemu tego dnia byłem w stanie samodzielnie przejść do wychodka (całe sześć kroków!), nie trzymając się kurczowo ścian. Było to mierne osiągnięcie, niemniej byłem z niego dumny.

Dzień od nocy rozróżniałem, bo pomieszczenie miało okno — wąskie i na wysokości ośmiu stóp, ale miało. Otwór wyposażono w grube poziome pręty ze stali dodane już po zbudowaniu pałacu, a możliwe, że w ciągu ostatnich paru dni, co mogło stanowić ich słabość. Nie sądziłem, by pokój przeznaczono od razu na celę, ale sprawdzał się po modyfikacjach. Drzwi były grube i od wewnątrz zaopatrzone w solidną zasuwę albo i antabę, sądząc po odgłosach towarzyszących wchodzeniu kogokolwiek. Jedyne umeblowanie zaś stanowiło krzesło i dwa posłania dłuższe ode mnie, z siennikami wypchanymi czymś miękkim i szeleszczącym.

Ubrany byłem w workowatą szatę jasnobrązowej barwy

wykonaną ze skóry jakiegoś zwierzęcia. Dostałem ją, gdy zabrali mi moją odzież. Nie wiedziałem, czy taki tu mają zwyczaj, czy zostałem potraktowany wyjątkowo, bo znaleźli w moim ubraniu tyle broni, że doszli do słusznego wniosku, że wszystkim nie odszukają bez prucia całego ubioru. Natomiast nie dali mi butów, co mnie irytowało, bo nigdy nie lubiłem chodzić na bosaka, nawet jako dzieciak.

Karmiono mnie dwa razy dziennie. Pierwszego dnia nie pamiętam, drugiego było coś z ryby, przesolone i niedoprawione. A na drugi posiłek jakaś zupa smakująca lepiej niż wyglądała. Trzeciego dnia dostałem potrawkę z ośmiornicy, z której dobry kucharz mógłby przyrządzić coś naprawdę smacznego, oraz rybę z warzywami i chlebem. Resztki tego dania leżały jeszcze na drewnianym talerzu obok posłania. Chleb był ciemny i naprawdę dobry.

Dwukrotnie próbowałem rzucić niewielkie czary lecznicze — bez żadnego efektu. Zaskoczyło mnie to, gdyż było, łagodnie mówiąc, dziwne. Jedną rzecz to odciąć komuś więź z Kulą i pozbawić go w ten sposób energii do korzystania z magii. Czary natomiast czerpały energię wewnętrzną z czarującego i były sprawą umiejętności. Nie rozumiałem, jak kogoś można odciąć od jego własnej energii, a tylko to wchodziło w grę, bo umiejętności mnie nie pozbawiono: pamiętałem zaklęcia i inwokacje.

Z drugiej strony Loiosh miał problemy z zauważeniem wyspiarzy, gdyż, jak mówił, ich umysły były niewidzialne. To także było dziwne i mogło mieć jakiś związek... Poza tym kilkakrotnie próbowałem nawiązać telepatyczny kontakt z Morrolanem i Sethrą. Bez żadnego rezultatu, a dotąd także mi się to nie przydarzyło.

Przez cały ten czas Loiosh nie odezwał się ani razu. Na jego temat zresztą także nie padło ani jedno słowo — zupełnie jakby nigdy nie istniał. Martwiło mnie to, podobnie jak brak wiedzy, czy nic mu się nie stało. Miałem dziwne przekonanie, że wiedziałbym, gdyby przydarzyło mu się coś złego, ale przyzwyczailem się do jego towarzystwa i brakowało mi go.

Żeby o nim nie myśleć, zabrałem się do analizowania rozmowy z przesłuchującym. W to, że przeżyję, nie wierzyłem — zabiłem czterech gwardzistów i Króla, więc nie było co się łudzić. Miła była natomiast informacja, że są cywilizowani. Wspomnienie ostatnich tortur jeszcze stawiało mi włosy dęba. Natomiast prawdziwie zagadkowa była jego pierwsza wypowiedź, gdy wszedł do celi. Przedstawił się i oświadczył mianowicie:

— Przetrywamy cię pod zarzutem zabicia Jego Majestatu Króla Haro Olithorvolda. Chcemy, byś powiedział nam, dlaczego to zrobiłeś, dla kogo, skąd przybyłeś...

Zrobiłem minę uciśnionej niewinności, ale nim zdążyłem zaprotestować, dodał:

— Nie próbuj zaprzeczać. Twój współnik przyznał się do wszystkiego.

— Tak? Cóż, to zmienia postać rzeczy! Macie mojego współnika, pięknie. A kto to taki i do czego właściwie się przyznał? Jeśli wolno zapytać, naturalnie.

Wtedy palnął mi mówkę, że są cywilizowani, i poszedł sobie.

Oczywiste było, kogo miał na myśli — specjalistę od bębnow. Kiedy się ocknąłem, bez trudu domyśliłem się, że straciłem przytomność pod wpływem odurzającego ziele zwanego dreamgrass, którego dym ma właściwości odprężająco—usypiające. Uznałem wtedy, że dodał go do ognia specjalnie, by to

właśnie osiągnąć. Teraz nie byłem tego taki pewien... naturalnie istniała możliwość, że tak zrobił, a oni po prostu mu nie uwierzyli. Albo też mógł to być przypadek i było tak, jak mówił. Albo wszyscy byli w zмовie i knuli intrygę, której celu nawet się jeszcze nie domyślałem...

Co doprowadziło mnie prawie do spiskowej teorii dziejów.

W sumie i tak były to czysto teoretyczne spekulacje, jako że nic nie mogłem zrobić, by je zweryfikować. Byłem po prostu ciekawy. A co dziwniejsze, nie bałem się. Wiedziałem, że kilka dni jeszcze pożyję, bo będą próbowali przekonać mnie, żebym im powiedział, kto mi zlecił zabójstwo. Zastanawiałem się nawet, czy tego nie zrobić, by zobaczyć głupią minę przesłuchującego. Byłoby to jednak złamanie zasad kontraktu, a miałem swój zawodowy honor.

Za dzień lub dwa zaś powinienem odzyskać siły na tyle, by móc zacząć realnie myśleć o ucieczce. I tak nie miałem nic do stracenia — zabić mogli mnie tylko raz. Nie było się więc czego bać.

Wystarczyło, że byłem przerażony.

Powód był prosty: nie chciałem umierać. Już mi się to raz przytrafiło i nie spodobało ani trochę. A tym razem nie istniał nawet cień szansy na wskrzeszenie. Pozostała więc tylko ucieczka, tyle że rozglądając się po celi i rozmyślając o okolicznościach, nie widziałem żadnego sposobu, by tego dokonać.

A szlag by to, ale żal było umierać. Osiągnąłem niezłą pozycję, startując od zera, i chciałem dowiedzieć się, jak się sprawy rozwiną. Chciałem zostawić po sobie pewne zmiany, tak by świat wyglądał nieco inaczej... może nawet lepiej, choć nie to było moim celem.

A tymczasem wyglądało na to, że niczego nie zmienię, tylko dam się zabić, spełniając zachciankę bogini, która nawet nie mogła pomóc mi w ucieczce. Naturalnie gdyby chciała. Była to frustrująca świadomość dla kogoś o tak ambitnych planach na przyszłość. Coś podobnego, tylko gorszego i nie z tych powodów, musiało przytrafić się Cawti i dlatego przestała być osobą, z którą się ożeniłem, a stała się kimś, kogo nie sposób zrozumieć...

Ukołyszany tymi ponurymi rozmyślaniami zasnąłem.

* * *

Obudził mnie strażnik z kolejnym posiłkiem. Tym razem była to potrawka z jakiegoś zwierzaka, choć mięsa znajdowały się tam ilości śladowe, za to alg zatrzesienie. I chleb.

Należało poważnie zająć się ucieczką: jeśli chleb przestanie mi smakować, umrę tu z głodu.

Sprawdziłem, czy mogę się poruszać.

Mogłem i nawet za mocno nie bolało. To znaczy ramię i plecy prawie mnie nie bolały, natomiast czułem to, co poobijałem sobie, spadając. Gdyby nie gałęzie, jak nic połamałbym kończyny albo i kark, a i tak miałem szczęście, że nie wybiłem sobie zębów albo nie odgryzłem języka. Sądząc po tym, co i jak mnie bolało, stykałem się z gałęziami raczej gwałtownie.

* * *

Przesłuchujący wrócił dopiero po dwóch dniach. Pewnie uważał, że skruszeję przez ten czas. Pomylił się — nie byłem padliną. Przynajmniej jeszcze nie. Usiadł w odległości paru kroków od posłania. Gdybym miał nóż i trochę lepiej się czuł,

mógłbym zrobić z niego zakładnika. Albo źródło informacji — na pewno znał rozkład budynku i rozmieszczenie wart.

Tak mogłem o tym jedynie pomarzyć.

I obserwować z satysfakcją, jak się poci — najwyraźniej spodziewał się, że spróbuję.

— I co? — spytał, starając się, by zabrzmiało to surowo i ostatecznie.

— Chciałbym się do czegoś przyznać...

— Bardzo dobrze.

— Mianowicie do tego, że mam wielką ochotę na dużą porcję pieczonej w papryce i cebuli kethny marynowanej w cytrynie i...

— Uważasz, jak sądzę, że to zabawne — warknął, i nie było to pytanie.

Potrząsnąłem głową.

— Jedzenie nie jest zabawą — poinformowałem go poważnie. A to, co podajecie, jest tragiczne.

Zacisnął dłonie w pięści — chyba zaczął się denerwować, ale mi nie przyłał. Oznaczało to, że albo mówił prawdę o traktowaniu więźniów, albo szykowali dla mnie coś specjalnego.

Zamiast tego spytał po chwili:

— Chcesz umrzeć?

— Nie, ale w końcu każdemu się to przytrafi.

— Chcemy wiedzieć, kto cię przysłał.

— Miałem wizję.

To go dobiło: wstał i wyszedł.

A ja zacząłem się zastanawiać, co wymyślą, by uprzykrzyć mi życie. Miałem nadzieję, że nie będzie to więcej alg.

* * *

Część następnego dnia spędziłem na ćwiczeniach i na przypominaniu sobie poprzednich pobytów w więzieniach. Jeden, w lochach Cesarskiego Pałacu, był szczególnie długi i związany z uzyskaniem obecnej pozycji w organizacji. Przy okazji Alera zwróciła na siebie uwagę Cesarzowej. Trwało to ładnych parę tygodni i najgorsza była nuda. Żeby zabić czas, wymyśliłem wtedy system porozumiewania się ze współwięźniami, dzięki czemu mogliśmy wymieniać komentarze o klawiszach. Teraz nie próbowałem tego, nie wiedząc, czy po sąsiedzku są inni więźniowie. Nie lubię męczyć się na próżno.

Ćwiczenia i rozważania przerwało mi otwarcie drzwi.

— Aibynn — powitałem gościa. — Przyszedłeś mnie pocieszyć czy sprawdzić, jak przeżyłem lot z drzewa?

Usiadł na sąsiednim posłaniu. Wyglądał na zaskoczonego moim widokiem.

— Chyba nie jesteś przyzwyczajony do dreamgrassu — ocenił.

— Byłem osłabiony. Poza tym nie lubię niespodzianek.

Pokiwał głową i przyznał:

— Nie myślałem, że cię jeszcze zobaczę żywego. Myślałem, że oni cię, no wiesz...

I przejechał sobie palcem po szyi.

— Mają ten zamiar.

— Mnie też — powiedział dziwnie niefrasobliwie.

Albo był urodzonym fatalistą, albo wiedział, że nic mu nie zrobią, czyli współpracował z władzami. A tu znalazł się w roli kapusia albo też po to, by umożliwić podsłuchanie tego, co ze mnie wyciągnie. Poziom subtelności tego posunięcia pasował do wyspiarzy.

— Karmili cię choć dobrze? — spytałem, żeby cisza nie trwała za długo.

Zastanowił się głęboko.

— Nie — zdecydował w końcu.

— Mnie też nie.

— Nie miałbym nic przeciwko... — zaczął i nagle umilkł.

Zdziwiło mnie to, więc poszukałem przyczyny. Gapił się w zakratowany otwór ścienny, jakby było tam coś ciekawego.

Spojrzałem nań pytająco.

Zero efektu — gapił się tam gdzie dotąd.

— O co chodzi? — spytałem.

— W tym oknie są pręty.

— Są. I co z tego?

— Pokój, w którym mnie trzymali, nie miał okna.

— Przenieśli cię więc w bardziej komfortowe warunki.

Nie odpowiedział.

Wygrzebał drewnianą łyżkę z zawartości talerza, wytarł ją i podszedł do okna. Po czym postukał nią w jeden z prętów.

— Chcesz je w ten sposób obluzować? — zdziwiłem się uprzejmie.

— Co?!... Skądże znowu. Posłuchaj. — I ponownie uderzył parę razy w pręt.

Zabrzmiało jak grube żelazo uderzone przez kawałek drewna.

— Nie brzmi wspaniale? — spytał entuzjastycznie.

Zacząłem się zastanawiać, czy sobie ze mnie jaja robi.

— Nieźle, ale wymaga dostrojenia — oceniłem.

— Racja! Jakby tak owinąć mokrą szmatę wokół części pręta...

Westchnąłem i ułożyłem się wygodnie na posłaniu.

Miałem nadzieję, że rzeczywiście podsłuchują.

* * *

Kilka godzin później otwarto drzwi i stanęli w nich dwaj strażnicy z narodowym, jak uznałem, uzbrojeniem, czyli krótkimi włóczniami. Nawet wyglądali tak, jakby wiedzieli, jak się nimi posługiwać. Za nimi stał przesłuchujący. Kiwnął mi głową i oznajmił:

— Pójdiesz ze mną. Proszę, nie stawiaj oporu i nie próbuj uciekać.

Spojrzałem na Aibynna.

— Pobębniij dla mnie.

— Będę — obiecał.

Przeniosłem wzrok na przesłuchującego i ostrzegłem:

— Nie jestem pewien, czy zdołam przejść dłuższy kawałek.

— Jeśli będzie trzeba, doniesiemy cię.

— Co za uprzejmość! — prychnąłem.

Spacer nie okazał się długi — poszliśmy krótkim korytarzem prowadzącym do sali z kilkoma oknami i kilkoma stołkami bez oparc. Usiadł na jednym, ja ostrożnie opuściłem się na drugi.

Tak jak podejrzewałem, nie było wygodnie.

— Sprowokowaliście całkiem długie dyskusje, co z wami zrobić — oznajmił mój rozmówca bez wstępów. — Odezwały się nawet głosy, by zawiesić stare prawo zakazujące tortur. Znacznie większa grupa jest przekonana, że należy urządzić publiczną egzekucję, by zapobiec rozruchom, które zaczynają się rodzić.

Przerwał, najwyraźniej czekając na moją reakcję.

Nie doczekał się.

— Chwilowo Jego Wysokość Corcor'n, syn zabitego przez ciebie, przekonał wszystkich, by poczekać na odpowiedź z kontynentu. Spodziewamy się, że zaprzeczą, jakoby cię wysłali, ale chcemy dać im szansę powiedzenia prawdy. Jeżeli postąpią, jak się spodziewamy, zostaniesz najprawdopodobniej stracony.

Gdyby cię to interesowało, większość jest za ukamienowaniem, choć część uważa, że powinno się ciebie związać i rzucić orkom na pożarcie.

— Nie interesuje mnie to specjalnie — odparłem na tyle spokojnie, na ile zdołałem.

Pokiwał głową.

— Masz jeszcze trochę czasu i mógłbyś nam o wszystkim opowiedzieć. Twój współnik otrzyma taką samą propozycję. Jeżeli skorzysta z niej pierwszy, najprawdopodobniej zostanie skazany na wygnanie. Jeżeli ty zaczniesz mówić pierwszy, to on zostanie stracony, a ty być może zdołasz ocalić głowę. A na pewno będziesz mógł zażyć truciznę, co jest znacznie przyjemniejszą metodą zejścia z tego świata od każdej z tych, które czekają cię w tej chwili.

— Wiesz to z autopsji? — zainteresowałem się.

Westchnął ciężko.

— Więc nie powiesz, kto cię przysłał i dlaczego?

— Na ryby przyjechałem.

To go dobiło.

— Odprowadźcie go do celi i przyprowadźcie następnego — polecił strażnikom.

Mogłem w przelocie powiedzieć coś Aibynnowi, ale nie zrobiłem tego. Natomiast dużo bym dał, by móc usłyszeć przebieg jego rozmowy z przesłuchującym. Niestety, było to niewykonalne — ani magia, ani czary nadal nie działały. Zresztą żadnej rozmowy mogło w ogóle nie być — mogli grać w s'yang czy inne kulki. Albo rozmawiać na zupełnie inne tematy, niż podejrzewałem.

Już się zdarzało, że moje podejrzenia okazywały się całkiem błędne.

* * *

Zostawili nas w spokoju przez dwa dni, w ciągu których w miarę wróciłem do formy i dowiedziałem się całej masy zupełnie zbędnych rzeczy. Jak na przykład: jaka jest różnica między skórą rybią a zwierzęcą, jak można rozpoznać, czy materiał na pałeczkę nie jest felerny, jakie są sposoby gry na bębnie i czym się różnią oraz jak trzeba ćwiczyć, przygotowując się do festiwalu.

Niestety, choć mnie to absolutnie nie obchodziło, było jedyną rozrywką, jaką miałem. Na inne tematy z Aibynnem raczej ciężko się gawędziło. Poza tym przeważnie bębnił, na czym się dało.

Nie dowiedziałem się więc, czy pracuje dla władz czy nie, za to przy jakiejś okazji wspomniał o bogach. Ponieważ z oczywistych powodów temat ten żywo mnie interesował, spytałem:

— Kim według ciebie są bogowie? Albo czym?

— Bóg to ktoś, kogo nie wiążą naturalne prawa i kto w zgodzie z moralnością może popełnić czyn, który zostałby uznany za niemoralny, gdyby popełnił go ktoś nie będący bogiem — wyrecytował.

— Brzmi, jakbyś się tego na pamięć nauczył.

— Miałem kiedyś przyjaciela filozofa.

— A miał jakąś filozofię dotyczącą uciekania z celi? — zaciekałem się.

— Uważał, że jeśli uciekasz, powinieneś zabrać ze sobą współwięźnia z celi. Chyba że jesteś bogiem.

— Aha... a miał filozofię dotyczącą bębnienia?

Spojrzał na mnie dziwnie.

— Rozmawialiśmy o tym... — przyznał. — Czasami, gdy grasz, jesteś z czymś w kontakcie... dotykasz czegoś... coś przez ciebie przepływa, jakbyś to nie ty grał, ale coś grało tobą... Wtedy jest najlepiej.

— Mhm... wiesz, podobnie jest z zabójstwem.

Roześmiał się.

Ale nie sądzę, żeby tak naprawdę uznał to za zabawne.

* * *

Kiedy Aibynn wrócił z kolejnego przesłuchania, spytałem uprzejmie:

— I o co cię pytał?

— Ile dźwięków mogę wydobyć ze swego bębna.

— Aha... I co?

— Co co?

— Ile możesz?

— Trzydzieści dziewięć, używając skorupy bębna i skóry, palców i pałeczki. A potem są jeszcze wariacje.

— Aha. No to teraz wiem.

— Szkoda, że mi zabrali bęben.

— Cóż...

— Padało, odkąd tu jesteś? W mojej celi nie było okna.

— Nie jestem pewien, ale chyba nie.

— To dobrze. Deszcz zniszczyłby bęben. Zostawili go na polanie.

Pomilczeliśmy trochę.

A potem spytał niespodziewanie:

— Dlaczego zabiliśmy Króla?

— My? — zdziwiłem się.

— O to mnie ciągle pytają.

— Bo nie lubił twojego bębna.

— O! Całkiem dobry powód.

Temat się urwał i znów zapadła cisza.

W końcu miałem jej dość i spytałem:

— To, z czym bywasz w kontakcie, gdy grasz, to może być bóg?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie. To zresztą strasznie trudno opisać...

— Spróbuj.

Spróbował i tak dobrze mu poszło, że sam nie wiem, kiedy zasnąłem.

* * *

Wczesnym popołudniem drugiego dnia słuchałem zaimprovizowanego koncertu na łyżkę i pręt w oknie (dostrojony wałkami ręcznika) i porcelanowy kubek, gdy poczułem mrowienie w tyle głowy. Omal nie zerwałem się na równe nogi. Zdołałem jednak zapanować nad sobą i pozostać w bezruchu, skupiając się na utrzymaniu połączenia.

Tak?

Szefie?!

Loiosh! Gdzie jesteś?

Lecę... później... nie mogą...

I połączenie zanikło.

By po chwili wrócić. Tyle że było to połączenie z kimś innym i znacznie silniejsze. W mojej głowie zahuczało, jakby ktoś wrzasnął mi prosto w ucho:

*Witaj, Vlad. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.
Znałem tylko jedną osobę, która miała takie możliwości telepatyczne...*

Daymar!

We własnej osobie.

Gdzie jesteś?

W Czarnym Zamku. Właśnie skończyliśmy obiad.

Jak mi podasz menu, to cię zabiję!

Nie jestem sadystą. Od Loiosha wiemy, że jesteś w nieciekawej sytuacji.

Ładnie to ująłeś.

Prawda? I że nie działa tam magia.

Zgadza się. Jak on się do was dostał?

Najwyraźniej na skrzydłach.

Przeleciał taki kawał?! Ile to mil?

Pojęcia nie mam i wygląda na zmęczonego. Ale nic się nie martw, przybędziemy tak szybko, jak tylko się da.

A jak szybko się da? Wiesz, trochę mi się spieszy, bo chcą mnie tu publicznie ukatrupić w pokazowej egzekucji.

Nie mów! Za co?

Wynikło pewne nieporozumienie dotyczące królewskich prerogatyw.

Nie rozumiem.

Cóż, nie szkodzi. Kiedy możecie przybyć?

Skoro nie możemy się telep...

I nagle kontakt się urwał.

Daymar, lord z Domu Sokoła, miał swoje fanaberie, ale urywanie zdania w połowie, i to tak ważnego zdania, nie leżało w

jego zwyczaju. A to oznacza, że coś przerwało połączenie. Musiało to być coś naprawdę potężnego, gdyż Daymar był najsilniejszym i najlepiej wyszkolonym telepatą, jakiego znałem.

Zaniepokoiło mnie to.

Spróbowałem odtworzyć kontakt, ale nie udało mi się.

Próbowałem aż do zapadnięcia zmroku, naturalnie z przerwami. Jedyne, co osiągnąłem, to solidny ból głowy.

Zasnąłem, mając nadzieję, że nie był to wytwór mojej zdesperowanej wyobraźni.

* * *

Obudziłem się w środku nocy z niejasnym wspomnieniem snu. Leciałem w nim pod wiatr nisko nad falami i byłem bardzo zmęczony. Bolały mnie skrzydła i chciałem odpocząć, ale za każdym razem, gdy próbowałem wodować, z morza wynurzała się orka z łbem smoka i próbowała mnie zjeść.

Gdybym był bardziej rozbudzony, domyśliłbym się, co oznaczał ten sen. Zanim jednak zdążyłem się ocknąć, zorientowałem się, że ktoś nawiązał ze mną kontakt telepatyczny. Bardzo wyraźny kontakt.

Szefie, pobudka!

Naprawdę się ucieszyłem, słysząc głos Loiosha.

Loiosh!

Już jesteśmy, więc się przygotuj. Jest ktoś z tobą?

Nie, to znaczy tak. Przyjaciel... może zresztą fałszywy. Może być wrogiem, nie wiem sam...

Precyzja i jasność wypowiedzi. To mi się zawsze u ciebie podobało.

Nie wymądrzaj się! Kto jest z tobą?

Nie odpowiedział.

Nie musiał — w tym momencie ściana obok mnie stała się jasnoblękitna, zwinęła się w sobie i zniknęła. A ja znalazłem się nos w nos z Cawti.

Wstałem.

Aibynn zaczął się budzić.

— Ty i ilu lordów z Domu Smoka? — spytałem rzeczowo.

— Dwóch. A co, uważasz, że przydałoby się ich więcej?

I rzuciła mi sztylet.

Złapałem go za rękojeść i uśmiechnąłem się.

— Dzięki.

— Nie ma za co.

Cawti podeszła do drzwi i zajęła się zamkiem. Nie zabrało jej to dużo czasu, bo nie miało prawa. Usłyszałem, jak odskakuje rygiel, i spojrzałem na nią pytająco.

— Tam mogą być rzeczy, których potrzebujesz — wyjaśniła. — Na przykład Spellbreaker.

— Fakt. Ktoś przeżył?

— Pewnie tak.

Drzwi otworzyły się i weszła Alieria.

Ukloniła mi się z zachowaniem wszystkich dworskich reguł.

Odkłoniłem się jak najuprzejmiej.

— Znalazłam go — poinformowała, podając mi trzystopowej długości złoty łańcuch.

Owinąłem go wokół lewego nadgarstka.

— Dzięki. Cawti właśnie o nim wspomniała.

Aibynn, bardzo starający się nie wyglądać na zszokowanego i totalnie wygłupionego, wstał.

— Pamiętasz naszą rozmowę dotyczącą filozofii uciekania z cel? — spytał.

Cawti spojrzała na niego, a potem znów na mnie.

A ja się ciężko zamyśliłem.

Mógł naprawdę być tym, na kogo wyglądał — w tym wypadku przysporzyłem mu masy kłopotów, które wcale nie skończą się z chwilą mej ucieczki. Rozejrzałem się — na korytarzu nie było widać nikogo, znikąd nie dochodziły też żadne odgłosy alarmu czy zamieszania. Nie dochodziły w ogóle żadne odgłosy. Za plecami miałem w ścianie okrągłą dziurę o średnicy ośmiu stóp.

Za nią była jedynie ciemność i zapach morza.

— Dobra, idziesz z nami — zdecydowałem. — Ale jeżeli roi ci się, by mnie zdradzić... w Imperium nazywamy to sztyletem.

I uniosłem nóż otrzymany przed chwilą od Cawti.

— Sztylet — powtórzył. — Rozumiem.

Przez dziurę w ścianie wleciał Loiosh i siadł na moim ramieniu.

Kolejno wyszliśmy przez otwór prosto w objęcia nocy.

Lekcja piąta

Powrót do domu

Prowadziła Cawti, a Alierą zamykała pochód. Z miasta wyszliśmy bez problemów — okazało się, że zgodnie z moimi podejrzeniami przetrzymywano nas w budynku sąsiadującym z pałacem. Dlatego szliśmy prawie tą samą trasą, którą wybrałem na drogę ucieczki. Kiedy znaleźliśmy się w lesie, urządziliśmy krótką przerwę, nasłuchując odgłosów ewentualnego pościgu. Nie było żadnych.

Ponieważ zmuszony byłem maszerować na bosaka, kląłem pod nosem równo i z uczuciem. Aibynn też został pozbawiony obuwia, ale jakoś nie robiło to na nim wrażenia.

Ruszyliśmy w dalszą drogę.

— Dobrze mieć przyjaciół — oceniłem.

Cawti przyjrzała mi się uważnie.

— Dobrze się czujesz?

— Generalnie tak, ale niedługo będziemy musieli zwolnić.

— Byłeś... wypytywany? — spytała ostrożnie.

— Nie w ten sposób, o jakim myślisz, ale wcześniej zdołałem się trochę uszkodzić.

— Już jest po północy, a musimy dotrzeć do brzegu przed świtem, bo skończy się przypływ.

— Nie wiem, czy nadążę.

— A co ci się konkretnie stało?

— Jestem za stary, żeby łązić po drzewach — przyznałem.

— Gdybyś zapytał, sama bym ci to powiedziała.

— Miło z twojej strony.

— W takim razie dołóż starań.

— Tego możesz być pewna — zapewniłem.

Plecy już zaczynały mnie boleć, więc dodałem:

— Gdybyśmy spotkali w lesie jakiegoś muzyka, to nie zatrzymujmy się, żeby z nim pogadać.

— Będiesz mi musiał opowiedzieć, co cię przywiodło do takiego wniosku — zapowiedziała Cawti.

Loiosh zachichotał, ale nie odezwał się słowem.

Podobnie jak idący przede mną Aibynn — albo nie usłyszał, albo zignorował moją wypowiedź. Gałęzie starym zwyczajem biły mnie po twarzy. Zupełnie jak parę dni temu. Tylko parę dni temu nie miałem ze sobą Cawti i Aliery...

* * *

Po godzinie zrobiliśmy przerwę.

Usiadłem ciężko, opierając się o drzewo, i spytałem:

— Właściwie to jaki mamy plan?

— W zatoce kilka mil stąd czeka na nas statek — odparła Alieria.

— Statek? Która z was potrafi nim kierować?

— Żadna. Statek ma załogę.

— Z Domu Orki? — spytałem.

— A z jakiego?

— To skąd pewność, że będzie czekał?

— Morrolan został na pokładzie.

— Aha... Jestem zaszczycony. I ogromnie wdzięczny.

Powiedziałem to najzupełniej poważnie i szczerze.

A Alieria uśmiechnęła się i przyznała:

— Sprawilo mi to przyjemność.

Cawti nie uśmiechnęła się.

Po paru minutach ruszyliśmy w dalszą drogę. Loiosh leciał przodem, a my maszerowaliśmy na tyle szybko, na ile teren i roślinność pozwalały. Nadal było ciemno, więc Alera sprokurowała niewielką kulę światła, która unosiła się w powietrzu kilka kroków przed nami.

Na wszelki wypadek spytałem Aibynna:

— Czy jest tu coś, czego powinniśmy się szczególnie wystrzegać?

— Drzewa. Jak się na nie wpada, strasznie głowa boli.

— Jak się z nich spada, nie tylko głowa — zgodziłem się. — Ale to nam raczej nie grozi.

— Byłeś nieprzytomny, gdy spadłeś? — spytał niespodziewanie.

— Chyba tak, bo tego nie pamiętam. Straciłem przytomność, spadając.

— Szkoda.

— Dlaczego?

— Bo temu zetknięciu się z ziemią towarzyszył dobry dźwięk. Głęboki, pełen brzmienia.

Przez moment nie bardzo wiedziałem, czy parsknąć śmiechem, czy go skląć.

W końcu zdecydowałem, że skląć nie warto.

— Całe szczęście, że mnie nie zacząłeś stroić — warknąłem.

I skoncentrowałem uwagę na świecącej kuli, mając dość Aibynna i jego muzycznych zainteresowań. Dopiero po paru minutach uświadomiłem sobie coś, co powinno mnie zastanowić już dawno: skoro tutaj nie działała magia, to w jaki sposób...

— Alera? — zawołałem.

Odwróciła głowę, nie zwalniając kroku.

— Słucham, Vlad.

— Powiedziano mi, że na tej wyspie nie działa magia.

— Zgadza się. Kontakt z Kulą straciłam około dziesięciu mil od brzegu.

— To jak roztopiłaś ścianę?

— Magia przedimperialna.

— A!

— Właśnie.

— Jej użycie nie jest przypadkiem zakazane? — spytałem niewinnie.

Jedynie się uśmiechnęła.

Cawti nie odezwała się słowem, za to Aibynn niespodziewanie przyspieszył. Dogonił Alierę, która po przerwie objęła przewodnictwo.

— Powinniśmy iść tam.

Oboje z Aierą spytaliśmy równocześnie:

— Dlaczego?

— Bo chcę coś zobaczyć.

Loiosh, jest ktoś w pobliżu? — spytałem profilaktycznie.

Nie sądzę, szefie, ale jeśli chodzi o wyspiarzy, trudno być tego pewnym.

To użyj oczu i sprawdź ten nowy kierunek.

Się robi, szefie.

Przez parę minut Loiosh się nie odzywał.

Nikogo nie ma, szefie, a jesteście prawie na polanie, na której cię złapali.

Aha. To wszystko wyjaśnia.

Tak?

Dotarliśmy na polanę ze śladami ogniska. Aibynn bez trudu odnalazł swój bęben, obejrzał go dokładnie i pokiwał głową, zadowolony. Gdyby instrument był zniszczony, uznałbym, że Aibynn prawdopodobnie jest naszym przyjacielem. Tak, nadal byłem jego dłużnikiem, ale nie wiedziałem, na jaki rodzaj zapłaty zasłużył. Cóż, czas pokaże.

Aibynn tymczasem nadal czegoś szukał. Dopiero po chwili chrząknął z satysfakcją i z krzaków w pobliżu jednego z drzew wyciągnął jakieś futerko. Wytrzepał je energicznie i wsadził na głowę wielce rad.

— Co to za zwierzę? — spytałem.

— Norska.

— Aha.

Gdyby oświetlenie było lepsze, nie musiałbym pytać. Brązowo—biała sierść miała charakterystyczny wzór, a futro posiadało także łeb, który Aibynn umieścił nad czołem. Zaskakujące, ale wcale nie wyglądało to tak absurdalnie, jak powinno.

Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Pozwoliłem sobie na ostrożny optymizm. Cała lokalna armia, o ile w ogóle istniała, miałaby spory problem, chcąc powstrzymać Alierę przed dotarciem do statku. Zwłaszcza gdyby Morrolan szedł na jej spotkanie.

— Zaczyna się robić jasno — odezwała się Alierą.

— Nie zdążymy — skomentowała Cawti.

— Powiedzcie, gdzie leży ta zatoka — zaproponował Aibynn.

— Prawdopodobnie zdołam was poprowadzić na skróty, tak żebyśmy dotarli tam w czasie przypływu.

— Za dnia? — upewniłem się.

Skinął głową.

Cawti zmarszczyła brwi i spytała:

— Dlaczego prawdopodobnie?

— Bo to zależy, o którą zatokę chodzi. Jeśli o Zatokę Chottmona, to wątpię, bo prowadzi do niej zbyt odsłonięta i z dala widoczna droga.

Wszyscy przyglądaliśmy się mu z namysłem.

Pierwsza odezwała się Alieria:

— Gdyby Daymar tu był, mógłby go wysondować i...

— Gdyby Daymar tu był, jeszcze byśmy go nie wyciągnęli z pałacu — przerwałem jej. — Dalej oglądałby splot dywanów czy inne takie i nawet by nie zauważył, że do niego strzelają.

— Aż tak lubi dywany? — zaciekawiał się Aibynn.

— No dobrze — ustąpiła Alieria. — Poinformuję Morrolana o opóźnieniu. A jeśli chodzi o zatokę, to z jednej strony stoi tam wysoka skała w kształcie korony, a z drugiej rośnie kępa wysokich, cienkich drzew. Ma około ćwierci mili szerokości i milę głębokości, a na samym środku znajduje się skalista wysepka.

— Zatoka Mrocznej Baby! — ucieszył się Aibynn. — Żaden problem.

— Pamiętaj — przypomniałem mu, unosząc prawą dłoń. — To jest...

— Sztylet. Wiem.

Dalej on prowadził.

Szliśmy wolniej, lecz bez przerw. I nikogo nie napotkaliśmy. Aibynn jak na przewodnika zachowywał się dziwnie — nie rozglądał się, właściwie prawie nie zwracał uwagi, dokąd idzie, sprawiając wrażenie, jakby szedł bez celu. Trzymałem się zaraz za nim ze szczerym zamiarem wsadzenia mu ostrza w nerkę przy pierwszym podejrzanym zachowaniu. Przy braku możliwości wskrzeszenia gwarantowało to bolesną śmierć. Jeżeli

zdawał sobie z tego sprawę, nie dał tego po sobie w żaden sposób poznać.

* * *

Nieco po południu dotarliśmy do zatoczki, w której kotwiczył niewielki statek. Na łódź poczekaliśmy w lesie rosnącym na pewnym odcinku do samej plaży. Nie rozmawialiśmy wiele. Cawti nie odzywała się prawie wcale.

Morrolan stał na rufie — wysoki, dumny i nie spocony. Załoga wykonywała polecenia i pomagała nam bez słowa sprzeciwu, ale oglądała się nań ze strachem i niechęcią. Prawdopodobnie nie chcieli czekać, więc ich do tego przekonał. A najlepszym argumentem był jego miecz — Blackwand, będący jedną z Wielkich Broni i odpowiednikiem mniej więcej batalionu ciężkozbrojnej piechoty.

Morrolan i Alera byli kuzynami i oboje pochodzili z Domu Smoka, co oznaczało, iż woleli dobrą bitwę od dobrego posiłku, co w mojej opinii tylko krok dzielił od szaleństwa. Jak na Dragaerian byli młodzi — mieli po mniej niż pięćset lat. Nadal będą młodzi, gdy ja umrę ze starości, o ile tak nieprawdopodobny koniec może spotkać kogoś wykonującego podobny do mojego zawód. Morrolan preferował czarny strój ze srebrnymi dodatkami, Alera srebrny z czarnymi. Czerń i srebro były barwami Domu Smoka.

Ona była niska i szybka. On wysoki i równie szybki. Poznaliśmy się na Ścieżkach Umarłych, choć z Morrolanem miałem kontakt już wcześniej. Przeżyliśmy razem dość, by zostać przyjaciółmi, mimo że należeliśmy do różnych ras, domów i klas społecznych. To były drobiazgi, o czym najdobitniej świadczył

fakt, że przybyli oboje, gdy ich potrzebowałem.

Morrolan obrzucił Aibynna zaciekawionym spojrzeniem, gdy ten stanął na pokładzie, ale nie skomentował jego obecności. Począł, aż wszyscy wdrapiemy się z łodzi na statek, i dopiero wtedy zaczął wydawać rozkazy. Statek drgnął, wciągnięto kotwicę, rozpięto żagle i powoli pożeglowaliśmy, kierując się na otwarte morze.

Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby to odbicie więźnia nie było żadnym wielkim wyczynem. Może i nie było, ale więzień (czyli ja) uważał inaczej.

A może po prostu zacząłem mieć zszarpane nerwy...

Obserwowałem oddalający się brzeg Greenaere i było mi coraz lżej na duszy. Do tej pory nawet nie zdawałem sobie sprawy, że jest mi ciężko, ale okazało się, że nawet bardzo. W lepszym humorze przyjrzałem się załodze — same obce gęby, co mnie nieco rozczarowało. Z jakichś powodów bowiem spodziewałem się znaleźć z powrotem na pokładzie *Chorba's Pride'a*. Pociuszające natomiast było to, że nadal dobrze się czułem mimo braku amuletu, który skonfiskowano mi po złapaniu.

Żagiel nad moją głową załopotał, rozpylona słona woda uderzyła w twarz... obok stali Morrolan i Alera. Aibynn znajdował się razem z bębnem na dziobie, a Cawti zeszła pod pokład.

— Jestem twoim dłużnikiem, Morrolan — powiedziałem.

— Jestem zaniepokojony — odparł poważnie.

— Tym, że jestem ci coś winien?!

— Tym, że Daymar nie był w stanie utrzymać z tobą kontaktu.

— Też mnie to, przyznaję, zaskoczyło.

— Czułem coś na tej wyspie.

Alera pokiwała głową i dodała:

— Istnieje jakiś powód, dla którego straciliśmy więź z Kulą, i nie jest to odległość.

— Nie podoba mi się to — przyznał.

— Mnie też — dodała poważnie.

Uznałem, że nie ma sensu dodawać, że najmniej mnie się to podoba.

Morrolan zmienił nieco pozycję, nie spuszczać wzroku z oddalającej się wyspy, i potarł odruchowo duży rubin wpięty w koszulę.

Na moim ramieniu wylądował Loiosh.

Gdzie Rocza? — spytałem.

Została w domu.

Nie lubi morza?

Można tak powiedzieć. Ale martwiła się o ciebie.

Miło słyszeć. To musiał być niezły lot z wyspy do domu.

Zamiast odpowiedzi zobaczyłem serię obrazów podobnych do tych ze snu. Skrzydła nadal mnie pobolevały...

Ja też się o ciebie martwiłem, szefie.

Wiem. Ja o ciebie również.

Cawti wyszła na pokład i zatrzymała się w pobliżu dziobu, przyglądając się wodzie przed statkiem. Podszedłem do niej. Tu było jeszcze więcej rozpylonej wody niż tam, gdzie stałem poprzednio.

— Wygląda na to, że nie ufasz swemu towarzyszowi — powiedziała.

— Bo nie ufam.

— To dlaczego go zabraliśmy?

— Bo jeśli się myślę, to jestem jego dłużnikiem.

— Rozumiem. A ty zawsze spłacasz długi, prawda?

— Czyżbym słyszał ironię?

Nie odpowiedziała.

— Uratowałaś mnie — powiedziałem po chwili.

— Wątpiłeś, że to zrobimy?

— Nie sądziłem, że to będzie możliwe. Nie miałem pojęcia, że Loiośh zdoła przelecieć taki kawał nad wodą.

— Musiało ci być ciężko.

— Nie tak ciężko jak... No, nie było tak źle.

Skinęła głową, nie patrząc na mnie.

— Jestem wdzięczny, że uznałaś, iż rewolucja przetrwa bez ciebie przez parę dni.

— Nie wysilaj się.

Przygryzłem wargę.

— Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało — powiedziałem.

Ponownie skinęła głową.

Gdzieś z lewej strony rozległ się plusk, ale jeśli to były orki, to nie zauważyliśmy ich. Cawti zaczęła mówić tak cicho, że ledwie ją słyszałem przez szum wiatru i skrzypienie lin, zagli i całej reszty:

Patrząc, jak godzina za godziną

Otwiera się w szarość mroku,

Siedzę tak blada i bezsilna,

Nie mogąc zmusić dnia, by nie dotrzymał im kroku.

Smętna to lekcja, zwłaszcza że

Myślałam, że wiem już dość,

By nie otwierać ran, co zdały się

Niesłuszne być i budzić złość.

Lecz jak stary podział ról

Otworzy rany w moim boku,
Twierdząc, że mądrość daje tylko ból
Odziany w szarość mroku.

Po naprawdę długiej chwili ciszy powiedziałem:

— Brzmi, jakby napisał to człowiek.

— Ja to napisałam.

Spojrzałem na nią.

Nie poruszyła się.

— Nie wiedziałem, że pisujesz wiersze.

— Wielu rzeczy... nie, przepraszam. Ten napisałam kilka nocy temu, gdy martwiłam się o ciebie. Albo może zastanawiałam się, czy powinnam się bardziej martwić o ciebie. Sama nie wiem.

— Smutna opowieść — oceniłem. — Co oznacza?

Cawti wzruszyła ramionami.

— Skąd mam wiedzieć?

— Sama ją napisałaś.

— Zgadza się. Ale jeśli jest tam jakieś ukryte znaczenie, to go jeszcze nie odnalazłam.

— Daj mi znać, jak ci coś przyjdzie do głowy.

Kącik jej ust drgnął lekko.

Popatrzyłem na ocean falujący jak zawsze w nieskończonym rytmie.

— Próbuję wymyślić coś głębokiego dotyczącego fal — przyznała nagle.

— Coś wymyślisz.

Potrząsnęła głową.

— Nie wymyślę, choć powinnam. O tym, jak gdzieś się rodzą i przybliżają coraz bardziej, a potem opływają cię i podążają dalej. A my nie wiemy ani co je powoduje, ani skąd przybywają...

— Mhm...

— Ty też wywołujesz fale, Vlad. Dużo fal i zamieszania.

— To komplement czy masz coś konkretnego na myśli?

— Jedno i drugie, choć... nie, chodzi mi o coś konkretnego.

— Czyli o ostatnich kilka miesięcy i o całą tę sprawę z organizacją, Imperium i Kellym?

— Tak.

— Cóż, rzeczywiście wywołałem sporo zamieszania, ale nie miałem wyboru.

— Też tak mi się wydaje.

— Zastanawiam się, co Herth kombinuje.

— Wieść niesie, że przeszedł na emeryturę i korzysta z fortuny, którą mu zapłaciłeś.

— Za ludzką dzielnicę — dokończyłem.

— Tak.

— I którą teraz rządę — dodałem.

— Nie całą.

— Oczywiście, że nie całą; tylko podziemiem.

— Zamierzasz je wyczyścić?

— Czyżbym słyszał w twoim głosie nutę ironii?

— Nutę? Skądże znowu. Symfonię.

— Uważasz, że mi się nie uda? Czy uważasz, że nie będę chciał?

— Uważam, że ci się nie uda.

— A kto mnie powstrzyma?

Cawti milczała dobrą minutę.

— Co to znaczy wyczyścić? — spytała. — Jakie nielegalne przedsięwzięcia zostawisz?

— Te, których chcą klienci. Dopilnuję, żeby hazard był uczciwy, burdele czyste, a panienki dobrze traktowane, żeby

pożyczki były dawane na uczciwy procent, a lichwiarze...

— Jak możesz uważać, że hazard jest uczciwy, skoro ludzie nie mają za co żyć, a co dopiero grać? Jak można dobrze traktować kogoś, kto musi sprzedawać swoje ciało? Jaki może być przyzwoity procent pożyczki dla kogoś, kto stracił wszystko, grając w którymś z twoich lokali? A jak wyegzekwujesz należność od tych, którzy nie zapłacą?

— W normalny sposób. Posłuchaj: nikt nie ciągnie za szmaty klienta do gry czy do burdelu. Przychodzi, bo chce. A czy go na to stać, czy nie, to jego problem i jego rodziny. Tak było, jest i będzie. Hazard i burdele istnieją, bo ludzie i Dragaerianie tego chcą, podobnie jak usług szewskich czy krawieckich. Ja mogę zrobić tylko tyle, by były one na uczciwym poziomie.

— Chyba nie zrozumiałaś tego, co mówiłam.

— To ty nie rozumiesz świata. Ja nie jestem od zbawiania ludzkości i rozwiązywania problemów. Raz, że nie chcę, dwa, że nie zdołam. Twój kumpel Kelly chce, ale też nie zdoła. Cokolwiek by sobie roił w snach o potędze.

— Czy ty nie widzisz, co się wokół dzieje?

— A co się dzieje? Teckle maszerujący po ulicach? Ludzie w parkach przekrzykujący się co do tego, w czym wszyscy się zgadzają? Ta moda minie jak wszystkie inne.

— Teraz tę modę obserwuje Gwardia Feniksa, Vlad. I to nie formacja świeżych rekrutów z Domu Teckli, lecz doborowe jednostki z Domu Smoka. A to oznacza, że władze się boją. Nie wydaje ci się, że być może te władze mają nieco lepsze rozeznanie w sytuacji niż ty? Jeszcze trzy tygodnie temu działa się to tylko w ludzkim getcie. Jeszcze tydzień temu nie wychodziło poza Południową Adrilankhę, teraz widzisz to w okolicach Lower Kieron Road. Jak myślisz, dokąd ten ruch dotrze

za dwa tygodnie? A za dwa miesiące?

— Donikąd. Albo do rzezi.

— Wiem, że tak myślisz, ale być może...

— Posłuchaj: nie będę dyskutował z rewolucjonistką. To nas do niczego dobrego nie doprowadziło w przeszłości i nie doprowadzi teraz.

Wzruszyła ramionami.

— To ty zacząłeś ten temat.

— Nie zacząłem, ale niech będzie. Możemy dla odmiany porozmawiać o nas?

— Tak.

Powiedziała to takim tonem, że odechciało mi się jakiegokolwiek rozmowy. Na jakikolwiek temat.

— Idę spać — oświadczyłem. — Jeżeli Aibynn zacznie bębnić, możesz go wyrzucić za burtę.

Jakoś udało mi się bez wypadku zejść pod pokład. Znalazłem koc i posłanie, na którym wyciągnąłem się z lubością. I pozwoliłem, by statek ukołysał mnie do snu.

* * *

Jakieś dziesięć godzin później to samo kołysanie mnie obudziło. Wygramoliłem się po drabinie na pokład, waląc się przy okazji boleśnie w ramię o jakiś kawał metalu, który jakiś kretyń przymocował do ściany. Wyglądało to na zawias, ale pojęcia nie mam, czemu miało służyć. Przy okazji noga mi się obsunęła ze szczebla i grzmotnąłem się w piszczel. Na pokład dzięki temu wyszedłem w nie najlepszym nastroju.

Okazało się, że pasuje on do pogody — niebo zasnuły szare chmury, a wiatr znacznie wzrósł, łopocząc płaszczem Morrolana

zgoła artystycznie. Morrolan stał tam, gdzie poprzednio, i wyglądał niczym rasowy bohater taniego romansu. Ja dla odmiany nadal wyglądałem na łajzę, bo miałem na sobie jedynie workowaty przyodziewek, w którym się ocknąłem po złapaniu.

Podszedłem do niego i wrzasnąłem, przekrzykując wiatr, fale i skrzypienie statku:

— Pogoda się zepsuła.

Przytaknął ruchem głowy.

Rozejrzałem się, nagle świadom, jak mały i nietrwały jest statek, i spytałem ostrożnie:

— Czy w tej pogodzie nie ma niczego nienaturalnego?

Spojrzał na mnie dziwnie.

— Dlaczego pytasz?

— Bo nie wiem. Jest?

Potrząsnął głową.

Loiośh wylądował na moim ramieniu, więc go spytałem:

Zanosi się na burzę?

Skąd mam wiedzieć?!

Zwierzęta podobno instynktownie wyczuwają takie rzeczy.

Podobno.

Zmieniłem temat.

Co sądzisz o Aibynnie?

Nie wiem, szefie. Zabawny jegomość.

Aha.

Sprawdziłem czas, zadowolony, że znów mam kontakt z Imperialnym Zegarem. Jeszcze nie było południa, ale i tak z zasady wstaję wcześniej. Przy tej okazji uświadomiłem sobie, że jestem głodny, i dopiero wtedy dotarło do mnie tak naprawdę, co

przed chwilą zrobiłem.

— Odzyskałem więź z Kulą! — oznajmiłem.

Morrolan kiwnął głową.

Coś rozmowny był dzisiaj jak cholera.

— Kiedy to się stało? — spytałem.

— W nocy.

— Miło słyszeć.

— Mhm.

— Jest tu coś do jedzenia?

— Chleb, ser, jakieś owoce i suszona kethna pod pokładem.

— Może być. Nie dałoby się stąd teleportować do domu?

— Proszę bardzo. Mnie się nie spieszy.

— Jeżeli trafimy na burzę...

— Zdecydowałem, że nie trafimy.

— Aha... no to nie ma sprawy.

Zszedłem pod pokład, odszukałem jedzenie i zająłem się tym, co należało, by moje kiszki przestały wygrywać marsza.

Na szczęście bez bębnienia.

* * *

Następnego dnia krótko przed zachodem słońca ujrzeliśmy przed sobą położoną na wzgórzach Adrilankhę, co oznaczało, że podróż dobiegła końca. Największą radość sprawiło to marynarzom patrzącym bykiem na nas wszystkich, a zwłaszcza na Morrolana, zdawali bowiem sobie sprawę, że kontrolował on wiatr za pomocą magii. Inaczej tak szybko nie dotarlibyśmy do celu. A Orki uważały, że jeśli ktoś w ten sposób zmusza wiatry do współpracy, natura przy pierwszej okazji rewanżuje się burzą. Może mieli rację, ale to już nie było nasze zmartwienie. Dla nas

najważniejszy był widok miasta rozpiętego na skałach niczym wielki biały ptak, którego łeb stanowiła rezydencja księżnej Whitecrest z Domu Lyorna.

Gdy mijaliśmy wejście do portu, załoga wylała na pokład wiadro morskiej wody. Pojęcia nie mam, dlaczego to zrobili, tym bardziej że rytuał ten dotyczył tylko tego jednego portu. A potem złapali za liny i przystąpili do innych zajęć, które dla mnie były równie niezrozumiałe jak wówczas, gdy odpływaliśmy.

Zresztą nie przyglądałem im się. Obok stali Alera, Morrolan i Aibynn, a nieco dalej Cawti, i wszyscy przyglądaliśmy się miastu wyrastającemu przed naszymi oczyma budynek po budynku. Najpierw wyraźnie widoczny stał się Stary Zamek, w którym Trzej Baronowie praktykowali swą dziwną magię w czasie rządów Athyry, potem restauracja „U Michaagu’a” dorównująca prawie renomą „Valabanowi”, a jeszcze później Giełda Win zbudowana tak, by jej piwnice znajdowały się w zboczu góry.

A za nimi było już samo miasto.

Albo raczej miasta, bo każde z nas widziało inne. Alera i Morrolan, którzy tu nie mieszkali, znali Cesarski Pałac i otaczające go posiadłości wielkich domów ze starannie utrzymanymi ogrodami położonymi na zboczach Saddle Hills. Aibynn widział miejsce dzikie, dziwne i nieznane — oceniał je tak, jak ja oceniłem jego wyspę. Dla Cawti było to ludzkie getto pełne biedy, brudu i smrodu oraz targowisk i ludzi zawsze gotowych do ucieczki na widok Gwardii. Dla mnie był to mój teren wzdłuż Lower Kieron Road, gdzie przemoc mieszała się z luksusem i każdy uważnie się rozglądał, by złapać nadarzącą się okazję albo nie zostać nią przez nieuwagę.

Te właśnie miasta były coraz bliższe i przestaliśmy na nie patrzeć dopiero, gdy jakiś urzędnik portowy zaczął machać

chorągiewkami, wydając polecenia do bezpiecznego zakotwiczenia.

Byłem w domu.

I byłem także pełen obaw.

I nie miałem pojęcia dlaczego.

Część druga _____

Kwestie zawodowe

Lekcja szósta

Postępowanie z pośrednikami

— Zaczynają o ciebie wypytywać, Vlad — oznajmił Kragar jakieś dwie minuty wcześniej, nim wysadzone magią drzwi wpadły do mego gabinetu.

Było to na trzeci dzień po moim powrocie z Greenaere.

Cawti jak zwykle włączyła się z Kellym i jego bandą pomyleńców, a ja wróciłem do codziennych obowiązków i prób wyczyszczenia dzielnicy zamieszkaney przez ludzi, i to w ten sposób, by nie zbankrutować.

Postęp na wszystkich frontach działań wahał się od żadnego do miernego. Oboje z Cawti próbowaliśmy rozmawiać i nic z tego nie wychodziło. Nadal nie miałem biura w Południowej Adrilance i nie dysponowałem wiarygodnymi informacjami dotyczącymi całej dzielnicy, a nie tylko jej fragmentów.

Verra nie odezwała się.

Aibynn nadal stanowił zagadkę, gdyż znikał na całe dni. Ten ostatni problem szczegółowo opisałem Kragarowi, który jak zwykle zaproponował najprostsze wyjście — poprosić Daymara o wysondowanie Aibynna. Kłopot polegał na tym, że nie byłem pewien, czy to się uda, a fiasko wybitnie skomplikowałoby moje stosunki z Aibynnem i całą związaną z tym sytuację.

Rozpatrywaliśmy właśnie różne inne rozwiązania, gdy niespodziewanie Kragar oznajmił:

— W sumie to nieważne. Mamy pilniejsze problemy.

— Na przykład jakie?

I właśnie wtedy powiedział:

— Zaczynają o ciebie wypytywać, Vlad.

— Kto?

— Dokładnie nie wiem, ale ktoś z góry. Z organizacji.

— A o co wypytyują?

— O grupę ludzi i twoje związki z nimi.

— Chodzi o bandę Kelly’ego? — Domyśliłem się tego bez trudu.

— O nich. Ktoś się boi, że jesteś z nimi związany.

— Możesz się dowiedzieć... Co to było?... Słyszałeś?

— Słyszałem.

Melestav, co się dzieje? — spytałem zaniepokojony.

Jakieś zamieszanie na dole, szefie. Mam sprawdzić?

Siedź na tyłku.

Dobra. Dam znać, gdy tylko...

I kontakt urwał się gwałtownie.

Ostatnie, co odebrałem, to jakby wrażenie bólu, więc na wszelki wypadek wyjąłem jeden ze sztyletów i trzymałem go w prawej dłoni, tak by dłoń i broń zasłaniał blat biurka. Zaraz potem usłyszałem ostrzeżenie Loiosha i drzwi wpadły do pokoju wysadzone jakimś rodzajem magii zaczepnej. W progu stało sześciu mężczyzn. Wszyscy mieli barwy Domu Jherega i wszyscy byli uzbrojeni. Dwóch trzymało pod ramiona zwisającego bezwładnie Melestava. Miał zakrwawione czoło i błędny wzrok.

To ostatnie nie trwało zresztą długo — zogniskował spojrzenie na mnie, rozejrzał się ostrożnie, próbując jak najmniej poruszać głową, i uśmiechnął się słabo.

A potem powiedział spokojnie:

— Ktoś do pana, szefie.

Nie wyjmując dłoni spod blatu, przyglądałem się intruzom. Musieli wiedzieć, że jestem niebezpieczny, dlatego przybyło ich aż tylu. Nie miałem tylko pojęcia, po co przybyli. Na pewno nie

po to, by mnie zabić, bo przeszkadzaliby sobie wzajemnie. Z drugiej zaś strony zdecydowanie nie wyglądali przyjaźnie.

W końcu jeden — niski, rudy i z lekko wytrzeszczonymi oczyma — poleciał:

— Pokaż no ręce.

Lewą dłonią wyjąłem nóż z pochwy na przedramieniu prawej ręki. Ruchu tego nie było widać ponad poziomem biurka. Spytałem uprzejmie:

— A dlaczego?

Spojrzał wymownie na Melestava i dodał tonem wyjaśnienia:

— Ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Wzruszyłem lekko ramionami.

— Powiedz mu, że nie spodobała mi się forma zaproszenia.

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, po czym oznajmił:

— Nie zabiliśmy nikogo z twoich... jeszcze. A ten, kto chce cię widzieć, spieszy się. Więc w twoim własnym interesie leży, żebym zobaczył twoje ręce.

Mówił dziwnie — jakby miał coś w gardle.

— Zgoda — odparłem.

I położyłem ręce na blacie.

Widok noży zaskoczył ich.

Rudy odchrząknął i powiedział:

— Odłożysz to czy mamy sprawę załatwić inaczej?

Odchrząknięcie nic mu nie pomogło.

Wolno i prowokacyjnie cisnąłem oba noże tak, by utkwily w środku wiszącej na ścianie tarczy, po czym zapytałem go:

— I co teraz?

— Teraz pójdziesz z nami — odparł i dał znak kościstemu mężczyźnie wyglądającemu, jakby składał się z powiązanej w węzły liny.

Ten wykonał parę ekonomicznych gestów i poczułem znajome objawy towarzyszące początkowi teleportacji. Zacisnąłem zęby i zastanowiłem się, kogo też może być stać na wynajęcie adepta zdolnego teleportować równocześnie siedem osób. Jakkolwiek by na to patrzeć, na spekulacje i tak było już za późno...

* * *

Znaleźliśmy się w znanej mi części miasta przed sklepem jubilerskim.

Pokiwałem głową i powiedziałem:

— Toronnan.

Nikt mi nie odpowiedział, ale też nie było to pytanie.

Przemaszerowaliśmy przez sklep i warsztat, w którym jegomość wyglądający jak członek Domu Chreothy robił coś z cienkiego, srebrnego drutu przy użyciu zakrzywionych szczypiec. Wyglądający, gdyż choć niczym się nie zdradzał, wiedziałem z pewnego źródła, że zabił przynajmniej trzy osoby. Rolę Chreothy opanował jednak doskonale — nawet na nas nie spojrzał.

Byłem raczej w parszywym nastroju — nie dość, że mój żołądek jak zwykle protestował przeciwko tego typu metodzie transportu, to w dodatku Loioosh był zbyt daleko, by zostać objęty polem teleportu. Może i niewiele by mi pomógł, ale nie lubiłem się z nim rozstawać.

Dotarliśmy do jasnobrązowych drzwi znajdujących się na końcu wyłożonego drewnem korytarza i rudy zaklaskał.

— Wejść — rozległo się nieco przytłumione zaproszenie zza drzwi.

Rudy otworzył drzwi i puścił mnie przodem.

Można było powiedzieć, że Toronnan był moim szefem, gdyż mój teren znajdował się wewnątrz jego, znacznie większego terenu, dlatego dostawał dołę od wszystkich interesów działających pod moją ochroną czy z moim udziałem. W zamian za to naprawdę rzadko ktoś próbował się wepchnąć na mój teren i miałem dojsie do oficjalnego przedstawiciela Domu Jherega w pałacu.

Biuro Toronnana nie robiło wrażenia ani nic nie mówiło o nim samym. Nie miał tarczy do rzutów nożem ani żadnych obrazów rodziny czy krajobrazów ze szczęśliwymi Tecklami hasającymi na polu. Pod jedną ze ścian stał regał, na którym piętrzyły się starannie ustawione księgi rachunkowe i teczki z dokumentami. Obok znajdowało się biurko o błyszczącym blacie, na nim zaś jedynie pojemnik z piórami, suszka, notes, z boku tacka z cukierkami i karafka z brandy oraz sześć szklanek. W pomieszczeniu nie było okien, co akurat nie było niczym zaskakującym — zgodnie z zasadami obowiązującymi w Domu Jherega nie wolno było atakować w domu, ale o miejscu pracy nikt nie wspominał.

Toronnan był niewysoki i sprawiał wrażenie nerwowego. Miał cienkie wargi i prawie niewidoczne brwi. Na pierwszy rzut oka wyglądał na słabego i niegroźnego. Ten, kto dał się zwieść tym pozorom, raczej nie miał już okazji do popełnienia następnego błędu.

Gdy wszedłem, kończył właśnie umieszczać kolejną teczkę na regale i wskazał mi gestem fotel stojący przed biurkiem. Fotel był jeden, choć miejsca starczyłoby na kilka. Usiadłem. On też usiadł i gestem odprawił eskortę. Wyszli, zamykając za sobą drzwi. Podobało mi się to — niektórzy, żeby pokazać jacy są ważni, ignorują człowieka, udając, że są zapracowani. Im są głupszy, tym

dłużej to robią.

— Wiesz, gdybyś kazał zamontować kółka do swojego fotela, mógłbyś bez wstawania podjechać do regału po papiery — powiedziałem. — Oszczędza czasu, wiem z doświadczenia.

— To praktycznie jedyne ćwiczenie, jakie regularnie wykonuję — odparł. — Potrzebuję trochę gimnastyki.

Głos miał głęboki i melodyjny — odkąd go pierwszy raz usłyszałem, zawsze chciałem posłuchać, jak śpiewa.

— Rozumiem.

Cały czas przypatrywał mi się uważnie.

A ja miałem niemiłą świadomość, że siedzę plecami do drzwi. Normalnie mnie to nie martwi, bo tyłów pilnuje Loiosh. Tym razem jednak go nie było.

Po chwili Toronnan potrząsnął głową.

— Ile to czasu minęło, baronecie? — spytał. — Trzy lata, odkąd zacząłeś dla mnie pracować?

— Coś koło tego.

Pokiwał głową.

— Dobrze zarabiasz, utrzymujesz porządek na swym terenie i nie rozpychasz się. Początkowo w organizacji znaleźli się niechętni pomysłowi, by człowiek miał własny teren, ale przekonałem ich, żeby dali ci szansę. Pokazałeś, że dobrze sobie radzisz.

Uznałem, że to nie wymaga komentarza, więc się nie odzywałem.

— Naturalnie od czasu do czasu pojawiały się problemy — dodał — ale z tego co wiem, to nie ty byłeś ich źródłem. Nie byłeś zbyt chciwy, ale też nie pozwoliłeś sobą pomiatać. Zawsze płaciłeś na czas i prowadziłeś uczciwe rozliczenia. Podoba mi się to.

Zrobił kolejną przerwę.

A ja znów nic nie powiedziałem.

— Ale teraz słyszę różne rzeczy, które mi się nie podobają — powiedział po chwili. — Domyślasz się, o co mi chodzi?

— Że mam sztuczne kwiaty na stole? Przysięgam, że to nieprawda, nie mam...

— Nie wydurniaj się, dobrze? Źle ci to wychodzi, a mnie obraża. Słyszałem, że jesteś związany z grupą ludzi chcących przyspieszyć następne rządy Teckli albo być może w ogóle zniszczyć cykl czy coś w tym stylu. Detale mnie nie interesują, natomiast interesy tej grupy nie pokrywają się z naszymi. Rozumiesz?

Przez chwilę zastanawiałem się, jak zareagować. Prawda była taka, że nie miałem żadnych związków z tymi, o których mówił. Cawti miała. Ale nie miałem też nastroju do tłumaczenia się. Powiedziałem więc:

— Prawdę mówiąc, uważam, że ci, o których mówisz, to niegroźni wariaci.

— Imperium tak nie uważa. I część góry organizacji również. I są tacy, którzy chcą wiedzieć, jakie są twoje związki z tą grupą.

— Dopiero co przejąłem interesy Hertha w całej południowej części miasta. Dlaczego nie poczekają cierpliwie, nie zobaczą, jak to wpłynie na dochody, i dopiero wtedy nie zdecydują?

Toronnann potrząsnął głową.

— Nie możemy tego zrobić. Dostaliśmy wiadomość od naszego przedstawiciela w pałacu... szczegółów nie musisz znać. Chodzi o to, by nikt z organizacji nie był związany z tymi ludźmi.

— Rozumiem.

— Możesz zapewnić mnie, że nie zwiążesz się z nimi w przyszłości?

Tak natarczywie się we mnie wpatrywał, że poczułem się prawie zagrożony.

— Powiedz mi coś — zaproponowałem. — Dlaczego za każdym razem, gdy rozmawiam z kimś wysoko postawionym w organizacji, mam wrażenie, że to ta sama osoba? Wszyscy mówicie tak samo. Przechodzicie szkolenie czy jak?

— Nie powiedziałbym, że jestem wysoko postawiony...

— No, no, bez fałszywej skromności... choć nie: Demon wyraża się inaczej niż wy wszyscy.

— A jak my się wyrażamy?

— Przecież wiesz: krótkie zdania, jakbyście chcieli tylko podać fakty, nic więcej.

— Skuteczna metoda?

— Sądzę, że tak.

— To już wiesz dlaczego.

— I ja też będę tak mówił, gdy znajdę się odpowiednio wysoko? Nie podoba mi się to... chyba będę musiał zmienić plany na przyszłość.

— Umówmy się, że wiem o twoim poczuciu humoru i doceniam je, zgoda? Nie musisz mi go udowadniać. I wiem, że jesteś twardy. Tego też nie musisz mi udowadniać. Ale ci, dla których pracuję, mają mniejsze poczucie humoru. I są znacznie twardsi i silniejsi. Rozumiemy się?

Kiwnąłem głową.

— To dobrze. Wracając do tych ludzi: co możesz mi powiedzieć?

— Że mnie nie lubią. Ja też ich nie lubię. I nie planuję mieć z nimi nic wspólnego. Ale to mój teren i będę musiał się tam pokazywać. Jeżeli okaże się, że zostanę zmuszony do kontaktowania się z nimi, nie jestem w stanie przewidzieć, jak

będzie to wyglądać, dopóki taka sytuacja nie zaistnieje. Tak to wygląda i tak to widzę.

Pokiwał powoli głową.

— Nie jestem pewien, czy to wystarczy — powiedział po chwili.

I cały czas mi się przyglądał.

Odpowiedziałem mu podobnym spojrzeniem.

Byłem uzbrojony i wiedział o tym. Ale byłem w jego biurze i siedziałem w ustawionym przez niego fotelu. Jeśli przygotował się choć w połowie tak jak ja na przyjęcie uciążliwych gości, mógł mnie zabić bez wysiłku. Ja go prawdopodobnie też. Ale tylko prawdopodobnie. Są jednak takie sytuacje, gdy nie oplaca się wycofywać.

— Nic więcej nie mogę obiecać — stwierdziłem.

Przez chwilę jeszcze milczał.

— No dobrze — zdecydował. — Zostawimy to i zobaczymy, jak sytuacja się rozwinie. Zostaw otwarte drzwi, wychodząc.

I wstał.

Ja także. I ukloniłem mu się uprzejmie.

Wyszedłem bez towarzystwa przewodników czy eskorty.

Przed sklepem czekał żylasty adept. Zobaczył mnie i spytał, czy ma mnie teleportować z powrotem do mojego biura.

Podziękowałem — to było ledwie ze dwie—trzy mile.

— Ale mnie już nogi bolą — zaprotestował Kragar.

Adept podskoczył naprawdę wysoko.

Ja nie, ale kosztowało mnie to sporo wysiłku.

— Jak długo tu jesteś?! — wykrztusił żylasty, gdy opadł na ziemię.

Kragar spojrział na niego z wyrzutem.

— Sam mnie teleportowałeś, to czego się głupio pytasz?

— Przykro mi, ale mam ochotę na spacer — wtrąciłem się energicznie.

I odeszliśmy obaj, nim adept zdołał wyjść z szoku.

Gdy minęliśmy najbliższy narożnik, ryknęliśmy śmiechem i przez dobrą chwilę nie mogliśmy się uspokoić.

* * *

Cawti wróciła dobrze po północy. Rocza, która jej towarzyszyła, przywitała się z Loiošem, a Cawti w tym czasie zdjęła rękawiczki, opadła na sofę i z ulgą pozbyła się butów. Potem przeciągnęła się i zauważyła uprzejmie:

— Długo siedzisz.

— Czytam. — Pokazałem jej na dowód ciężkie tomiszcze trzymane na kolanach.

— Co to takiego?

— Zbiór esejów i wspomnień tych, którzy przeżyli Katastrofę Adrona i początki Bezkrólewia.

— Ciekawe?

— Niektóre, choć nie wszystkie są na temat.

— Tacy już są Dragaerianie.

— Fakt. Głównie rozwodzą się nad tym, że kataklizm był nieunikniony, bo zakończył się Wielki Cykl, albo nad Prawdziwym i Jedynym Znaczeniem odrodzenia się Feniksa.

— Nudy na pudy.

— W większości, ale jest parę dobrych kawałków. Niejaki Broinn z Domu Athyry twierdzi na przykład, że to próby użycia magii w czasie Bezkrólewia, gdy było to prawie niemożliwe, zmusiły magów do rozwinięcia umiejętności, dzięki którym obecnie magia jest tak silna.

— Interesujące. Więc nie uważa, że Kula uległa jakimś zmianom przez to, że znalazła się w Przesionku Sądu?

Pokiwałem głową.

— To atrakcyjna teoria — przyznałem.

— Owszem. Szkoda, że nigdy na nią nie wpadłam.

— Ja też. Widziałaś może naszego gościa?

— Ostatnio jakoś nie. Ale chyba nic mu się nie przytrafiło.

— Podejrzewam. Nie jest typem łatwo pakującym się w kłopoty. Nadal nie wiem, czy jest szpiegiem czy nie.

— A robi ci to jakąś różnicę? — zdziwiła się.

— Będzie robić, jeśli wyjdę na durnia albo co gorsza na jego współnika. Poza tym, że się tak wyrażę, zwisa mi to i powiewa. A wobec Imperium nie czuję żadnej specjalnej lojalności, jeśli o to ci chodzi.

Kiwnęła głową i przeciągnęła się powtórnie, przy okazji powodując lekki nieład artystyczny fryzury. Ładnie to wyglądało w połączeniu z jej pociągłą twarzą i zbyt dużymi oczyma. Nadal mi jej brakowało, ale powoli się z tym godziłem — prawdopodobnie dlatego, że naprawdę rzadko ją widywałem. Może w końcu się do tego przyzwyczaję... a może i nie.

Przyglądała mi się pytająco, toteż skorzystałem z okazji.

— Organizujecie coś, o czym powinnaś mi powiedzieć?

— Dlaczego? — spytała, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Bo dostałem dziś zaproszenie nie do odrzucenia. Góra organizacji chciała zapewnienia, że nie współpracuję z Kellym. Wydaje mi się, że Imperium coś planuje, a organizacja uważa, że jest to związane z południową częścią miasta.

— Nie organizujemy nic, o czym mogłabym ci powiedzieć.

— Więc coś kombinujecie — podsumowałem.

Jej oczy przybrały nieobecny wyraz, co oznaczało, że głęboko

się nad czymś zastanawia. Prawdopodobnie nad tym, ile mi powiedzieć. Chciała to przede mną ukryć. Nie okazywałem jej, że to zauważyłem, bo i po co.

W końcu powiedziała:

— Owszem, organizujemy, ale nie coś takiego, co mógłbyś podejrzewać. Tworzymy i budujemy struktury. Prawdopodobnie widziałeś to i owo w okolicy.

— Widziałem. Ale nie wiem, na ile jest to poważne, a teraz wychodzi na to, że muszę to wiedzieć.

— Sądzymy, że wkrótce pewne rzeczy pękną... Nie mogę podać ci detali...

— Wkrótce to znaczy kiedy?

— Co „kiedy”? Kiedy wybuchnie powstanie? Pojęcia nie mam, bo nie planujemy żadnego powstania. Poza tym nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, z jaką łatwością władze mogą zorientować się we wszystkim, co robimy.

— Posyłając szpiegów?

— Nie, choć to także dobry sposób. Ale wystarczy magia zwiększająca słuch i pozwalająca słyszeć przez ściany. Władze mogą jej użyć, kiedy chcą, a my nie mamy możliwości, by to zablokować. Na to potrzeba albo pieniędzy, albo adeptów, a nam brak jednego i drugiego.

— Fakt — przyznałem, nie dodając, że wątpię, by władze traktowały ich na tyle poważnie, by przedsięwziąć podobne środki.

To zresztą mogło nie być prawdą, biorąc pod uwagę, ilu gwardzistów kręciło się ostatnio po ulicach.

— A to znaczy, że trudno rzecz utrzymać w tajemnicy — dodała. — Więc nawet nie próbujemy. Planując cokolwiek, zakładamy, że władze o tym wiedzą, i niczego nie ukrywamy. A

twoje pytanie jest bez sensu, gdyż my tylko to przygotowujemy. A kiedy to nastąpi, nikt nie wie. Może jutro, a może za rok. My po prostu jesteśmy coraz bardziej gotowi. Warunki...

— Znam panujące tam warunki — przerwałem jej.

— Zgadza się. Znasz.

Przyglądałem się jej jeszcze przez moment, zastanawiając się, co by jeszcze powiedzieć, ale uznałem, że nie ma sensu nic mówić. Chrząknąłem i sięgnąłem po książkę.

* * *

Godzinę później zjawił się Aibynn. Chował głowę w ramionach niczym Teckla. Uśmiechnął się wstydliwie i usiadł. Pod pachą ścisnął swój bęben i coś, co wyglądało na zrolowaną kartkę grubego papieru.

— Grałeś? — spytałem uprzejmie.

Przytaknął i powiedział:

— I znalazłem to.

I rozwinął to, co wyglądało na papier.

— Wygląda na kawałek skóry — oceniłem.

— Bo to jest skóra — potwierdził. — Cielęca.

I wyglądał, jakby właśnie dokonał epokowego odkrycia.

— Nie macie tam u siebie krów? — zdziwiłem się. — Czy też nigdy w życiu nie widziałeś cielaka?

— Zobacz, jaka ona jest cienka.

— Fakt, cieniutka. Wasze krowy są pancerne czy jak?

Potrząsnął głową.

— To kwestia garbowania i innych procesów technicznych. Nigdy nie widziałem tak cienkiej skóry. Jest tak cienka jak zdjęta z ryby, za to cieplejsza.

— Cieplesza?

— Dlatego te wielkie bębny mają tak dobre brzmienie.

— Jakie wielkie bębny, przepraszam? — spytałem łagodnie.

— Te przed Cesarskim Pałacem, w które biją, gdy odbywają się różne ceremonie.

— To tam są jakieś bębny?

— Wielkie. — Pokazał gestem. — Kiedyś zagrali na dziesięciu równocześnie...

— Zaraz! Zdaje się, że walą w nie przy wtórze rogów co roku w dniu przesilenia.

— Teraz wiem, dlaczego one tak dobrze brzmią. To przez skórę, którą są obciągnięte. Słyszałem, że obciaga się bębny skórą zwierząt, ale nie wierzyłem w to. No i powietrze jest tu lepsze.

— Powietrze? — spytałem ostrożnie.

— Tu jest naprawdę suche powietrze. Nie byłem w stanie właściwie dostroić tu bębna i nie wiedziałem dlaczego.

Pierwszy raz słyszałem, by ktoś nazwał suchym powietrze portowego miasta leżącego na południowym wybrzeżu.

— Aha — bąknąłem.

— To dlatego noszą maski? — spytał Aibynn.

— Kto? — spytałem słabo.

— Ci, którzy bębnią.

— A noszą?

— Noszą.

— Przyznam, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Pokiwał głową i wyszedł do błękitnego pokoju.

Oczywiście z bębniem pod pachą, i nadal gładząc zdobyczny kawałek skóry.

Zauważyłem, że Cawti na mnie patrzy, ale nie byłem w stanie odgadnąć wyrazu jej twarzy.

— Cielęca skóra — powtórzyłem. — I suche powietrze.
— W sumie nic wielkiego, kiedy już o tym wiesz.
— Może to jest właśnie nasz problem: za suche powietrze.
Uśmiechnęła się łagodnie.
— Od dawna to podejrzewałam.
Pokiwałem głową i ponownie podniosłem książkę.
Rocza wylądowała na poręczy i spojrzała na mnie pytająco.
— Skóra — poinformowałem ją. — Cielęca.
Odleciała.

* * *

Siedzieliśmy w jednej z komnat we wschodniej części Czarnego Zamku. Przyjrzałem się Morrolanowi z pewnym zdziwieniem, bo właśnie odkryłem, że gdy siedział, wcale nie wyglądał na wysokiego.

Po chwili spytał:

— O co chodzi, Vlad?

— Chciałbym porozmawiać o rewolucji.

Przekrzywił głowę i uniósł brwi.

— O czym, przepraszam?

— O rewolucji. Powstaniu chłopskim. Ruchawce na ulicach.

— Aha. No i co z tą rewolucją?

— Może wybuchnąć?

— Oczywiście. Zdarzało się to już wcześniej.

— Z powodzeniem?

— To zależy, co przez to rozumiesz. Byli władcy zabici przez swoich chłopów. W czasie Wojny Baronów całe hrabstwo, Longgrass zdaje się, zostało zamienione w...

— Chodzi mi o sukces bardziej długoterminowy. Czy chłopci na

przykład mogą przejąć i utrzymać władzę?

— W Imperium?

— Tak.

— Niemożliwe. Przynajmniej tak długo, jak Dom Teckli nie jest następnym, który ma objąć władzę. A to nastąpi za kilka tysięcy lat. Nim to nastąpi, obaj będziemy od dawna martwi.

— Jesteś pewny?

— Tego, że będziemy martwi?

— Tego, że to niemożliwe.

— Jestem. A dlaczego pytasz?

— Cawti związała się z grupą rewolucjonistów.

— A tak. Sethra coś o tym wspomniała kilka tygodni temu.

Ta rewelacja zupełnie mnie zaskoczyła.

— Sethra? — wykrztusiłem. — A skąd ona o tym wiedziała?!

— Bo jest Sethra Lavode.

— Aha. A co powiedziała?

Morrolan spojrział w sufit i milczał przez chwilę, przypominając sobie.

— W sumie to bardzo niewiele — przyznał. — Wyglądała na zatroskaną, ale nie wiem dlaczego.

— Może w takim razie powinienem z nią porozmawiać...

— Może. Zjawi się tu wieczorem. Musimy pomówić o wojnie.

— O jakiej znowu wojnie?!

— O tej, która będzie. Przecież słyszałeś nowiny.

— Nie. Jakie nowiny?

— Imperialny frachtowiec *Song of Clouds* został wczoraj staranowany i zatopiony przez raidera z Greenaere.

— Greenaere — mruknąłem. — Aha.

Lekcja siódma

Racje stanu

Morrolan, Alera i ja jedliśmy obiad w małej jadalni z balkonem, z którego roztaczał się piękny widok... na znajdującą się milę w dół powierzchnię. Jako posiadacz delikatnego żołądka starannie ignorowałem i balkon, i widok. Tym bardziej było to uzasadnione, że kucharz Morrolana przygotował zupę z kaczki z cynamonem (podawaną na zimno), rozmaite mrożone owoce i kethnę w miodzie i tymianku wraz z warzywami w sosie octowo —czosnkowym. A do tego ciastka z truskawkami. Do tego było kilka rozmaitych win do wyboru, a nie jak zwykle jedno do każdego dania. Wybrałem białe wytrawne z wybrzeża Tan i dopiero przy deserze zmieniłem je na śliwkową brandy, którą Dragaerianie z uporem godnym lepszej sprawy nazywają śliwkowym winem.

Tematem rozmowy była naturalnie wojna. Alierze aż oczy zaczęły pałać, gdy zabrała się do planowania desantu na Greenaere, a Morrolan całkiem poważnie rozważał możliwość przyjęcia patentu oficerskiego w marynarce. Ja zaś próbowałem dowiedzieć się, dlaczego dzieje się to, co się dzieje. Alera po kolejnym moim pytaniu wzruszyła ramionami i odparła:

— Skąd możemy wiedzieć, dlaczego zatopili nasz statek?

— Przecież istnieje chyba jakaś łączność między Imperium a wyspą. Nie wysłali żadnej wiadomości?

— Może i przyszła — przyznał Morrolan — ale my nic o tym nie wiemy.

— Możecie spytać Norathar...

— Po co? — zdziwiła się Alier. — Powie nam to, co będziemy musieli wiedzieć, wtedy, kiedy uzna to za stosowne.

Spojrzałem nieżyczliwie na niczemu nie winne ciastko i wychyliłem brandy do dna. Z zasady tak nie robię, bawię się naczyniem i jego zawartością. Alier dla odmiany zawsze trzyma kieliszek jak ptaka — dwoma palcami za nóżkę, trzema za czarę — i pije małymi łydkami. Chyba że jest z wojskiem w polu, wtedy pije jak wszyscy. Jak trzeba nawet z butelki. Wiem, bo widziałem. Morrolan zaś trzyma kielich za czarę, jakby był to pozbawiony nóżki pucharek, i pije długimi łykami rozdzielonymi w czasie. Nie patrzy przy tym na to, co pije, lecz na rozmówcę. Teraz patrzył na mnie. Odstawił kielich, w którym było coś gęstego i purpurowego, i spytał:

— Dlaczego cię to tak interesuje?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, Alier prychnęła i oświadczyła:

— A jak ci się wydaje, kuzynie? Miał pecha tam być i wylądował w więzieniu. Teraz jest ciekaw, czy to, co zrobił, przypadkiem nie spowodowało wojny. Pojęcia nie mam, dlaczego go to obchodzi, bo do wojny każdy powód jest dobry, ale Vlad już taki jest.

Wzruszyłem ramionami, nie bardzo wiedząc, co mógłbym jeszcze dodać.

Morrolan powoli pokiwał głową.

— A co tam robiłeś? — spytał.

— Wolałbym nie mówić.

— To znaczy, że kogoś zabił — podsumowała Alier.

Morrolan znów pokiwał głową i spytał:

— Czy to był ktoś wystarczająco ważny, by wzbudziło to gniew na Imperium?

— Porozmawiajmy o czymś innym — zaproponowałem.

— Jak sobie życzysz — zgodził się Morrolan.

Loiosh jadł niewiele, krytykując kucharza, ile wlażło. Uważał, że tamten przesadził z miętą i imbirem. Zwłaszcza w warzywach. W końcu powiedziałem mu, że imbiru nigdy nie jest za dużo, a jheregi nie jadają warzyw. Odpyskował coś o wpływie istot wyższych na niższe, ale dokładnie go nie zrozumiałem, gdyż akurat służąca poruszająca się jak wodny zegar Seriolich weszła i zaanonsowała:

— Sethra Lavode.

Wszyscy wstaliśmy.

Sethra weszła, skłoniła głowę i usiadła między Alierą a mną. Zawsze wolała, żeby ją anonsowano, ale rzadko z tytułami, a miała ich sporo. Nie wiem, czy było to robione z wyrachowania, czy ze skromności, choć o to ostatnie trudno ją było podejrzewać. Jak zwykle ubrana była w czerń. Czarną bluzę z bufiastymi rękawami spiętymi w nadgarstkach, czarne spodnie wpuszczone w czarne rajtarskie buty. I jak zwykle na szyi miała srebrny łańcuch z medalionem w kształcie głowy smoka o dwóch żółtych kamieniach zamiast oczu. Miała ostre rysy Smoka i nieco skośne oczy podobne do oczu Dzura. Spoglądając w nie, zawsze ryzykowało się wpadnięcie w otchłań pamięci liczącej wiele tysięcy lat. Bo Sethra w jakiś sposób żyła wielokroć dłużej niż przeciętny Dragaerianin. Wieść niosła, że nie całkiem żyła. Inna głosiła, że była wampirem. Na pewno była adeptką magii, doskonałym strategiem, wybitnym szermierzem i doskonałym politykiem. Jej moc była legendarna.

A ja czasami byłem przekonany, że jest moją przyjaciółką.

Jak zwykle miała też przy boku błękitną pochwę zawierającą Iceflame'a.

— Jak sądzę, rozmawiacie o wojnie? — spytała.

— Rozmawialiśmy — przyznał Morrolan. — Masz jakieś nowiny?

— Owszem. Greenaere zawarło sojusz z wyspą Elde.

Morrolan i Alera spojrzeli na siebie dziwnie.

Po krótkiej chwili Morrolan zauważył:

— To raczej zaskakujące, biorąc pod uwagę ich historię.

Sethra potrząsnęła głową.

— Nie walczyli ze sobą od czasów Bezkrólewia — przypomniała.

— Ostatnim razem, gdy walczyliśmy z Elde, Greenaere było po naszej stronie — odezwała się Alera.

— I w nagrodę straciło połowę floty — dodała Sethra.

— To oni mają jakąś flotę? — zdziwił się Morrolan.

— Mają dużo jednostek rybackich, w większości pełnomorskich. W razie potrzeby wystarczy je uzbroić, a rybacy są biegli w wojskowym rzemiośle.

— A armię też mają? — spytała Alera.

— Niewartą wzmianki — odparłem.

Oboje spojrzeli na mnie pytająco. Gdy nic nie dodałem, Morrolan odchrząknął i powiedział:

— Elde ma stałą armię.

— Wszystko to wydaje mi się dziwne — oceniłem. — Najbardziej to, że uważają, iż mogą wygrać z Imperium.

— Może mają nadzieję, że nie dojdzie do wojny — rzuciła Alera.

Morrolan prychnął pogardliwie.

— W takim razie są głupi.

— Niekoniecznie — sprzeciwiła się. — Pamiętaj, że w przeszłości radzili sobie nie najgorzej. Z Elde stoczyliśmy dziewięć wojen i...

— Jedenaście — wtrąciła Sethra. — Dwanaście, jeśli wliczyć pierwszą inwazję, ale sądzę, że to sobie możemy darować.

— Nieważne — skwitowała Alera. — Chodzi o to, że ani razu nie odnieśliśmy zdecydowanego zwycięstwa. Inaczej Elde stanowiłoby część Imperium.

Morrolan machnął lekceważąco ręką.

— I tak za każdym razem gorzej na tym wychodzili niż my — oznajmił.

— Nie zawsze — sprzeciwiła się Alera. — Zaatakowali w czasie powstania na górze Ash i musieliśmy prosić o pokój. Nasz wspólny przodek zapłacił głową za tę klęskę.

— A, fakt — zgodził się. — Ale poza tym...

— W czasie piętnastych rządów Issoli zaatakowali z takim samym skutkiem.

— Wtedy toczyła się wojna z ludźmi!

— No to co? Wykorzystują okazję, gdy mamy inne problemy, i...

— Vlad, co się właściwie dzieje w Południowej Adrilance? — spytała niespodziewanie Sethra, przerywając ich rozmowę.

Najpierw Morrolan, potem Alera spojrzeli na mnie, gdy dotarło do nich, w którym momencie Sethra zadała to pytanie.

— Sam się nad tym zastanawiam — przyznałem.

* * *

Wśród moich pracowników był jeden zwany Kijem, od swej ulubionej broni. Poprosiłem go do siebie i kazałem usiąść. Wykonał polecenie, wyciągnął jak zwykle nogi i spojrzał na mnie pytająco. Wyglądał na odprężonego, ale zawsze tak wyglądał — nawet w czasie walki, co miałem okazję obejrzeć nie tak dawno.

Zagailem:

— Kiedyś mówiłeś mi, że pracowałeś w muzyce, dostarczając lokalom grajków.

Kiwnął głową.

— Nadal masz kontakty w tej branży?

— Nie bardzo.

— A znasz kogoś, kto ma?

— Z ośmiu albo dziesięciu.

— To powiedz coś o paru najlepszych.

— Jasne. Jest kobieta, Aisse, ale ja bym dla niej nie pracował.

— Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

— Nigdy tak do końca nie wie, co robi, a jeśli wie, to nie informuje muzyków. Podobno często kłamie, zwłaszcza gdy coś spieprzy.

— Rozumiem. Następny.

— Jest jeden taki, nazywa się Phent. Nie łąze aż tyle, ale jest prawie tak samo niekompetentny, a bierze dwa razy więcej od innych. Obsługuje głównie spelunki i nigdy nie próbował lepszych lokali.

— Może będę go potrzebował. Gdzie go znajdę?

— Fishmonger Street 14.

— Dobra. Jeszcze ktoś.

— Greenbough. Niezły, kiedy jest trzeźwy. D'Rai załatwia niezłe stawki, ale strasznie trudno jest się od niej uwolnić i chce, żeby grać w kółko to samo, a większość muzyków tego nie lubi.

— Cholera, czy w tym interesie nie ma nikogo dobrego?

— Nie bardzo, szefie. Najlepsza jest w sumie firma prowadzona przez trzech ludzi: Thomasa, Oscara i Ramona. Obstawiają całą południową część miasta i co lepsze lokale w

północnej.

— Gdzie ich znajdę?

— Półtorej mili w górę Lower Kieron, na piętrze za „Wolves Den”.

— Wiem, gdzie to jest. Dzięki.

— Wolno spytać, dlaczego to pana interesuje, szefie?

— Chwilowo wolałbym nie mówić.

— Jasne. Coś jeszcze?

— Tak. Powiedz Melestavowi, żeby Kragar tu przyszedł.

Ledwie za Kijem zamknęły się drzwi, Kragar spytał:

— A ja mogę się dowiedzieć, po co ci te informacje, Vlad?

Podskoczyłem, spojrzałem na niego nieżyczliwie i spytałem:

— Cały czas tu jesteś?

— Nie wiedziałem, że to prywatna rozmowa.

— Nie szkodzi. A chodzi mi o dwie sprawy równocześnie. Raz, o to, żeby pomóc Aibynnowi znaleźć jakąś pracę. A dwa, o to, by zyskać źródło informacji w południowej części miasta, choć nie tylko tam. Muzykanci słyszą przecież tyle samo plotek co panienki.

— Zgadza się.

— Skoro masz już wszystkie potrzebne informacje, to może kropnąłbyś się do tych ostatnich, o których mówił Kij?

— Nie może być! Chcesz, żebym zrobił coś bezpiecznego i łatwego?! No dobra, poświęcę się. Co do Aibynna; nie będą wpierw chcieli posłuchać, jak gra?

— Może. Pogadam z nim i przyślę tam. Ale i tak sprawdz, czy nie interesuje ich mały zarobek na boku bez świadomości, kto im płaci.

— Dobra. Coś jeszcze?

— Nie. A ja powinienem o czymś wiedzieć?

— Tevyar znów się podniecił.

— I?

— Ktoś z Domu Ioricha był mu winien pieniądze i zaczął się stawiać. Tevyar próbował sam to załatwić, dał się ponieść entuzjazmowi i zabił gościa. Wiesz, jaki on jest.

— Wiem. Jest idiotą. Tamtego da się wskrzesić?

— Nie. Rozwalił mu łeb i uszkodził mózg.

— Patentowy idiota! Będą z tego powodu jakieś problemy?

— Z tego co wiem nie. Śladów nie zostawił.

— Dobrze choć to.

— Zrobimy coś z tą całą sprawą?

Zastanowiłem się, po czym potrząsnąłem przecząco głową.

— Tym razem nic. Jeśli pokryje straty, może się czegoś nauczyć. Jeśli nie...

— Jasne.

Loiosh z wieszaka przeleciał na moje ramię. Podrapałem go po szyi i spytałem:

— Co z Kellym i resztą?

Kragar zaczął wiercić się niespokojnie, a na jego zwykle kamiennej twarzy pojawił się dziwny wyraz jakby niepewności.

— Imperium zaczęło ściągać rekruta z południowych rejonów miasta — wykrztusił wreszcie. — I wyłącznie ludzi — dodał.

— Interesujące. Kelly coś przedsięwziął?

— Odbyli paradę czy coś takiego. Mniej więcej tysiąc osób.

Gwizdnąłem z uznaniem.

— Coś się wydarzyło?

— Nic. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby Imperium chciało skorzystać z okazji i użyć gangów werbowniczych, ale nie doszło do tego.

— Nie dziwię się. Tysiąc rozgniewanych ludzi rozniosłoby je

na strzepy.

— Jutro wieczorem ma być jakiś wiec czy coś takiego.

— Dobra. Coś jeszcze?

— Rutynowe sprawy. Masz na biurku.

— Doskonale. W takim razie leć i daj mi znać, co załatwiłeś.

Kiedy wyszedł, przejrzałem zapiski zostawione na biurku przez niego i Melestava. Podpisałem parę kredytów dobrym klientom, zgodę na nowe meble do jednego z lokali i odmowę dodatkowej ochrony w innym. I zanotowałem w kalendarzu kilka umówionych już spotkań w interesach.

Prawdę mówiąc, nie musiałem się tym zajmować.

Sprawy osiągnęły poziom, w którym interes kręcił się sam. I sprawiało mi to czystą przyjemność — ciężko pracowałem, by to osiągnąć. A szczytem ironii był fakt, iż gdy mi się to w końcu udało, nie mogłem się w pełni cieszyć i pogрузić w słodkim nieróbstwie, bo miałem na głowie problemy w dzielnicy zamieszkaney przez ludzi i przyległościach. Więc zamiast siedzieć i patrzeć, jak gotówka sama napływa, miałem jak zwykle masę zajęć i problemów.

Jak na przykład ten, czym spowodowany był pobór, o którym mówił Kragar. Bo wyjaśnienia były dwa, i to równie prawdopodobne. Albo wojna była już naprawdę bliska, albo władze użyły jej jako pretekstu do zmniejszenia liczby potencjalnych buntowników. Jeżeli to pierwsze, to rodziło się nowe pytanie — czy to ja spowodowałem ten konflikt. A jeśli tak, to dlaczego Verra chciała tej wojny?

Jak zwykle zignorowała moje wezwanie, więc nie mogłem jej spytać. Musiałem sam znaleźć odpowiedź. A domyślenie się, co też może chodzić po tak obcej i nieludzkiej głowie, wcale nie było sprawą łatwą...

Ponieważ świętokradcze rozważania nie doprowadziły mnie do niczego, skoncentrowałem się na wojnie. Kiedy patrzyło się na mapę, rzecz wydawała się wręcz absurdalna, taka dysproporcja istniała w powierzchni i w ludności obu przeciwników. Wyspiarze musieli o tym wiedzieć. Władze Imperium też. Więc o co tu chodziło? Kto tak naprawdę dążył do konfrontacji i dlaczego? Jakie intrygi knuto w Cesarskim Pałacu? A jakie kretynizmy na wyspie? I co najważniejsze: jakie w PrzedSIONKU Sądu?

Do rozmyślań wtrącił się Loiosh:

Tak w ogóle, szefie, to może już ciebie nie dotyczyć. W końcu zrobiłeś to, do czego zostałeś wynajęty.

Naprawdę w to wierzysz?

Nie.

No widzisz. Ja też nie.

* * *

Wieczorem, czekając na Cawti, rozmawiałem z Aibynnem.

Wysłuchał mnie, pokiwał głową i widać było, że myślał

O czym innym.

— To może pójdziesz i pogadasz z nimi? — zakończyłem.

— Co? A, tak. Pójdę.

Rozmowa się urwała.

Po chwili wyszedł do swego pokoju.

Przygryzłem wargę, a Loiosh przestał gonić Roczę i stwierdził:

Dziwny typ, szefie.

Też tak myślę. Pytanie tylko, czy dziwny z natury, czy zawodowo.

Cawti nie wróciła do czasu, gdy szedłem spać.

* * *

Nie było jej także, gdy wychodziłem.
Rok temu zacząłbym jej gorączkowo szukać.
Pół roku temu próbowałbym się z nią skontaktować telepatycznie.
A teraz poszedłem spokojnie do biura.
Nie tylko rzeczy się zmieniają. Ludzie także.

* * *

Ledwie zjawiłem się w biurze, Melestav spytał:
— Słyszał pan nowiny?
Westchnąłem.
— Nie. Mam usiąść?
— Nie jestem pewien. Podobno Greenaere sprzymierzyło się z Elde.
— A, to — odetchnąłem. — Wiem.
— Skąd?
— Nieważne. Ktoś może przypadkiem komuś oficjalnie Wypowiedział wojnę?
— Słyszałem, że: Imperium, że wyspa Imperium, że wyspa przeprosiła, twierdząc, że to była pomyłka, że Elde przeszło na naszą stronę, że mają nową magię, która zniszczy nas wszystkich, że się poddajemy i wyspiarze będą nas okupować, że...
— Dość! To się nazywa agencja JPDP.
— Że jak, szefie?
— Jedna Pani Drugiej Pani. Mówiąc normalnie: plotka.

Sprawdzonych wiadomości, jak rozumiem, nie masz.

— Nie mam.

Poszedłem do siebie zająć się pracą koncepcyjną.

Po jakimś czasie zjawił się Kragar i nawet to zauważyłem.

— Rozmawiałem z Ramonem i resztą — oznajmił. — Poszli na współpracę. Można by rzec, że z pieśnią na ustach.

Zmarszczyłem brwi.

— Nie wydali ci się zbyt chętni?

— Nie. Po prostu potrzebują pieniędzy.

— Dobrze. Stać nas na to. Trzeba wybrać kogoś do utrzymywania kontaktów z nimi. Chyba że chcesz się tym sam zająć.

— Serdeczne dzięki, już i tak mam dość roboty.

— Dobra, dobra: podwyżki i tak nie będzie. Może Kij?

Kragar pokiwał głową.

— To sensowne — ocenił. — Pogadam z nim. Masz jakieś sugestie co do zasad wymiany informacji?

— Co masz na myśli?

— Chodzi mi o to, czy Kij ma się meldować bezpośrednio u ciebie, u mnie i u ciebie czy tylko u mnie.

— U mnie i u ciebie. I jeszcze coś: ustalmy sygnał rozpoznawczy dla tamtych.

— Pierścień albo coś takiego?

— Właśnie. Każ zrobić trzy: dla siebie, Kija i dla mnie. I zwracaj uwagę na to, co się z nimi dzieje.

— Dobra. Zajmę się wszystkim po południu.

— Doskonale. I jeszcze jedno: chcę wiedzieć, jak przebiegło to wielkie spotkanie, które Kelly dziś organizuje. — Jasne.

* * *

Po sześciu godzinach umowa z firmą „Tomas, Oscar i Ramon” przyniosła pierwsze efekty. Zdołali znaleźć zajęcie Aibynnowi. Miał akompaniować muzykowi z Domu Issoli grającemu na wschodnich instrumentach i śpiewającemu ballady z czasów poprzedzających Bezkrólewie. Od nich też pochodziła informacja, którą przekazał mi Kij, że większość grupy Kelly’ego z nim samym na czele została aresztowana. Wśród aresztowanych była też Cawti.

Lekcja ósma

Postępowanie z pośrednikami II

Jednym z najłatwiejszych, a równocześnie najskuteczniejszych ataków magicznych jest wzięcie takiej energii z Kuli, jaką jest się w stanie kontrolować, nie niszcząc przy tej okazji samego siebie, przepuszczenie jej przez własne ciało i skierowanie na tego, kogo chce się uszkodzić, lub na to, co chce się zniszczyć. Nie potrzeba do tego wielkich umiejętności i wystarcza podstawowy trening koncentracyjny. Z kolei najlepszą obroną jest złapanie takiej dawki energii z Kuli, jaką jest się w stanie kontrolować, z tym samym zastrzeżeniem (to jest by nie uszkodzić siebie), i wykorzystanie jej do zablokowania lub odbicia ataku. To także nie wymaga wielkich umiejętności.

Ja miałem w tej ostatniej kwestii ułatwione życie, gdyż byłem posiadaczem złotego łańcuszka (lub łańcucha, bo zmieniał wielkość ogniw), który właściwie użyty niwelował każde użycie magii zaczepnej czy obronnej. Dlatego też raczej trudno jest mi magicznie zaszkodzić. Mam bowiem dość dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy.

Pewnego razu jednak brałem udział w regularnej bitwie i oberwałem w plecy. W tej bitwie nie miałem niczego do szukania, a ponieważ ataku nie widziałem, nie mogłem się w żaden sposób obronić. Przeżycie nie było miłe. Czuję się tak, jakbym się palił od wewnątrz, i przez długie jak wieczność minuty byłem świadom istnienia wszystkich żył i organów

wewnętrznych, płonących każde w swojej ulubionej temperaturze. W dodatku mięśnie dostały skurczy, i to rozmaitych, dzięki czemu omal nie połamaly mi kości w nogach. Żołnierz z Domu Smoka stojący piętnaście stóp przede mną został równocześnie trafiony strzałą i cały czas patrzyłem, jak pada, bo nie mogłem się ruszyć. Czułem dym i dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że to włosy pod pachami i na piersiach mi się palą. Miałem świadomość, że moje serce przestało bić, a oczy swędzą i robią się gorące. Przestałem też słyszeć cokolwiek i zdolność słuchu wracała nader powoli. Pierwsze, co usłyszałem, to przeraźliwe bzyczenie, jakbym stał w samym środku ula.

Zaskoczyło mnie przede wszystkim to, że nie czuję bólu. A potem to, że moje serce ponownie zaczęło bić. Zwaliłem się na ziemię, nie mogąc ustać, a próba poruszenia nogami powodowała jedynie, iż drgały spazmatycznie. Wstać zdołałem dopiero po kilkunastu minutach. Chciałem podnieść swój rapier i nie mogłem, bo koordynację ruchów i zmysł kierunku szlag trafił. Dopiero po dobrej półgodzinie wszystkie skutki ustąpiły. Przyznaję, że przez te pół godziny byłem przerażony jak nigdy dotąd.

Od tej pory przeżycie to powraca w pamięci w najdziwniejszych momentach i zawsze silnie. Nie przypomina w niczym starego bólu, którego tak naprawdę się nie pamięta. Jest to coś, co jest wypalone, być może zresztą dosłownie, w mej świadomości. A jednak czasami jest tak intensywne, że wręcz nie mogę oddychać.

Właśnie nastąpił jeden z takich nawrotów.

Uwięzienie na Greenaere było czwartym w mojej karierze. Najtrudniejszy był naturalnie pierwszy raz, gdyż tak to już jest z

debiutami, ale żadne nie było przyjemne. Zabierając bowiem komuś zdolność poruszania się, odbiera mu się także część godności. I sama świadomość, że ktoś ważył się na to wobec Cawti, doprowadziła mnie na krawędź ataku szału. Cawti była kobietą, która walczyła u mego boku, i choć nie wiedziałem, czy mnie jeszcze kocha, a zrozumieć jej nie byłem w stanie, żywiłem jeszcze do niej różne uczucia. Być może jeszcze ją kochałem, choć odrzuciła szczęście i mnie dla pustych frazesów; na pewno ją szanowałem.

— Szefie, nic się panu nie stało? — usłyszałem głos Kija.

I wróciłem do rzeczywistości.

Musiałem wyglądać dziwnie, bo przyglądał mi się z niepokojem.

— Stało, ale już przeszło — oznajmiłem. — Powiedz Kragarowi, żeby przyszedł.

Odchyliłem głowę na oparcie fotela i zamknąłem oczy.

Po chwili usłyszałem głos Kragara:

— Co się stało, Vlad?

— Zamknij drzwi.

Zrobił to i usłyszałem, jak siada na swoim fotelu. Poczekaliśmy, aż znieruchomieje, i poleciłem:

— Znajdź mi dokładne plany lochów pod Cesarskim Pałacem.

— Co?!

— Konkretnie części pod skrzydłem Ioricha.

— Co się dzieje?

— Cawti została aresztowana.

Zapadła cisza. Długa, ciężka i wymowna.

— Nie myślisz chyba...

— Zdobądź je.

— Vlad...

— Po prostu to zrób.

— Nie.

Otworzyłem oczy, siadłem prosto i spojrzałem na niego zaskoczony.

— Co proszę?!

— Powiedziałem: nie.

Czekałem, by coś dodał.

Dodał:

— Parę tygodni temu straciłeś panowanie nad sobą i omal nie zginąłeś. Jeżeli ponownie je stracisz, umrzesz. I nikt ci nie pomoże.

— Nie prosiłem cię o...

— A ja nie zamierzam pomagać ci w samobójstwie.

Przyglądałem mu się, rozmyślając intensywnie, choć pojęcia nie mam o czym. W końcu poleciłem:

— Wyjdź.

Wykonał polecenie bez słowa.

* * *

Nie pamiętałem problemów z żołądkiem po teleportacji do Czarnego Zamku. Nie pamiętałem też, co powiedziała lady Teldra na powitanie. Świadczyło to najlepiej o stanie mego ducha i umysłu. Morrolana i Alierę znalazłem w bibliotece. Były tu najwygodniej sze fotele i najwięcej miejsca. Było to też jedno z ulubionych pomieszczeń gospodarza.

Morrolan siedział, Alera stała, a ja spacerowałem.

— Co się stało, Vlad? — spytał, gdy trzeci raz przeszedłem obok niego.

— Cawti została aresztowana. Chciałbym, żebyście pomogli mi

ją uwolnić.

Morrolan włożył w otwartą książkę zakładkę — cienki pasek z wytłaczanego złota — zamknął książkę i odłożył ją starannie na stolik. Po czym spytał:

— O co jest oskarżona?

— O spisek.

— W jakim celu zawiązany?

— Tego nie sprecyzowano.

— Aha. Chcesz wina?

— Dziękuję, nie. Pomożecie mi?

— Co rozumiesz przez uwolnienie jej?

— A jak ci się wydaje?

— Powtórkę z Greenaere.

— Właśnie.

— Dlaczego chcesz to zrobić?

Zatrzymałem się i przyjrzałem mu się uważnie, sprawdzając, czy to nie jakaś forma dowcipu. Wyszło mi, że nie.

— Ona pomogła wam mnie odbić.

— To był jedyny sposób, by cię uwolnić.

— Właśnie.

— Jesteśmy w Imperium, Vlad. Sugerowałbym użyć wpierw innych metod. Jej była partnerka jest następczynią tronu, zapomniałeś?

Wmurowało mnie w podłogę.

Zapomniałem o tym drobnym szczególe.

Pozwoliłem, by Morrolan nalał mi wina. Wypiłem je duszkiem i stwierdziłem, że straciłem smak.

— Dobra — powiedziałem. — I co?

— Co „i co”? — zdziwił się Morrolan.

Aliera okazała się bardziej lotna — przeprosiła nas i wyszła.

A ja usiadłem i czekałem.

Tak sobie siedzieliśmy w milczeniu, czekając na jej powrót.

Aliera wróciła po jakichś dziesięciu minutach.

— Norathar zrobi, co będzie w stanie — oświadczyła.

Średnio mi się to spodobało, więc spytałem:

— To znaczy co?

— Coś, co jak mam nadzieję wystarczy.

— Wiedziała?

— O aresztowaniu Cawti? Nie. Wygląda na to, że w dzielnicy zamieszkaniej przez ludzi były jakieś problemy i ta grupa znalazła się w samym ich środku.

— Nie zaskoczyło mnie to.

— Podobnych grup było kilka w całej południowej części miasta i Cesarzowa zaczęła się niepokoić.

— Rozumiem.

— Norathar ma spore wpływy. Zobaczymy.

— Tak.

Siedziałem w ponurym nastroju, gapiąc się w podłogę i myśląc o różnych rzeczach. W pewnym momencie usłyszałem równocześnie:

Ostrożnie, szefie!

To był Loiosh.

— Kim jest „ona” i kim jest „on”?

To była Aliera.

— Co?

— Właśnie powiedziałeś, że nie wiesz, dlaczego ona chciała, by on zginął.

— Cholera! Nie zdawałem sobie sprawy, że mówię na głos!

— Nie powiedziałeś tego głośno, ale nadajesz telepatycznie tak, jakbyś krzyczał.

— Szlag! Chyba jestem zdekoncentrowany.

— Mówi się trudno. Co to za ona?

Potrząsnąłem głową i znów zająłem się czarnowidztwem, tyle że ostrożniej.

Morrolan zabrał się do czytania, Alera do czesania szarego kota. Dopilem wino, odstawiłem kieliszek i poprosiłem:

— Powiedzcie mi, skąd się wzięli bogowie.

Oboje najpierw spojrzeli na mnie, potem na siebie. Morrolan odchrząknął i odparł:

— To zależy. Część z nich to Jenoine, którzy przeżyli utworzenie Wielkiego Morza Chaosu. Inni to ich słudzy, którzy zdołali się zaadaptować, gdy to się stało, i użyć jego energii albo w chwili powstania, albo w następnym milenium.

— A jeszcze inni to po prostu magowie, którzy stali się nieśmiertelni i uzyskali dość umiejętności i mocy, by równocześnie istnieć na więcej niż jednej płaszczyźnie — dodała Alera.

Zastanowiło mnie to.

— No dobrze, więc czym się różnią od demonów? — spytałem.

Wyjaśnił mi to Morrolan.

— Tylko interpretacją i jednym szczegółem. Demony mogą zostać przywołane i kontrolowane. Bogowie nie.

— Nawet przez innych bogów?

— Zgadza się.

— A więc gdyby któremuś z bogów udało się kontrolować innego boga, ten drugi stałby się demonem?

— Zgadza się. Od chwili, w której dowiedzielibyśmy się o tym, przestalibyśmy go nazywać bogiem, a zaczęlibyśmy demonem, i tak też byśmy wobec niego postępowali.

— To chyba trochę arbitralne, no nie?

— Jest arbitralne, ale jest też istotne — wtrąciła Alierą. — Gdy ma się do czynienia z istotami o takich możliwościach, ważne jest, kogo można kontrolować, a kogo nie. Nie sądzisz?

— Fakt. A co z lordami Sądu?

— A co ma być?

— Jak oni się tam znaleźli?

Morrolan wzruszył wymownie ramionami.

— Normalnie. W wyniku walki, przekupstwa lub przyjaźni z innymi bogami.

— To dlaczego chcieli się tam znaleźć?

— Nie wiem — przyznał. — A ty, Aliero?

Potrząsnęła przecząco głową i spytała:

— Skąd to nagłe zainteresowanie bogami, Vlad? Dostałeś ataku nabożności?

— Dobry temat do zabicia czasu — zełgałem bez mrugnięcia okiem.

Morrolan popatrzył na mnie sceptycznie i spytał uprzejmie:

— Masz może zamiar zostać bogiem?

— Nie za bardzo. A ty?

— Absolutnie nie. Nie podoba mi się zakres odpowiedzialności.

Prychnąłem z niedowierzaniem.

— A przed kim są odpowiedzialni bogowie?

— Przed samymi sobą i przed innymi bogami.

— No, to wasza Bogini Demonów nie robi wrażenia specjalnie odpowiedzialnej.

Alierą drgnęła, odruchowo macając się po boku w poszukiwaniu Pathfinderą, nim się opanowała.

— Przepraszam, nie sądziłem, że poczujesz się dotknięta — powiedziałem zgodnie z prawdą.

Spojrzała na mnie nieżyczliwie i wzruszyła ramionami.

Morrolan przyjrzał się najpierw jej, potem mnie. A potem powiedział:

— Jest odpowiedzialna. Jest kapryśna i nieprzewidywalna, ale nagradza lojalność i nie spowoduje, by ktoś, kto jej służy, postąpił tak, by przez to ucierpieć.

— A jeśli się pomyli?

Morrolan przyjrzał mi się uważnie.

— Takie niebezpieczeństwo oczywiście istnieje — przyznał.

Przestałem się odzywać, a zacząłem analizować to, czego się dowiedziałem. Miało to co prawda skandaliczny posmak, to rozmawianie o bóstwie opiekuńczym jak o kuchcie z sąsiedztwa, ale jeśli to, co usłyszałem, było prawdą, a nie widziałem powodu, by oboje mieli kłamać, istniały tylko dwie możliwości. Albo Verra zaplanowała coś naprawdę skomplikowanego i wszystko dobrze się skończy, albo też spieprzyła sprawę — i to konkursowo.

Albo Morrolan i Alera dość drastycznie się mylili.

Doszedłem do tego budującego wniosku, gdy otworzyły się drzwi i stanęła w nich lady Teldra, anonsując księżniczkę Norathar, księżnę Ninerocks, hrabinę Haewind itd., itp. Następczyni tronu z Domu Smoka, mówiąc w skrócie. Zaanonsowana weszła z gracją typową dla jej ruchów już w czasie, gdy poznaliśmy się, będąc zawodowymi zabójcami. Jej kariera w tym fachu należała już do przeszłości, podobnie jak jej przynależność do Domu Jherega, ale mogłem zaświadczyć, że była dobra. W końcu to ona mnie zabiła.

Teraz podeszła do tacy z butelkami, odszukała swoją ulubioną i naląła sobie pełny kielich. Wypiła trzecią część duszkiem i dopiero wtedy odwróciła się twarzą do nas. I oznajmiła:

— Cesarzowa nakazała uwolnić lady Taltos. Lady Taltos

odmówiła opuszczenia więzienia.

I usiadła.

Loiosh siedzący na moim ramieniu syknął prawie bezgłośnie.

— Odmówiła? — spytałem, gdy odzyskałem dar mowy.

— Tak. Wyjaśniła, że poczeka z pozostałymi, aż wszyscy odzyskają wolność.

W głosie Norathar słychać było napięcie i wysiłek. Widać było, że jest wściekła i robi, co może, by kontrolować tę wściekłość, ma bowiem pełną świadomość, jakie skutki mogłaby mieć utrata panowania nad sobą.

Zauważyłem to jakby odruchowo, w tym bowiem momencie moim największym problemem było kontrolowanie własnej wściekłości. Przynajmniej do momentu, do którego zdecyduję się, na którą jestem bardziej wściekły — na Verrę czy na Cawti.

A potem nagle mnie olśniło. Wiedziałem już, co powinienem zrobić.

Spytałem formalnie:

— Lordzie Morrolan, ma pan w jednej z wież pokój wyposażony w jedno okno. Chciałbym za pańską zgodą odwiedzić to pomieszczenie.

Morrolan niczym nie dał po sobie poznać, że musiał go zaskoczyć tak mój ton, jak i treść prośby.

Przyglądał mi się długą chwilę, nim odparł:

— Proszę bardzo, Vlad. Masz moje zezwolenie.

Wyszedłem z biblioteki, skręciłem korytarzem na schody prowadzące do głównego holu i dalej do południowego skrzydła. A potem w górę obok mniejszej jadalni i pokoi gościnnych, i jeszcze pół piętra w górę. W końcu stanąłem przed masywnymi drzwiami, które otworzyły się na moje polecenie. W końcu pracowałem tu jako szef bezpieczeństwa i pomagałem

Morrolanowi zabezpieczyć je zarówno magią, jak i czarami.

Szefie, jesteś pewien, że to dobry pomysł? — zaniepokoił się Loioosh.

Oczywiście, że nie! Bądź łaskaw nie zadawać głupich pytań.

Przepraszam.

Pokój urządony był na czarno, a oświetlały go jedynie cztery świece sporządzone z łoju wytopionego z pośladków kozłów—dziewic. Ich knoty wykonano z korzeni neverlostu, a świece nasączono wywarem z winogron, przez co całe pomieszczenie przenikał zapach słodkiego wina właśnie mającego zamiar stać się octem. Ich płomienie zatańczyły, celebrując moje przybycie.

Komnata była przestronna i pełna pozostałości po eksperymentach Morrolana z czarami. Wszystkie stoły zastawiono różnymi utensyliami. Pusty pozostał jedynie ledwie widoczny w półmroku kamienny ołtarz.

To tutaj leżałem i bezsilnie przyglądałem się, jak Morrolan walczy z demonem, który odebrał mu miecz. Tu starałem się z należącoymi do przeszłości mojej rasy duchami o duszę Nekromantki. Tutaj też stoczyłem walkę z moim sobowtórem, który przybył, by zabrać mnie tam, skąd nikt nigdy nie wrócił. I tu też przekonałem adeptkę Lewej Ręki, by zdjęła blokadę uniemożliwiającą wskrzeszenie Morrolana. Złośliwi mogliby powiedzieć, że ją torturowałem, choć dotknąłem jej tylko palcem...

Cała ta komnata poświęcona była Verze, której służył Morrolan. Dlatego tu właśnie przybyłem. I po metalowych schodkach wspiąłem się do jedynej istniejącego w niej okna. Nie wychodziło ono na dziedziniec ani — z tego co wiedziałem —

w ogóle na ten świat, choć można je było do tego zmusić. Czasami w ogóle nie wychodziło na rzeczywistość, którą znałem i rozumiałem. A często od patrzenia w nie można było zwariować.

Najpewniejszym sposobem skontaktowania się z Verrą było złożenie jej ofiary. Najlepiej z ludzi. Morrolan miał w tym dużą wprawę. Dziadek wymógł kiedyś na mnie przyrzeczenie, że nigdy nie złożę człowieka w ofierze, ale gdybym w tym momencie miał jakiegoś pod ręką, najprawdopodobniej złamałbym słowo. Gdybym miał wybierać, idealnie pasowałby mi Kelly.

Usiadłem pod oknem i skoncentrowałem się. Akurat widać było przez nie gęstą mgłę, w której majaczyły drzewa i jakieś krzaki. Od czasu do czasu też coś przemknęło — zbyt szybko, bym był w stanie zauważyć co. Pojęcia nie miałem, czy to, co widzę, należy do tego świata, czy do jakiegoś innego.

I nie miało to znaczenia.

Poczułem, jak umysł Loiosha łączy się w pełni z moim, i wróciłem do najwcześniejszych wspomnień związanych z Verrą... do nauk dziadka, opowieści o jej starciach z innymi bogami, zwłaszcza z Barlenem... przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie na Ścieżkach Umarłych, jej dziwny głos, nieludzkie palce i płynące włosy... przypomniałem sobie, jak zlecała mi zabicie Króla Greenaere...

I pozwoliłem, by wypełniła mnie cześć typowa dla człowieka i szacunek typowy dla Dragaerianina... i pomyślałem sobie, że ofiarę krwi można złożyć na różne sposoby... wyjąłem sztylet i rozciąłem sobie lewą dłoń. Nawet nie odczułem bólu.

— Verro! — zawołałem. — Bogini Demonów moich przodków! Przybywam do ciebie!

I strząsnąłem przez okno krople krwi z rozciętej dłoni.

Krople zniknęły we mgle, ta zawirowała i zaczęła się rozpraszać i po kilku chwilach miałem przed sobą znajomy obraz białego korytarza. Na podłodze widać było kilka kropel krwi, za to nigdzie nie dojrzałem śladu czarnego kota.

To samo ogłupienie zmysłów wywołane wszechobecną bielą. Zatrzymałem się, nie bardzo wiedząc, w którą stronę iść. Gdy się obejrzałem, stwierdziłem, że okno zniknęło. Loiosh zaczął się wiercić na moim ramieniu i oznajmił:

Wydaje mi się, szefie, że powinniśmy iść w tamtą stronę.

Mnie też ten kierunek wydał się właściwy, choć pojęcia nie miałem dlaczego. Wsunąłem więc sztylet do pochwy i poszliśmy.

Mgła nie pojawiła się, więc poprzednio mogła być tu wyłącznie na moją cześć — Verra mogła mieć słabość do teatralnych chwytów. Natomiast drzwi zamykające korytarz zobaczyłem po znacznie krótszym czasie niż za pierwszym razem. W sumie korytarz mógł być zupełnie normalny i mieć konkretną długość, a to, jak długo się nim szło, zależało po prostu od tego, w którym jego miejscu człowiek się pojawił.

Teraz, gdy stanąłem przed dwuskrzydłowymi odrzwiami, obejrzałem pokrywające je płaskorzeźby, na co poprzednio nie miałem czasu. Białe wzory na białej powierzchni nie były łatwe do zauważenia. Na pierwszy rzut oka wyglądały na czystą abstrakcję, natomiast na drugi przestawały nią być. Rozpoznałem drzewa, górę, dwa koła i postać człowieka, ale z dziurą w brodzie, oraz jakąś czworonożną bestię z macką zamiast nosa i rogami wystającymi z pyska. A poniżej coś, co wyglądało jak broda, z której wystawał kij z jakąś kulą.

Po paru minutach potrząsnąłem głową i gdy spojrzałem ponownie na drzwi, znów widziałem jedynie abstrakcję. Cóż, może i były to abstrakcyjne wzory, a resztę zawdzięczałem

własnej wyobraźni...

Przestałem się tym zajmować i klasnąłem.

A potem czekałem przez nie kończącą się minutę.

Klasnąłem powtórnie.

I znów czekałem.

Nadal miałem kontakt z Kulą i przyszło mi do głowy, że mógłbym je po prostu wysadzić... zrezygnowałem po namyśle z tego atrakcyjnego pomysłu.

I dobrze, szefie — pochwalił mnie Loiosh.

Jak nie masz jakiegoś pomysłu, to bądź uprzejmy się zamknąć, co?

Mam. Walnij w nie pięścią: ludzie tak robią.

A jeżeli są zabezpieczone magicznie przed dotknięciem?

To użyj Spellbreakera.

Musiałem przyznać, że to był jakiś pomysł.

Postałem jeszcze chwilę, gapiąc się niczym cieleń na malowane wrota, westchnąłem i poruszyłem lewym nadgarstkiem. W mej dłoni znalazł się złoty łańcuszek. Zakręciłem nim młynka i ogarnęły mnie wątpliwości:

To może wcale nie być taki dobry pomysł...

Lepszy niż stanie beczynnienie jak ostatni wsiok. Jeśli boisz się magicznego zabezpieczenia, użyj Spellbreakera. Jeśli nie, to walnij w nie albo pchnij. Ale zrób coś, szefie!

W sumie miał rację.

Zirykowało mnie własne niezdecydowanie, więc zakręciłem Spellbreakerem energicznego młynka i chlasnąłem nim po drzwiach. Rozległ się normalny odgłos metalu trafiającego w drewno. I to wszystko. Żadnego mrowienia, żadnych efektów wizualnych. I na szczęście na drzwiach nie pojawiły się żadne ślady uderzenia.

Pchnąłem prawe skrzydło. Zaskrzypiało i ledwie drgnęło. Pojawiła się jednak szczelina, w którą zdołałem wcisnąć palce, i odciągnąłem lewą połówkę. Odrzwia były takie ciężkie, na jakie wyglądały, ale stopniowo rósł między nimi otwór: wreszcie stał się wystarczająco szeroki, by dało się przez niego przecisnąć.

Co też zrobiłem.

Przed sobą zobaczyłem migotanie powietrza typowe dla pojawiania się i znikania Verry. Najwidoczniej gospodyni nie było, gdy się zjawiłem. Ciekawe. Nim jednak zrobiłem kolejny krok, już była. I obserwowała mnie uważnie, siedząc na tronie. Zdążyłem zrobić jeszcze dwa kroki, gdy z fałdów jej sukni wynurzył się znany mi już kot. Zeskoczył z podwyższenia, podszedł do mnie i obejrzał dokładnie.

Poczułem, jak Loiosh spręży się na moim ramieniu.

Szefie, ten kot jest jakiś dziwny...

Zupełnie mnie to nie zaskakuje. Uspokój się.

Zatrzymałem się parę kroków przed tronem i czekałem, aż Verra się odezwie. Już prawie otwierałem usta, uważając, że tego nie robi, gdy oświadczyła:

— Krwawisz na moją podłogę.

Spojrzałem w dół — lewa dłoń nadal krwawiła, a krew ściekała po Spellbreakerze i kapała na posadzkę. Nie było jej wiele, ale na białych płytkach czerwone krople rzucały się w oczy z daleka. Odwróciłem dłoń i Spellbreaker nagle ożył, jak mu się to już parokrotnie zdarzyło. Uniósł się i zamarł wygięty niczym gotowa do ataku yendi. Poczułem mrowienie w dłoni, które sięgnęło aż do łokcia, i rozcięcie przestało krwawić. A zaraz potem zamknęło się, pozostawiając cienką, różową bliznę.

Nie wiedziałem, że Spellbreaker potrafi uzdrawiać.

Starannie owinąłem go wokół nadgarstka i spytałem:

— Mam wytrzeć podłogę?

— Może później.

Nie wiedziałem, czy żartuje, czy mówi poważnie. Ani z tonu, ani z wyrazu twarzy nie sposób było tego odczytać. Za to zorientowałem się w końcu, co nadaje jej obliczu ten obcy wyraz. Jej oczy znajdowały się zbyt wysoko. Niewiele, ale wystarczająco, by powodowało to efekt dziwny i obcy. Im bardziej się temu przyglądałem, tym dziwniejsza się stawała, więc odwróciłem wzrok od jej twarzy.

Tym razem Verra przerwała milczenie:

— Dlaczego tu przybyłeś?

— Żeby zadać ci kilka pytań — odparłem, nadal nie patrząc na jej twarz.

— Niektórzy mogliby to uznać za bezczelność.

— Mówi się trudno. Już taki jestem bezpośredni.

— Zgadza się. Pytaj w takim razie.

Teraz już musiałem podnieść głowę.

— Pytałem cię już, dlaczego wybrałaś mnie, abym zabił Króla Greenaere. Może mi odpowiedziałaś, może nie. Teraz pytam, dlaczego uznałaś za niezbędne, by zginął?

Spojrzała mi w oczy i wstrząsnęło mną, choć starałem się tego nie okazać. Jeśli chciała mi uświadomić, kto tu rządzi, to mogła sobie zaoszczędzić wysiłku — wiedziałem aż za dobrze. Jeśli chciała mnie skłonić do rezygnacji z uzyskania odpowiedzi, to była to próba z góry skazana na fiasko.

W końcu powiedziała:

— Musiał zginąć dla dobra obywateli Imperium, zarówno ludzi, jak i Dragaerian.

— Pierdoły! — zirytowałem się. — Może tak trochę konkretniej? Bo jak na razie to skutkiem była śmierć załogi

dragaeriańskiego statku i aresztowanie kilkunastu ludzi, w tym mojej żony.

— Co?! — Nie tyle uniosła brwi, ile podjechały jej one w górę samodzielnie.

Dopiero w tym momencie zacząłem się naprawdę bać — udało mi się ją zaskoczyć, choć tego nie planowałem. A zaskoczona bogini jest już całkowicie nieprzewidywalna.

— Moja żona należy do pewnej grupy...

— Co z nimi? Wszystkich aresztowano?

— Przywódców na pewno. W tym Kelly’ego i moją żonę.

— Dlaczego?

— A skąd mam wiedzieć?! Podejrzewam, że dlatego, iż sprzeciwiali się wcieleniu do wojska i...

— Sprzeciwiali... Kretyn! Przecież o to... — i ugryzła się w język.

— O to chodziło? — dokończyłem.

— Nieważne. Okazuje się, że nie doceniłam jego arogancji.

— Pięknie! — prychnąłem. — I...

— Cisza! — warknęła. — Muszę się zastanowić, jak naprawić ten błąd.

— Może zaczęlibyśmy od tego, co próbowałaś osiągnąć? — zaproponowałem.

Przyjrzała mi się dziwnie i oznajmiła spokojnie:

— Nie chcę ci tego teraz powiedzieć.

— Plan był wymierzony przeciw Kelly’emu i jego grupie?

— Kelly, jak już powiedziałam, jest durniem.

— Może, ale biorąc pod uwagę jego dotychczasowe postępowanie, ma wiele szczęścia. I sprawia wrażenie, że wie, co robi.

— Bo wie, ale w bardzo ograniczonym stopniu. Jest

socjologiem, jeżeli coś ci to mówi. Naukowcem od spraw społecznych, jeśli nie mówi. I to uzdolnionym pod pewnymi względami. Studiował... zresztą nieważne.

— Powiedz mi. — Zabrzmiało to bardziej jak polecenie niż jak prośba, ale miałem już dość półsłówek i niedopowiedzeń.

Prawie się uśmiechnęła, co mnie jeszcze bardziej zaskoczyło.

— Dobrze — zgodziła się niespodziewanie. — W czasie Bezkrólewia, gdy twoi przodkowie panoszyli się po Imperium jak jheregi po ścierwie smoka...

No. No!

Zamknij się, Loiosh!

— Odkrytych zostało wiele archiwów i magazynów schowanych i zapomnianych od tak dawna, że praktycznie nikt już o nich nie pamiętał. Częściowo były to archiwa prowadzone przez Dom Lyorna, a dotyczące spraw, które powinny odejść w niepamięć. Zresztą trudno mieć pretensje do archiwistów za solidne wykonywanie obowiązków... poza tym ponoć idei nie sposób zabić.

— A jakie idee odkryto na nowo?

— Rozmaite. Te czterysta dziewięćdziesiąt siedem lat było okresem zaskakującego rozwoju w wielu dziedzinach, mój drogi zabójco. Używanie magii było prawie niemożliwe, najprostsze rzeczy wymagały naprawdę dużych umiejętności. Więc zaczęto te umiejętności doskonalić i przekazywać następcom. Z jakim rezultatem? Teraz, gdy Kula wróciła na swoje miejsce, magia stała się tak powszechna i silna jak nigdy dotąd dzięki użyciu tych właśnie nowych umiejętności nieznanych przed Bezkrólewem. Teleportacja jest tak powszechna, iż niektórzy boją się, że wyprze tradycyjne środki transportu: wodne i kołowe. Magia militarna działa skutecznie na taką skalę, że

praktycznie przestały się liczyć umiejętności pojedynczego żołnierza. Nawet wskrzeszanie zmarłych stało się...

— No dobra, ale co to ma wspólnego z Kellym?

— Co? A, tak, trochę mnie poniosło. Ludzie w tym czasie odkryli rzeczy, które pozostały po tych, którzy pierwsi odkryli ten świat.

— Po Jenoine?

— To było przed przybyciem Jenoine.

— Kto...?

— W tej chwili to nieważne. Pewne idee przetrwały zbyt długo; pochodziły z innego czasu i miejsca i powinny nadal pozostać ukryte. Nie pozostały jednak, choć i tak przez prawie dwieście lat nikt nie był w stanie ich pojąć. Dopiero Kelly...

— Obawiam się, że nie rozumiem — przyznałem.

Verra westchnęła i spróbowała inaczej:

— Kelly zna prawdę o tym, jak działa społeczeństwo, gdzie leży siła i powód niesprawiedliwości społecznej. Tylko nie zdaje sobie sprawy, że to wszystko jest prawdą w zupełnie innej sytuacji. W innym czasie i miejscu. Na tym, co wie, oparł swą organizację i ponieważ jest to prawdą, z początku mu się to udaje, ale to, na czym się oparł, nie ma i jeszcze długo nie będzie miało prawa bytu w Imperium. Masy, na które liczy, nie zrozumieją go i nie będą miały dość sił, by zwyciężyć. Nie dociera też do niego, że realizując plan, przy którym się upiera, organizuje równocześnie masakrę swych zwolenników. Buduje swój idealny świat na pustce i kiedy ta konstrukcja runie...

Umilkła.

— Dlaczego mu tego nie powiedziałaś?

— Powiedziałam. Nie uwierzył mi.

— To dlaczego go nie zabiłaś?

— Bo to najgorsze, co mogłabym zrobić. Zostałby męczennikiem, a tak jak gówno powoduje wzrost roślin, tak krew męczennika wzrost liczby zwolenników.

— Więc wpadłaś na pomysł wywołania wojny, uważając, że grzecznie na nią pójdą, zapominając o wszystkim i bijąc się za coś, w co nie wierzą?

— Kelly jest cwańszy, niż sądziłam, żeby go... Jest dość cwany, by spowodować śmierć wszystkich ludzi i większości Teckli w całej południowej części Adrilankhi.

— I co zamierzasz zrobić?

— Rozważyć całą sprawę.

— A co chcesz, żebym ja zrobił?

— Wrócił do domu, i to natychmiast.

Machnęła prawą dłońią i znalazłem się z drugiej strony okna w Czarnym Zamku. Przez nie widziałem twarz Verry, która powiedziała:

— I spróbuj nie wpakować się w jakieś kłopoty, dobrze?

Po czym okno ukazało tylko ciemność.

Lekcja dziewiąta

Zawieranie przyjaźni I

Morrolan i Alera nadal siedzieli w bibliotece. Po Norathar nie było już śladu. Sprawdziłem, jak długo mnie nie było, i odkryłem z zaskoczeniem, że mniej niż dwie godziny, z czego większość czasu zajęło mi dojście i powrót z wieży.

Usiadłem i powiedziałem:

— Teraz mogę się napić.

Morrolan nalał mi wina i spytał:

— I cóż?

— Co i cóż?

— Cóż się wydarzyło, bo wyglądasz, jakbyś właśnie dokonał wiekopomnego odkrycia.

— Można tak powiedzieć... Tyle że nie odkryłem niczego, co pomogłoby w uwolnieniu Cawti.

Alera przyjrzała mi się badawczo i spytała:

— Widziałeś się z Verrą?

— Tak.

— I co ci powiedziała?

— Wiele różnych rzeczy, ale w tej chwili wszystkie bez znaczenia.

Morrolan wyglądał, jakby miał zamiar wycisnąć ze mnie więcej informacji, ale ostatecznie się rozmyślił.

Za to Alera siedziała ze zmarszczonymi brwiami i myślała intensywnie.

— No dobrze — powiedziała w końcu. — Wracając do pierwotnego pomysłu, to ostatnio nabraliśmy pewnego

doświadczenia w organizacji ucieczek z więzień, ale nie wiem, czy w tym przypadku...

— W tym przypadku byłoby to bez sensu — dokończyłem.

Spojrzała na mnie błękitnymi oczyma i spytała łagodnie:

— Dlaczego?

— Bo skoro Cawti nie zgodziła się skorzystać z imperialnego pardonu, to z nami też mogłaby nie chcieć pójść. A ogłuszać jej i nieść jakoś nie mam ochoty.

Aliera wzruszyła ramionami.

— W takim razie albo rezygnujemy, albo odbijamy wszystkich.

Pokiwałem głową z rezygnacją.

— Jak znam tę bandę kretynów, to nie będą chcieli z nami iść. Uważają, że zostali niesłusznie aresztowani, i wyjść będą chcieli tylko razem i oficjalnie.

— Dlaczego tak uważasz?

— Rozmawiałem z nimi. Nie mam co prawda pojęcia, jakim cudem uwierzyli w te bzdury, w które wierzą, ale wiem, jak myślą.

— Mówiąc w skrócie, albo idioci, albo szaleńcy — podsumowała Aliera.

— Bardziej niż sądzisz — zgodziłem się. — Tak więc rezygnujemy.

— W takim razie co proponujesz? — spytał Morrolan, któremu perspektywa zbrojnego wdarcia się do lochów jakoś dziwnie nie przypadła do gustu.

— Nie jestem pewien — przyznałem. — Muszę się nad tym zastanowić. Ale najpierw muszę się dowiedzieć, co, na zakrwawioną posadzkę Verry, dzieje się w południowej części miasta!

— Zakrwawioną posadzkę Verry? — powtórzył Morrolan. —

Chyba nie słyszałem dotąd tego przekleństwa.

— Na pewno nie — upewniłem go.

* * *

Następnego dnia było prawie święto — ponieważ był to dzień poprzedzający sylwestra, większość legalnych instytucji kończyła działalność w okolicach południa. Nielegalne wręcz przeciwnie, jako że święta zawsze stanowiły najlepsze okresy do zwiększonego zarobku. Moi wszyscy pracownicy byli przez ten czas na miejscu, za co dostawali solidne premie. Wolałem być przezorny, nie wiedząc, kogo i kiedy mogę potrzebować. Dlatego też w podobne dni wstawałem wcześniej niż zwykle.

Tym razem też tak było. Ubrałem się, zjadłem śniadanie i przez chwilę zabawiałem się, rzucając jheregom różne rzeczy, które łapały w powietrzu lub o które się biły.

W pewnej chwili zauważyłem coś, co mnie zastanowiło.

Loiosh, Rocza dziwnie się zachowuje. Nie macie przypadkiem zamiaru się rozmnożyć?

Co?! Nie, szefie. A przynajmniej ja nic o tym nie wiem, a to tak działa, że bez...

Może bez zdradzania tajemnic alkowy. Jeśli nie to, to o co chodzi?

Tego... no... ona była trochę bliżej z Cawti niż ja... no i...

Rozumiem. W porządku.

Wypiłem resztę klavy, zabrałem oboje i ruszyłem załatwiać sprawy.

Aibynn był w swoim pokoju i chrapał, aż echo niosło.

Zazdrościłem mu.

* * *

Grupa Kelly'ego dwukrotnie zmieniała siedzibę od czasu naszego ostatniego spotkania. To miejsce, które teraz stanowiło ich kwaterę główną, różniło się i to znacznie od wszystkich dotychczasowych. Nie było to bowiem mieszkanie któregoś z nich, lecz pusty sklep w pobliżu jednego z targów rolnych rozsianych po całej dzielnicy. Okna zostały zabite deskami albo dlatego, że nie stać ich było na pergamin, o szkle nie mówiąc, albo też w bezsensownie demonstracyjnym geście obronnym. Guzik mnie to obchodziło dlaczego.

Stałem sobie po drugiej stronie ulicy w sporym oddaleniu i obserwowałem niski, brudny jak wszystko w okolicy budynek. Nad drzwiami wisiał transparent z napisem: „Nie poborowi”. A po tej samej stronie, po której się znajdowałem, tyle że na wprost wejścia, stał patrol Gwardii Feniksa, obserwując wszystkich, którzy wchodzili i wychodzili. Cawti miała rację — składał się wyłącznie z członków Domu Smoka i Domu Dzura. Znaczyło to, że przysłano tu weteranów, z którymi nie będzie żadnej dyskusji, jeśli dojdzie do konfrontacji.

I którzy będą dobrze walczyć.

Ja nie miałem zamiaru szukać z nimi zwady. Obserwowałem ich, ale przede wszystkim wejście, i czekałem. W końcu zjawił się ktoś, kogo znałem. Poczekałem, aż wejdzie do środka, i ruszyłem w ślad za nim. Tuż przed wejściem pomachałem radośnie gwardzistom i zniknąłem we wnętrzu.

Powitał mnie z taką jak zawsze wylewnością i serdecznością.

— Ty!

— Tobie też dzień dobry. Słuchaj no, Paresh: dlaczego cię nie zamknęli z resztą? Bo nie jesteś człowiekiem czy wykazałeś więcej rozsądku od pozostałych i zwiąłeś?.. Mowę ci odebrało? A może to było tak: gwardziści zdecydowali, że Dragaerianin, choć Teckla, nie zasługuje na wsadzenie? Czy zdecydowali może, że Teckla, choć Dragaerianin, i tak gówno robi, to po co go zamykać?

— Czego chcesz?

— Żonę mieć znowu na wolności! Jak zamierzasz wydostać ich z więzienia?

— Jutro urządzimy demonstrację. Powinno w niej wziąć udział pięć tysięcy uczestników. To będzie pokaz siły: wszyscy są zdecydowani walczyć do końca o zaprzestanie przymusowego poboru i uwolnienie naszych przyjaciół. Wielu jest gotowych walczyć tak długo, aż Imperium będzie rządzone przez nas i dla nas. Zrozumiałeś czy mam powtórzyć?

— Zrozumiałem. Podam ci krótszą i prostszą wersję na dowód. Nie zrobicie nic poza wywrzaskiwaniem do siebie, jacy jesteście wściekli, w nadziei, że Cesarzowa umrze ze śmiechu.

— Nie śmiała się parę tygodni temu, gdy musiała wycofać z całej dzielnicy gwardię.

— Nie wiem, czy zauważyłeś, ale gwardziści wrócili.

— Chwilowo. Natomiast jeżeli zamkniemy...

— Sam się zamknij. Przyszedłem tylko dowiedzieć się, czy macie jakieś sensowne plany uwolnienia Cawti z lochów, nie na odczyt propagandowy. Jak się spodziewałem, nie macie, więc nie będę marnował czasu. Do zobaczenia.

Gdy się odwróciłem, usłyszałem:

— Baronecie Taltos.

Powiedział to z taką pogardą, że omal nie dostał natychmiast

w pysk. Powstrzymałem się jednak, choć z dużym wysiłkiem, i postanowiłem najpierw go posłuchać. Przylać zawsze zdążę później.

— Proszę się zastanowić, jaka będzie reakcja pańskiej żony, nawet jeśli znajdzie pan jakiś sposób, by ją wyciągnąć, gdy reszta tam zostanie.

— To akurat nie jest ani twój problem, ani twoja sprawa, więc nie łam sobie głowy, bo ci to zaszkodzi, mój dobry Tecklo — odparłem z jeszcze większą pogardą.

I wyszedłem.

A potem skierowałem się spacerkiem ku swojej części miasta. Tu przynajmniej jeśli mnie ktoś nienawidzi, to ma ku temu konkretny, zrozumiały powód.

* * *

Dobrze. Tym razem teoria pokryła się z praktyką i tak jak sądziłem, na popłuczyny po Kellym nie było co liczyć. Na wszelki wypadek należało to jednak sprawdzić. No to sprawdziłem.

Kolej na następny punkt.

Najpierw postanowiłem jednak skontaktować się z Kragarem.

To ja — przedstawiłem się uprzejmie, gdy się odezwał. Jakies nowiny?

Te grajki są lepsze od panienek, Vlad. I muszą naprawdę potrzebować gotówki. Wiesz, że grali na cesarskim dworze? Tam się dopiero roi od plotek i wieści. Konkretnie, jest coś, co ci się nie spodoba.

Nie szkodzi. Wal.

Jak chcesz. Aresztowanie Kelly'ego i reszty zostało

spowodowane informacjami i na prośbę oficjalnego przedstawiciela Domu Jherega.

Wzięłem głęboki oddech zadowolony, że przystanąłem przed nawiązaniem kontaktu. I odruchowo sprawdziłem, czy arsenał jest na miejscu.

Doskonale. Coś jeszcze?

Nic nadzwyczajnego.

Dobra. Odezwę się.

To zmieniało postać rzeczy.

A więc i plany na najbliższą przyszłość.

Odruchowo sprawdziłem stan własnego przyodziewku. Pelerynę miałem czystą, kaftan w miarę nowy, a spodnie choć nie najmodniejsze, nie były aż tak złe, bym musiał się wstydzić. Za to buty były nie dość, że nieco sfatygowane, to przede wszystkim brudne. Dałem więc zarobić pierwszemu pucybutowi, jakiego spotkałem. Napracował się, ale dostał uczciwy napiwek.

Co prawda byłem już w cywilizowanej, bo dragaeriańskiej okolicy, ale na wszelki wypadek, żeby w coś nie wdepnąć w sąsiedztwie pałacu, i tak się teleportowałem.

* * *

Oparłem się o najbliższy mur i poczekałem spokojnie, aż żołądek wróci na miejsce. Poganiać go nie miało sensu — wiedziałem to aż za dobrze. Kiedy ten miły fakt nastąpił, przeszedłem przez bramę i skierowałem się do skrzydła Jherega. Przed wejściem stało dwóch dziadków udających wartowników. Skinąłem im uprzejmie głową i wszedłem.

W pobliżu drzwi, za niewielkim dębowym stolikiem siedział

radosny młodzian w barwach Domu Jherega. Z nienaganną uprzejmością spytał, co mnie sprowadza.

— Hrabia Soffta — odparłem zwięźle.

— Jest pan umówiony, milordzie?

— Naturalnie.

— Doskonale. Proszę iść tym korytarzem aż do schodów i na piętrze korytarzem, także prosto aż do końca.

— Miłego popołudnia, milordzie.

— Nawzajem.

Urodzony w każdym calu, psiakrew.

Wdrapałem się po schodach i w połowie korytarza spotkałem bliźniaka radosnego młodzieńca siedzącego za identycznym stoliczkiem. Równie uprzejmie spytał, co mnie tu sprowadza. Stoliczek na szczęście milczał.

— Hrabia Soffta — odparłem.

— Jest pan umówiony, milordzie?

— Nie.

— Kogo mam zaanonsować?

— Baronet Taltos.

Coś błysnęło w jego oczach, ale na twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

— Będzie pan łaskaw moment poczekać — poprosił i przez chwilę nie odzywał się. — Proszę wejść, milordzie.

— Dziękuję.

Jest takie powiedzenie, że w pałacu dobrze czuje się tylko Issola. Być może jest to prawdą. Natomiast na pewno było prawdą, że gdyby ktoś z Domu Jherega mógł wyglądać na Issolę, to był to Soffta. Nieco przysadzisty, z twarzą o regularnych rysach i wąskim czole, poruszał się płynnie, acz wolno, i nie ulegało wątpliwości, że długo to ćwiczył. Nie wyglądał na kogoś z

Domu Issoli, ale go przypominał, jak to tylko było możliwe dla członka Domu Jherega ubranego na dodatek w jego barwy.

W jego gabinecie stały cztery wygodne fotele, każdy przy trójnożnym stoliku, na którym można było umieścić naczynia. W rogu znajdował się obficie zaopatrzony barek, a w jednej ze ścian okno wychodzące na zamkowy dziedziniec.

Gustowne, grzeczne i absolutnie nie sprawiające groźnego wrażenia wnętrze.

— Prawdziwa przyjemność móc pana gościć, baronecie Taltos. Napije się pan czegoś? Mam wino fenariańskie.

Definitywnie Issola.

— Z przyjemnością — odparłem uprzejmie.

Dopiero gdy złapał za butelkę, zorientowałem się, że to brandy.

— Czyste. — Zdążyłem dodać, nim dolał do pucharka wody czy innego paskudztwa.

Fotel wyglądał na wygodny i był taki, na jaki wyglądał. Miał tylko jedną wadę — nie sposób było z niego wstać szybko. Byłem ciekaw, czy specjalnie tak go zaprojektowano. Gdyby to był mój gabinet, tak właśnie by było.

Gospodarz nalał brandy do dwóch naczyń. Może jej nie lubił, ale wiedział, jak ją podać, co już było dużym sukcesem. Był to Tuzviz, najpopularniejszy dostępny rodzaj fenariańskiej brandy, co wcale nie znaczyło, że zły. Ten przynajmniej wywodził się od brzoskwiń, choć było to odległe pokrewieństwo.

Kiedy już usiedliśmy i płynny ogień znalazł się w żołądkach, a nie tylko na językach, Soffta zapytał:

— Czym mogę służyć, baronecie?

— Imperium pomyłkowo aresztowało moją żonę w trakcie jakichś zamieszek w Południowej Adrilance. Chciałbym uzyskać

jej zwolnienie.

Pokiwał głową z aprobatą.

— Rozumiem. Niefortunny zbieg okoliczności. Jak nazywa się ta dama?

— Lady Cawti. Taltos naturalnie. Hrabina zaraz... Lostguard Cleft, jak sądzę.

— Tak. Proszę chwilę poczekać, zobaczę, co się da zrobić.

— Doskonale.

Wyszedł.

A ja wygramoliłem się z fotela i podszedłem do okna.

Z lewej widać było mury skrzydła Ioricha, pod którym znajdowały się lochy. Skrzydło było nim jedynie z nazwy — połączenie z resztą pałacu miało tylko wewnętrzne, poza tym stanowiło osobną budowlę. Ufortyfikowaną, mroczną i dobrze strzeżoną. Zarówno na blankach, nad którymi powiewała flaga Domu Ioricha, jak i przy jedynym wejściu trzymali wartę gwardziści pochodzący z Domu Smoka.

Odbicie więźniów nie byłoby łatwą sprawą...

Bezpośrednio pod oknem znajdował się skalny ogródek utrzymany w barwach bieli i błękitu, pocięty nienagannie utrzymanymi ścieżkami. Bezpośrednio zaś przed moimi oczami powiewała na samotnym maszcie flaga Domu Jherega. Przedstawiała stylizowanego jherega z rozpostartymi skrzydłami i wyciągniętymi pazurami. Jhereg był czarny, tło szare. Przyglądałem mu się, nie czując żadnych emocji, po czym wróciłem na fotel.

Soffta wrócił i usiadł za biurkiem; wyglądał na strapionego.

— Wygląda na to, że ktoś już interweniował w sprawie lady Cawti, która odmówiła skorzystania z możliwości uwolnienia. Wiadomo coś panu w tej sprawie?

— Hmm... A w jaki sposób można byłoby spowodować jej uwolnienie pomimo takiej odmowy?

— Przyznam, że nie wiem, lordzie Taltos. O podobnym zachowaniu nie słyszałem... Sądzę, że rozkaz Cesarzowej, ale nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

— Rozkaz Cesarzowej na pewno... — wymruczałem sam do siebie, wstając i podchodząc do okna z zamyśloną miną.

Przespacerowałem się tam i z powrotem, aż znalazłem się za plecami Soffty. Nie poruszył się, ale z całej jego postawy było wręcz napięcie. Dworak nie dworak, ale był jednak Jheregiem, nie Issolą.

— Rzeczywiście, trudna sytuacja... — przyznałem. — Może niczego nie da się zrobić.

Nadal nie odwrócił się, by na mnie spojrzeć.

— Może i nie. Choć oczywiście jestem gotów pomóc, jak tylko będę w stanie.

— Bardzo mnie to cieszy. Może w takim razie będzie pan mógł mi powiedzieć... — mówiąc to, położyłem mu dłoń na ramieniu.

Był spięty, ale nie podskoczył, a od drzwi dzieliło nas dobre dziesięć stóp.

— Tak z czystej ciekawości: jak dawno temu ktoś przelał tu czyjąś krew? — dokończyłem. — Tu, w skrzydle Jherega?

— Nie zdarzyło się to od czasów Bezkrólewia, lordzie Taltos.

— I byłoby nader niewskazane dla interesów organizacji, gdyby jakikolwiek akt przemocy wydarzył się tu kiedykolwiek, prawda?

— Wysoce niewskazane, rzekłbym nawet. Mam nadzieję, że nie rozpatruje pan podobnego zachowania.

Pochyliłem się lekko nad jego ramieniem.

— Ja? Skądże znowu. Do głowy by mi to nie przyszło. Tak tylko

pytałem.

— Rozumiem. A o co zaczął pan pytać...?

— Kto zaaranżował aresztowanie tych ludzi?

Jeszcze bardziej się sprężył.

— Cesarzowa, naturalnie.

— Na pańską prośbę. Natomiast jestem niezwykle ciekaw, który z moich kolegów poprosił pana o jej przedłożenie Cesarzowej.

— Sądzę, że został pan źle poinformowany, baronecie Taltos.

— Śmiem w to wątpić. Sądzę, że moje nazwisko obilo się panu o uszy, hrabio?

Moja dłoń cały czas pozostawała na jego ramieniu — nie zaciskała się, nie unosiła. Po prostu była. Soffta przez kilka sekund milczał, po czym powiedział:

— Dowiedzenie się tego może mi zająć trochę czasu, a wkrótce spodziewam się dość licznej grupy gości.

— Wyobrażam sobie. W tych warunkach jednakże czas ma dla mnie drugorzędne znaczenie. I jestem pewien, że pańscy goście to zrozumieją.

— To może okazać się bardzo kosztowne.

— Jestem gotów zapłacić. Wie pan, chodzi o moją żonę.

— A, tak...

— Można by rzec, że koszty nie grają roli.

— Rozumiem...

— Może najlepiej byłoby, gdyby pan po prostu dowiedział się tego, na czym tak mi zależy?

Można było wyczuć, jak rozważa szanse, próbując uratować życie i wyslizgać się jak najtańszym kosztem. Nie zazdrościłem mu: obu tych rzeczy nie był w stanie osiągnąć równocześnie.

— Mogą być reperkusje...

— Nie mam cienia wątpliwości, że będą — przerwałem mu. — Jestem na nie przygotowany.

— Na wszystkie?

— Wszystkie, ale mam nadzieję, że pańskie informacje będą kompletne i dokładne, gdyż w przeciwnym wypadku mogą nastąpić konsekwencje, których w tej chwili żaden z nas nie zdoła przewidzieć.

— Naturalnie. Toronnan.

— Nie jestem zaskoczony. Wie pan może dlaczego?

— Nie.

— Doskonale. Czy wyświadczy mi pan ten zaszczyt i odprowadzi do wyjścia z budynku?

— Z przyjemnością, lordzie Taltos.

— W takim razie jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chodźmy.

No i poszliśmy.

Uśmiechnięci, tocząc uprzejmą rozmowę o niczym. On pól kroku z przodu, ja z dłonią na jego ramieniu. Kiedy dotarliśmy na ulicę, upewniłem się najpierw, że nikt na mnie nie czeka, potem pozwoliłem Spellbreakerowi opaść w lewą dłoń i powiedziałem:

— Chciałbym panu podziękować za pomoc, hrabio Soffta.

— Owoce pańskiego śledztwa będą dla mnie wystarczającą nagrodą, lordzie Taltos.

— Nie wątpię. Jeszcze tylko drobiazg.

— Tak?

— Tuzviz, który u pana piłem, był całkiem dobry, ale to brandy, nie wino.

— Dziękuję, lordzie Taltos. Zapamiętam.

Puściłem jego ramię.

A sekundę później teleportowałem się.

* * *

Gdy wszedłem do biura, powitał mnie niecodzienny widok, nawet biorąc pod uwagę zbliżającą się dwudniową zabawę. Kij trzymał swoje narzędzia pracy lekko, jakby dla zabawy, a obok niego stał Aibynn w swojej futrzanej czapie i barwnym wyspiarskim przyodziewku. Obaj rozmawiali o czymś cicho i z przejęciem — Aibynn pokazywał na pały, a Kij gestykulował nimi. Jeżeli wymieniali poglądy co do brzmienia, jakie wydaje drewno, bijąc w bęben albo w czyjś zakuty łeb, oznaczało to, że ja spędziłem dzisiejszy dzień normalnie i nie przydarzyło mi się nic godnego uwagi.

Jedyne, co oba zajęcia miały wspólnego, to wycucie czasu i użycie pałek. No i oczywiście koncentracja, ale tego wymagało dobre wykonanie każdego zadania.

Chrząknąłem i spytałem uprzejmie:

— Aibynn, co ty tu robisz?

Odpowiedział jak zawsze powoli, jakby ciągle rozpraszał go wszechobecny rytm wszechświata, którego inni nie byli w stanie usłyszeć.

— Przyszedłem podziękować za załatwienie pracy.

— Drobiazg. Jak rozumiem, jesteś zadowolony.

— Zadowolony? Graliśmy razem jedną noc i zostaliśmy zaproszeni, by wystąpić jutro przed Cesarzową!

— Na imperialnych obchodach Nowego Roku?

— Chyba tak, chociaż to dziwna pora jak na nowy rok. Nowy rok zaczyna się w zimie.

— Wiosna to lepsza pora, nie uważasz?

Wzruszył tylko ramionami.

— Jakkolwiek by było, to wielka okazja. Jestem pod wrażem...
hmm.

— Co ci się stało?

— Co? Nic... — burknąłem, bo nagle wpadło mi coś do głowy.
Coś nieprzyjemnego.

Jeżeli Aibynn, jak go podejrzewałem, przybył tu z jakąś misją, to mógł być moim kolegą po fachu, a jego zadaniem było zabicie Cesarzowej. Jeżeli tak było, to mu ją ładnie wystawiłem i będę robił za współnika. Ponieważ jednak nic na to nie mogłem poradzić, postanowiłem też niczego nie przedsięwziąć. Jeżeli okaże się zabójcą, pozostanie mi tylko jedno — wiać, zanim władze dojdą do tego, że istnieje między nami jakiś związek.

Pogratulowałem mu już bez przerwy i poszedłem do siebie, kazując po drodze Melestavowi przysłać Kragara. Ponieważ zmusiłem się do uważnego obserwowania drzwi, udało mi się nawet zauważyć, gdy wchodził.

Spojrzał na mnie i spytał zwięźle:

— Kto jest celem?

— Toronnan.

— Aha. On ma coś do nas czy my do niego? Tak z ciekawości pytam, bo w sumie to bez znaczenia.

— Tak dokładnie to nikt nie ma nic do nikogo. Kelly i reszta zostali aresztowani na jego prośbę. Chcę się dowiedzieć, o co mu chodzi.

— Brzmi rozsądnie. Jak?

— Kupując kogoś z jego pracowników, naturalnie.

— A, jasne. Tak po prostu, łatwo i przyjemnie?

— Kragar, gdyby to było łatwe, sam bym się tym zajął.

Mrugnął zaskoczony.

— Miło słyszeć, że wreszcie głośno to powiedziałeś po tak długim...

— Daj sobie spokój.

— Dobra. Mam pytanie.

— Tak?

— Załatwisz go?

— Mam nadzieję, że nie będę musiał. Raz, że to źle wpłynie na interesy, dwa, wszyscy zrobią się nerwowi, a nie chcę, by pewne osoby stały się nerwowe. Trzy, jak na razie mamy pełne ręce roboty z Południową Adrilankhą i nie potrzebuję większego terenu.

Pokiwał głową.

— Tak też sobie myślałem. Dobra, zobaczę, kto u niego jest na sprzedaż.

Wstał i nagle znieruchomiał.

— Sądzisz, że mógł kupić kogoś z naszych? — spytał.

— Nie sprawdzimy tego. Jest to prawdopodobne, ale nie będę z tego powodu wpędzał się w manię prześladowczą.

— Tak tylko pytałem.

— I dobrze. A, przynieś mi pełny zestaw uzbrojenia, czas na zmianę.

— Dobra. Zaraz ci przyniosę ten złom.

I wyszedł z nader zamyśloną miną.

* * *

Dwie godziny później skończyłem wymieniać broń i sprzęt, które ze sobą nosiłem.

A w drzwiach stanął Melestav.

— Posłaniec przyniósł wiadomość, szefie — oznajmił.

— Posłaniec? Ktoś się zrobił niezwykle urzędowy. Pewnie jeszcze kazał ci pokwitować odbiór.

— Kazał. Tu jest list.

Obejrzałem uważnie podaną kartkę. Była starannie złożona i zapieczętowana. Odcisniętego w laku wzoru nie rozpoznałem, co mnie nie zdziwiło — istniały ledwie trzy lub cztery pieczęcie, które byłbym w stanie skojarzyć. I wątpię, by należała do nich moja własna. Złamałem lak, otworzyłem list i przeczytałem.

Po czym zamyśliłem się głęboko.

— O co chodzi, szefie?

— Co?... A! Jegomość, który zaprosił mnie parę dni temu, chce się ponownie ze mną spotkać, ale tym razem aż tak mu się nie spieszy.

— Toronnan?

— We własnej osobie.

— To pułapka?

— Trudno powiedzieć. Chce, bym podał mu czas i miejsce dziś lub jutro. To znacznie utrudnia zorganizowanie zasadzki.

— Fakt — wtrącił się Kragar. — Mam się zająć ochroną?

— Oczywiście.

— Dobra. Gdzie i kiedy?

— Nadal się zastanawiam. Dam wam obu znać, gdy się zdecyduję.

Melestav i Kragar wyszli.

A Loiosh spytał:

I co myślisz o tym zaproszeniu?

Nie wiem. Mam nadzieję, że to nie początek nowej wojny. Wątpię, byśmy mogli ją wygrać.

Wyjątkowo zgadzam się z tobą w zupełności, szefie.

Może powinienem zmienić zajęcie...

O, już się nie zgadzam!

Tak mi przyszło do głowy, że może powinienem przestać żyć z zabijania i oszukiwania. Tylko z drugiej strony co miałbym robić? Życ jak Morrolan czy Alera na kawałku ziemi, obserwując, jak Teckle pracują? Bez śladu ryzyka, spełniając chwilowe zachcianki... Jakoś nie mogłem sobie tego wyobrazić. Może mój styl życia był nieistotny w ogólnej perspektywie świata, ale przynajmniej dawał mi dużo zadowolenia.

Poza tym musiało być ze mną coś nie w porządku, skoro zastanawiałem się w ogóle nad tymi sprawami i szukałem usprawiedliwienia dla własnych uczynków. Na pewno główną winę ponosiła tu Cawti, która z nudów stała się rewolucjonistką. W pewnej części zaś dziadek, bo udzielił mi szczerzej odpowiedzi, gdy go, cymbał, o to poprosiłem. Mimo wszystko było to głupie. Teraz miałem aż za dużo problemów, by myśleć o bzdurach. Właśnie zresztą sam je pomnożyłem, grożąc Soffcie. Organizacja nie puści mi tego płazem, toteż albo znajdę sposób, by ją spacyfikować, albo będę musiał uciekać.

Może skończę na Greenaere, ucząc się bębnić...

Melestav!

Tak, szefie?

Dowiedz się, gdzie dziś wieczorem występuje Aibynn. To będzie miejsce spotkania z Toronnanem. Wyślij mu wiadomość przez posłańca. Punkt ósma.

Dobra, szefie.

I rozpuść wiadomość, że możemy wkrótce zostać zaatakowani.

Znowu?!

Taki urozmaicony rok.

Aha...

Lekcja dziesiąta

Zawieranie przyjaźni II

Lokal o wdzięcznej nazwie „Loquacious Madman” mieścił się przy Czigarel Street w pobliżu Undauntry, czyli w rejonie, w którym organizacja przejawiała niewielką aktywność. Zjawiłem się pięć minut przed czasem, z Kijem i Świetlikiem. Kragar i paru innych przybyli wcześniej, ale ich nie zauważyłem. Tym razem trudno się było temu dziwić — w obecnym tłumie nie zauważyłbym Sethry Lavode. Zabawa noworoczna już się bowiem rozpoczęła — wzdłuż ścian wędrowały magiczne ognie, przez salę przelatywały, odbijając się nieszkodliwie od obecnych, świetliste kule zmieniające tęczowe barwy, a z sufitu zwisały pęki wstążek.

Tłum wypełniający salę składał się głównie z Teckli ubranych w czerwień, żółć i błękit oraz artystów i kupców, tudzież ich wystrojonych kochanek. Tu i ówdzie dało się zauważyć zamaskowanych przedstawicieli Domu Tiassy czy Lyorna w brązach i granatach. Na zmianę albo upijali się w spokoju, albo wszczynali burdy, ale wyjątkowo niegroźne.

Lokal jeszcze nie był zapchany, ale gości przybywało. Wnętrze było przestronne, a impreza dopiero się rozkręcała — było już głośno, ale jeszcze nie ogłuszająco. Słowem było to albo bardzo dobre, albo bardzo dziwne miejsce na spotkanie w interesach.

Toronnan przybył dwie minuty po mnie w towarzystwie dwóch ochroniarzy, którzy sprawdzili miejsce, na ile mogli. Przy tej liczbie gości mogli niewiele, a sprawdzenie, czy nie jest to zasadzka, nigdy nie jest sprawą łatwą, nawet gdy w lokalu

panuje normalny ruch. Szczególną uwagę należy zwrócić na kelnerów i kucharzy, jako że najwięcej się kręcą i mają prawo być dosłownie wszędzie. Trzeba ocenić, czy zachowują się właściwie, stoją w stosownych miejscach i nie mają ukrytej broni. No i naturalnie czy gęba nie wydaje się skądś znajoma.

Sam robiłem podobne inspekcje, jeszcze pracując u niejakiego Weloka, i raz trafiłem na zasadzkę. Była doskonale zorganizowana — zdradził ją jeden szczegół, na który mało kto zwróciłby uwagę. Otóż kucharz trzymał nóż nie tak, jak robiłby to odruchowo prawdziwy kucharz, krojąc coś, lecz jak nożownik. Powiedziałem o tym Kragarowi, ten obejrzał gościa bliżej i rozpoznał go jako zabójcę. Spotkanie zostało odwołane, a trzy miesiące później Welok wynajął mnie do zabicia niejakiego Kynna — okazało się, że to właśnie ten niedoszły kucharz zatrudniony jako silnoręki u Rolaana. A spotkanie miało się odbyć właśnie z inicjatywy Rolaana.

Moi pracownicy mieli więcej czasu i lepsze możliwości, by sprawdzić lokal, i wyszło im, że Toronnan niczego nie przygotował. Ja także, choćby dlatego, że tak gwarne i tłoczne miejsce jest niebezpiecznym, gdyż pełnym potencjalnych niespodzianek terenem. A każdy zawodowy zabójca wręcz nienawidzi niespodzianek.

Toronnan usiadł naprzeciwko mnie, plecami do drzwi. Chciałem kiwnąć na kelnera, ale mnie powstrzymał:

— To nie zajmie nam aż tyle czasu.

Nie okazałem tego, ale mnie zaskoczył. Zaproszenie kogoś na obiad w interesach i niespożycie posiłku to poważna nieuprzejmość i złamanie zasad handlowych. Nie byłem pewien, co chce mi przez to powiedzieć, ale na pewno nie był to dobry znak.

— W takim razie proszę mówić — zaproponowałem.

— Sprawa dotarła do rady. Ma pan tam potężnych przyjaciół, ale nie sądzę, by tym razem byli w stanie pomóc.

— Zamieniam się w słuch.

— Jest nam przykro, że pańska żona została w to zamieszana, ale interesy to interesy.

Umilkł, więc powiedziałem:

— Nadal słucham z niesłabnącą uwagą.

Kiwnął głową.

— Zostałem wezwany przez radę. Zapytano mnie, czy może pan zostać zlikwidowany bez walki. Powiedziałem, że jedynie w wypadku, w którym roboty podjąłby się Mario. Nie oznacza to, że próby nie zostaną podjęte, ale prawdopodobnie ma pan chwilę spokoju. Rozumie pan?

— Niezupełnie. Proszę kontynuować.

— Dopiero co skończyło się poważne zamieszanie między panem a tym całym Herthem. Wcześniej był pan zmuszony do walki z kimś innym, co skończyło się interwencją Imperium. A jeszcze była masakra na wzgórzach między Be'erem i Fyrnaanem.

— Słyszałem o tym, ale nie brałem w tym udziału.

— To nie w tym rzecz. Chodzi o to, że organizacja w ostatnim czasie zaczęła zbyt zwracać na siebie uwagę, co niepokoi radę. Rozgłos nie wpływa korzystnie na interesy. Tylko dlatego jeszcze pan żyje.

— Jak rozumiem, ktoś poczuł się obrażony.

— Wszyscy się poczuli obrażeni, idioto! Nie grozi się przedstawicielowi organizacji na dworze cesarskim! Czy to nie oczywiste?!

— Czy ja choć słowem mu zagroziłem?

— Nie graj pan ze mną w durnia! Mówię, że masz pan odpuścić i cicho siedzieć! Mówię, że...

— Dlaczego kazał pan aresztować tych ludzi?

— To nie ty zadajesz tu pytania, Wąsaty. To ja pytam, a ty odpowiadasz. To ja każę, a ty wykonujesz. Tak wyglądają nasze wzajemne stosunki. Pojmujesz to czy mam się wyrazić bardziej obrazowo?

— Dlaczego kazał pan aresztować tych ludzi?

Poczerwieniał, ale zapanował nad sobą.

— Dlaczego miałbym odpowiedzieć?

— Bo cię zabiję, jeśli tego nie zrobisz.

— Nie wyjdiesz stąd żywy.

— Wiem.

Przyglądał mi się długą chwilę, po czym ocenił:

— Kłamiesz.

Potrząsnąłem głową i wyjaśniłem:

— Nie kłamię. Kultywuję reputację mówiącego zawsze prawdę. Robię to, by wykorzystać powszechne przekonanie przy naprawdę dużej okazji. To nie jest ta okazja.

Prychnął pogardliwie.

— A o ile większa ma niby być?

— Poczekaj, a zobaczysz.

Zgrzytnął zębami, po czym oświadczył:

— Otrzymałem polecenie od rady. Nie wiem, komu na tym zależało osobiście.

— Jak się postarasz, to zgadniesz.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, w końcu wykrztusił:

— Mój szef Boralinoi.

— Boralinoi... — powtórzyłem powoli. — To ma sens: mój teren jest w granicach twego, a twój w granicach jego terenu.

Teraz do mnie należy Południowa Adrilankha, więc on jest odpowiedzialny...

— Zgadza się. I jeżeli myślisz, że możesz z nim zadrzeć...

Potrząsnąłem głową.

— Chcę tylko wydostać żonę z lochów. Tak naprawdę wszystko się do tego sprowadza. Mogliście Kelly'ego przerobić na sałatkę i nic by mnie to nie obeszło, ale nie trzeba było jej ruszać. Bo nie ma takiej siły, która by mnie zmusiła do bezczynnego przyglądania się, jak gnije w lochach pod Cesarskim Pałacem. Ma pan trzy możliwości, lordzie Toronnan: znajdzie pan sposób, by mi pomóc, nie będzie mi pan przeszkadzał albo spróbuje mnie pan jak najszybciej zabić. Bo ja nie ustąpię.

Wstał.

— Zapamiętam to, lordzie Taltos. Dobrze zapamiętam.

I wyszedł.

A ja przesiadłem się, by móc obserwować muzyków, którzy właśnie zaczęli przygotowania do występu.

Znalezienie kelnera zajęło mi trochę czasu, ale w końcu postawiłem na swoim i zamówiłem parówkę, pastę i paprykę. Kelner był zaskoczony — większość gości chciała tylko pić — ale zamówienie przyjął. A potem zdziwił się, gdy Kragar, który tymczasem dosiadł się do stolika, powtórzył zamówienie dla siebie. Gdy kelner odszedł, Kragar spytał:

— I o co chodziło?

— Wygląda na to, że mam nowego wroga.

— Tak? Toronnana?

— Radę.

Kragar przechylił głowę.

— Powiedz mi coś, Vlad. Dlaczego ja jeszcze z tobą jestem?

— Nie wiem. Może czekasz, aż cena za mnie osiągnie stosowną

wysokość.

— Tylko nie zaczynaj z manią prześladowczą.

— Cóż, skoro dotąd o tym nie myślałeś, to może powinieneś zacząć. Cena zaczyna rosnać i będziesz mógł liczyć na wdzięczność wysoko postawionych osobników.

Spojrzał na mnie twardo, ale ani się nie obraził, ani nie rozzłościł.

— Lepiej opowiedz mi dokładnie całą sprawę — zaproponował raczej kategorycznie.

No to mu opowiedziałem.

Wszystko — zaczynając od rozmowy z Sofftą.

W środku mojej relacji pojawiło się jedzenie, a gdy skończyłem mówić, muzycy zaczęli grać. Zadziwiające, jak cicho potrafi się zachowywać zasłuchany tłum. Wiedziałem, że potem to sobie odbije, i miałem nadzieję, że opuszczę lokal, nim ogłuchnę.

Jedzenie okazało się spożywcze, wino wytrawne, ale całkiem dobre. Jeszcze lepszy był śpiewak. Aibynn dobrze mu akompaniował — praktycznie go nie słyszałem, choć może byłoby inaczej, gdybym znał się choć trochę na muzyce. Miał rozmarzony uśmiech na twarzy, zupełnie jak mój dziadek w trakcie rzucania czaru. Sam też mogłem mieć taki.

Gdy skończyli występ, Aibynn podszedł do stołu i przedstawił swego partnera — niewysokiego przedstawiciela Domu Tiassy zwanego Thoddi.

Pogadaliśmy chwilę.

W trakcie ich występu Kragar spytał:

— Jaki mamy plan?

— Odszukać Boralinoiego.

— To może być niebezpieczne.

— To będzie niebezpieczne. Dowiedz się, gdzie ma biuro.

— Co?! Zaraz teraz?

— Poczekam.

— Słuchaj no, nie wspominając już o tym, że czystym idiotyzmem jest tak bez przygotowania i ubezpieczenia wleźć komuś do biura, to nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że Toronnan miał dość czasu, by wysłać przed ten lokal komitet powitalny? Z zadaniem ukatrupienia cię, jak tylko wyjdiesz?

— Niech spróbuje.

— Vlad...

— Kragar, mówię zupełnie poważnie: dowiedz się, a ja tu poczekam.

Westchnął ciężko.

— Dobra. Postaram się pospieszyć.

Wyszedł, a ja zająłem się słuchaniem muzyki.

Trochę mnie tylko dekoncentrowała konieczność pilnowania drzwi, ale tylko trochę. Poza tym był tu Loiosh, Kij i Świetlik, czyli byłem na tyle bezpieczny, na ile było to w ogóle możliwe.

* * *

Kragar odezwał się po dobrych dziesięciu minutach. Telepatycznie i z pełnymi informacjami, gdzie mieści się biuro Boralinoiego.

Teraz już go tu nie ma. Musisz poczekać do jutra — zakończył.

Chyba muszę.

To może byś tak wszystko przemyślał na spokojnie? Może...

Dziękuję, Kragar. Do jutra.

Muzycy skończyli występ i jak się spodziewałem, tłum odbił

sobie ciszę w dwójnasób. Albo i trójnasób.

Zapłaciłem za to, co zjedliśmy z Kragarem, i wyszliśmy. Aibynn poszedł z nami.

Przed lokalem nie było żadnego komitetu powitalnego.

Przez długą chwilę szliśmy w milczeniu. Przerwałem je w końcu.

— Podobało mi się, jak grałeś.

— Nieźle, prawda? Zauważyłeś te fałszywe siedemdziesiątki dwójki, które wrzucałem w siedemnastki?

— Niespecjalnie.

Pokiwał głową.

— Tak naprawdę to nie były siedemdziesiątki dwójki, bo trzeba by wybić 1, 6—7—8 i 10, a potem 16—17 za każdym razem, ale jeśli co trzeci takt... — mówił dalej, ale przestałem rozumieć cokolwiek.

Ograniczyłem się więc do potakiwania i pomrukiwania.

Za to Kij musiał wiedzieć, o co chodzi, bo wymienił się ze Świetlikiem na miejsca i zaczął z Aibynnem niezrozumiałą dla mnie, ale całkiem ożywioną dyskusję. Nadal nie wiedziałem, kim jest Aibynn i czy chce zabić Cesarzową.

Ale niewiele mnie to w sumie obchodziło.

A co cię obchodzi? — spytał w tym momencie Loioosh.

Wyciągnięcie Cawti z więzienia.

A potem?

Nie zadawaj trudnych pytań po nocy, dobrze?

Gdy dotarliśmy do domu, w którym mieszkałem, spytałem Kija i Świetlika, czy nie mają ochoty napić się wina. Świetlik nie chciał, natomiast Kij wiedział, jakie wina mam w domu, toteż wszedł zaraz za mną.

To, co wywarło na mnie największe wrażenie w pierwszym

przynajmniej momencie, to szybkość działania Toronnana. Od zakończenia naszego spotkania minęło nieco więcej niż pół godziny, a zabójca czekał już na mnie. I to w miejscu, w którym nikt by się go nie spodziewał — w moim mieszkaniu. Ustawił się tak, że zasłoniły go otwarte drzwi wejściowe do bocznego pokoju i ani Loiosh, ani ja niczego nie podejrzewaliśmy. Kij jednak, idący za mną, zobaczył ruch i nóż, którego celem była moja szyja. Pchnął mnie w bok i do przodu, tak że znalazłem się w pokoju.

Straciłem równowagę, ale w kontrolowany sposób, gdyż padając, wykonałem przewrót i wstałem już z parą noży w dłoniach. Okazały się niepotrzebne, gdyż właśnie w tym momencie Kij opuścił pałki na szczyt czaszki napastnika. Coś z trzaskiem pękło i zabójca zwałił się na podłogę. Poczułem pieczenie na szyi i gdy dotknąłem jej ręką, stwierdziłem, że mam rozciętą skórę. Pozostało jedynie mieć nadzieję, że ostrze nie było zatrute.

Stwierdziłem, że lekko się trzęsę.

— Dobra robota — pochwaliłem Kija.

A ten w odpowiedzi osunął się na podłogę.

Dopiero w tym momencie dostrzegłem, że w jego szyi tkwi nóż do rzucania, którego czubek wystaje mu z karku,

Przyklęknąłem i sprawdziłem, ale wiedziałem, co znajdę. Jego kręgi szyjne zostały przecięte i Kija nie można było wskrzesić. Cholerny przypadek!

W tym momencie w drzwiach stanął Aibynn.

* * *

Godzinę później po obu ciałach nie zostało śladu, a Kragar siedział ze mną w salonie i czekał, aż przestanie mnie trząść.

Dreszcze stopniowo zanikały, ale nie znaczyło to, że odzyskałem równowagę ducha.

— W moim domu, Kragar — powtórzyłem z dziesiąty raz.

— Wiem, szefie.

— Tak się nie postępuje!

Aibynn był w swoim pokoju, skąd dochodziło ciche bębnienie. Powiedział, że musi dość do siebie. Miałem nadzieję, że jest już blisko.

Kragar pokiwał głową i powiedział:

— Skorzystali z pretekstu.

— O czym ty mówisz?

— Jakiś czas temu wpadłeś do domu jednego takiego, by wydusić z niego informacje. I wydusiłeś. Było to parę tygodni temu, pamiętasz?

— Pamiętam. Ale go nie zabiłem.

— Dlatego powiedziałem, że skorzystali z pretekstu. Złamałeś zasady, więc oni zrobili to samo, tylko posunęli się o krok dalej.

Odetchnąłem głęboko.

— Powinienem był to przewidzieć — przyznałem.

— Powinieneś.

Nieco ponad miesiąc temu Kij nie dał się przekupić i nie wystawił mnie. Sam przez to stał się celem i ledwie zdołałem uratować mu życie, tak jak on wcześniej moje. I wszystko po to, by zginął w tak głupi i pechowy sposób...

— Myślę, że nie powinieneś tu zostać, Vlad.

— Nie zamierzam. Dzięki, Kragar, już wszystko ze mną w porządku.

— Poczekam, aż wyjdiesz, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zawołałem Aibynna i powiedziałem mu, że mieszkanie może nie być najbezpieczniejszym miejscem tej nocy.

— Żaden problem — odparł. — Mam przyjaciela, u którego mogę przenocować.

— To idź do niego. Do zobaczenia wkrótce.

Kragar wyszedł razem ze mną i upewnił się, że nikt na mnie nie czeka. Dopiero potem pożegnał się i poszedł.

To dokąd idziemy, szefie?

Do gospody po przeciwnej stronie miasta.

Dlaczego aż tak daleko?!

Bo prawie naprzeciw niej jest biuro Boralinoiego.

Aha. A co z Toronnanem?

Już jest trupem, ale nie teraz. Zemsta jedynie wydłuży i skomplikuje sprawy. Najpierw Cawti, potem Boralinoi. Albo odwrotnie. Na Toronnana przyjdzie czas.

Znaczy się łamiemy wszystkie zasady?!

Właśnie.

* * *

Do gospody dotarłem po trzech godzinach marszu, ale dobrze mi on zrobił.

* * *

Następnego ranka wstałem wcześniej.

I zająłem pozycję w cieniu narożnika gospody, obserwując przeciwną stronę. Rocza latała nad okolicą, terroryzując miejskie jheregi, a Loiosh siedział na moim ramieniu. Po sześciu godzinach snu i trzech kubkach klavy byłem gotów do akcji. Chłodny, przyjemny wiatr wiał od strony wzgórz, działając zdecydowanie rozbudzające

Był to niezły dzień, by zabić.

I niezły, by zginąć.

Choć nie miałem pojęcia, jak Boralinoi wygląda, zauważyłem go bez trudu, gdyż towarzyszyło mu czterech członków obstawy — jeden z przodu, dwaj po bokach i jeden z tyłu. Byli dobrzy — obserwując ich, doszedłem do mało budującego wniosku, że by załatwić go na ulicy, musiałbym przekupić przynajmniej dwóch z nich. Byli na tyle dobrzy, że musiałem się naprawdę postarać, by mnie nie zauważyli, co nieczęsto się zdarza.

Boralinoi ubrany był tak, że w każdej chwili mógłby się pokazać na dworze, i zachowywał się tak, jakby wiedział, ile jest warty jego strój. Miał proste, czarne włosy, pierścienie na wszystkich palcach i mogłem się założyć, że nie dość, że jest uperfumowany, to ma w kieszonce w pobliżu kołnierza nasączoną perfumami chusteczkę na wypadek spotkania kogoś, kogo oddech nie przypadnie mu do gustu.

Wszyscy weszli do zakładu kaletniczego, gdzie na zapleczu i na piętrze mieściło się jego biuro. Oczekałem kilka minut, wezwałem Roczę i we trójkę poszliśmy ich śladem.

Zawsze lubiłem zapach świeżej skóry, ale tu go było zdecydowanie za dużo. Nie wspominając już o klejach, oliwkach i innych ingrediencjach niezbędnych w tym zawodzie. Przednią część warsztatu zajmował niewielki sklepik pełen kaftanów, kamizel i pasów, a za nimi znajdował się warsztat, w którym stary Vallista pracowicie szył skórzany kaftan przy użyciu szydła i dratwy. Po co komu skórzana butelka, nie byłem w stanie pojąć, jako że za nic nie chciała ona przypominać manierki, ale nie zaprzętałem sobie tym głowy.

Nim mnie zauważył, dotarłem do schodów za warsztatem i wspiąłem się na piętro. Przed drzwiami stało dwóch silnorękich.

Żaden nie wyglądał przyjaźnie. Obaj przyglądali mi się tak, jakby zastanawiali się, czy warto się męczyć i sprawdzić, czego chcę, czy też ukatrupić mnie od ręki.

Kiwnąłem im głową i powiedziałem:

— Vlad Taltos do lorda Boralinoiego.

Niższy spytał:

— Umówiony?

— Nie.

— To trzeba poczekać.

— Dobrze.

Widać było, że się koncentruje, a po chwili kiwnął głową.

— W sprawie? — spytał.

Jego głos brzmiał równie przyjemnie jak pilnik trący o metal.

— To wymaga ofiary.

— Niech będzie moja strata: którego z was?

Uśmiechnął się lekko.

Zaciekawiło mnie, czy krzywe zęby ma z niechlujstwa, czy dla efektu. Nie zapytałem go jednak o to.

Skupił się ponownie i oznajmił po paru sekundach:

— Trzeba czekać.

Po dobrej minucie spędzonej na wzajemnym przyglądaniu się powiedział:

— Można wejść, szef ma pięć minut.

— Mój szczęśliwy dzień! — westchnąłem.

I wszedłem.

W pokoju było pięciu następnych.

Jeden siedział za biurkiem, czterech podpierało ściany. Każdy z nich zabił przynajmniej raz — takie rzeczy po prostu widzi się w zachowaniu. Ten za biurkiem kiwnął głową. Pozostali przyjrzeni mi się tak, jak ja zwykle przyglądam się oskubanej, ale

jeszcze nie wypatroszonej kurze.

Podniosło mnie to na duchu.

Z pokoju prowadziło troje drzwi. Wskazałem środkowe i uniosłem pytająco brwi. Siedzący przytaknął, więc skierowałem się ku nim i wszedłem.

Pokój był spory, ale znaczną jego część zajmowało biurko, za którym siedział gospodarz niczym pan na włościach. Oprócz niego w pomieszczeniu było jeszcze dwóch mężczyzn w barwach Domu Jherega. Jeden chudy, o pociągłej, jakby zapadniętej twarzy wyglądający albo na księgowego, albo na adepta magii. Drugi barczysty, o spojrzeniu mordercy gotowego zabić każdego, zawsze i z byle powodu. Na mój widok poruszył ramionami i pogłaskał się po brodzie, odruchowo sprawdzając, czy arsenał ma na miejscu. Więc poprawiłem pelerynę i przyglądałem włosy. Mój był kompletny i gotów do użycia.

W pokoju nie było okien ani żadnych widocznych drzwi. Ukryte były na pewno, bo to była zasada bezpieczeństwa, której nie lekceważono. Loiosh syknął cicho — jemu też nie spodobał się brak innej drogi ucieczki. Rocza siedząca na moim lewym ramieniu poruszyła się nerwowo świadoma jego niepokoju.

Boralinoi przyjrzał się najpierw jej, potem Loioshowi, a na koniec mnie.

I powiedział:

— Słyszałem o panu, lordzie Taltos.

— Ja o panu także, milordzie.

— Chciał pan ze mną rozmawiać. Słucham.

— To prywatna sprawa.

Nie odrywając ode mnie wzroku, polecił:

— Cor, N'Vaana nie mówcie o tym nikomu.

Czyli tak jak się spodziewałem, sam na sam nie zostaliśmy i

nie było szansy, byśmy zostali.

— Przyszedłem po radę w związku z problemami małżeńskimi, lordzie Boralinoi.

— Przykro mi, ale nie jestem żonaty.

— Szkoda, milordzie. Małżeństwo to wspaniała rzecz. Mimo to jestem przekonany, że milord i tak może mi pomóc.

Wyjął spod kołnierza perfumowaną chusteczkę, otarł nią kąciki ust i zmiął ją w dłoni. Po czym rozparł się wygodnie w fotelu i powiedział, jakby go dopiero olśniło:

— Mówi pan o kobiecie, która współpracowała z tą grupą wywrotowców powodującą zamieszanie w Południowej Adrilance.

— To jedyna żona, jaką mam, milordzie. Nie mam zamiaru jej stracić.

— Dlaczego przyszedł pan z tym do mnie?

— Bo zostali aresztowani na pańskie polecenie. Pomyślałem sobie, że w takim razie pan również byłby w stanie załatwić jej zwolnienie.

— A dlaczego pan sądzi, że miałem z tym coś wspólnego?

— Miałem zeszłej nocy sen, milordzie. My, ludzie, wierzymy w sny.

— Rozumiem... — Pochylił się, oparł łokcie o blat i wycedził: — Niech pan uważnie słucha, baronecie Taltos, żebym nie musiał się powtarzać. Ta grupa wywrotowców zaczęła być zbyt kłopotliwa i działać poza południową częścią miasta. Zaczęli mieć wpływ na to, co dzieje się w innych rejonach, czyli mówiąc po prostu, zaczęli przeszkadzać. Już wcześniej dały się zauważyć straty w naszych dochodach, których to strat byli powodem. Jeśli Teckle stają się za cwani dla własnego dobra z naturalnych powodów, nic na to nie można poradzić, ale jeśli jest to wynik

czyjegoś działania, nie będę się temu przyglądał beczynn timer. To robota głównie Kelly'ego i pańskiej żony, Taltos. Należącej do Domu Jherega. W ten sposób stało się to naszą sprawą i Imperium też tak uznało. Nasz przedstawiciel na dworze wysłuchał cierpkich słów, a nasze petycje przestały być przyjmowane. I to wszystko przez pańską żonę, Taltos, bo dopóki nie przyłączyła się do nich, była to niegroźna banda pomyleńców. Tak, kazałem ich aresztować. I nawet wymyśliłem dobry pretekst: mój mag zniszczył posterunek w Południowej Adrilance, robiąc to tak, by wszystko wskazywało na nich. Zaskoczyło to pana? Nie powinno. W ten sposób Imperium mogło wkroczyć w majestacie prawa. Trzeba ich było spacyfikować i zrobiłem to. Gdybym nie uczynił tego dokładnie za pierwszym razem, musiałbym rzecz powtórzyć. I powtórzyłbym. Przykro mi, że to pańska żona, lordzie Taltos, ale to już pański pech. Jeśli chodzi o wypuszczenie jej, to może pan o tym zapomnieć. Na niej właśnie najbardziej mi zależało. Panu zostaje znaleźć sobie inną, bo jak długo będzie to zależne ode mnie, ta będzie gnić w lochach, dopóki Wielkie Morze Chaosu nie pochłonie Imperium. To wszystko, co miałem do powiedzenia. Szczęśliwego Nowego Roku.

Spokojnie, szefie!

Bez obaw, Loiosh. Pilnuj Roczy, dobrze?

Przez chwilę nie odzywałem się, bo kląć i wrzeszczeć nie mam w zwyczaju. Kiedy opanowałem się na tyle, by móc mówić spokojnie, odezwałem się wolno i wyraźnie:

— A więc to pan zorganizował aresztowanie przez władze?

— Tak.

— I konkretnie chodziło o moją żonę?

— Tak.

Zmierzyłem go od stóp do głów, na ile pozwalało biurko, i powiedziałem:

— Wie pan, sędzę, że pana uszkodzę.

— Nie będziesz w stanie — warknął i na moment przymknął oczy.

W następnej sekundzie drzwi za moimi plecami otworzyły się. Odwróciłem głowę — jak się spodziewałem, wpadła przez nie cała piątka z sąsiedniego pokoju. Wszyscy trzymali w dłoniach noże i sztylety, ale byłem na to przygotowany. Spojrzałem na Boralinoiego — już nie siedział, ale dwaj obecni w pokoju zasłonili mi go. Barczysty miał w garści szpadę.

Na moment ciągnący się niczym wieczność wszyscy zamarli.

— Masz rację, Boralinoi. Zabiję cię, nie uszkodzę — powiedziałem spokojnie.

I czar prysnął.

Oczywiście gdyby było ich mniej, prawdopodobnie bym stamtąd żywy nie wyszedł. Pokój nie był jednak aż tak duży, by dać wszystkim swobodę ruchu, i jak długo ja nie stałem w miejscu, tak długo oni przeszkadzali sobie nawzajem. A ja nie czekałem bezczynnie. Dzięki Loioshowi znałem rozmieszczenie nowo przybyłych, toteż dwóch najbliższych unieszkodliwiłem, rzucając nożami. Równocześnie Rocza zaatakowała najgroźniejszego przeciwnika — maga.

Zawirowałem, ciskając shurikeny w trzech pozostałych, znajdujących się między mną a drzwiami i w osłaniającego szefa osiłka. Ktoś zwałił się na podłogę, ale nie sprawdzałem — skoczyłem ku drzwiom. I dopadłem ich, nim ktokolwiek zdołał zareagować.

Loiosh poleciał sprawdzić pokój i przyległości, a ja odwróciłem się w progu, płynnym ruchem wydobywając rapier. Rapier

przeciwko szpadzie nie zawsze bywa skuteczny, ale przeciw sztyletowi i owszem. A ten, który był najbliżej, właśnie sztylet miał w garści. Dwoma ruchami nadgarstka, z których dziadek byłby dumny, rozciąłem mu dłoń, w której trzymał sztylet, oraz szyję.

Zwalił się z charkotem na podłogę, krwawiąc jak świnia. Rocza przeleciała obok. A ja w lewej dłoni miałem już nóż. Cisnąłem go, odskakując w tył. Trafił tego ze szpadą w pierś, ale nie na tyle blisko serca, by zabić. Trafiony nie upadł, bo mu w tym futryna przeszkodziła, ale w ten sposób skutecznie zablokował wyjście.

Loiosh zameldował, że pokój obok jest czysty, więc przebiegłem przez niego, nie rozglądając się, i dalej przez otwarte drzwi na podest. Zatrzasnąłem drzwi i stopiłem je magicznie z futryną. Nie jestem dobrym magiem, ale coś takiego nie wymaga zbyt wielu umiejętności.

A skutecznie opóźnia pościg.

Dwóch czeka na ciebie na dole, szefie — usłyszałem głos Loiosha. *Zajmiemy ich a... auć!*

Co się stało?

Mato mnie skubany nie nadział!

Powiedz mi kiedy — poleciłem, schodząc cicho po schodach.

Moment... moment...

Zatrzymałem się na ostatnim stopniu, mając w prawej ręce rapier, w lewej Spellbreakera i żałując, że nie mam trzeciej ręki do shurikenów.

Teraz! — krzyknął Loiosh.

I wypadłem przez drzwi oddzielające schody od pokoiku za warsztatem, w którym Rocza i Loiosh rzeczywiście zajmowali parę przeciwników. Jednego zdjąłem natychmiast, rozcinając mu krtań i resztę szyi. Drugi, mimo że oganiał się sztyletem przed

Roczą, spojrział na mnie i lewą wykonał jakiś gest. Poczułem mrowienie w dłoni — zakręciłem młynka Spellbreakerem, który przechwycił atak. Machnąłem rapierem w jego stronę i skoczyłem ku drzwiom do warsztatu. Loiosh i Rocza byli pierwsi, ja tuż za nimi. Zatrzasnąłem drzwi kopniakiem i stopiłem je z futryną.

Kaletnik był rzeczywiście tylko kaletnikiem, bo na mój widok, albo na widok zakrwawionego rapiera, z piskiem dał nura pod stół.

Przebiegłem przez warsztat, sklep, ulicę i skręciłem za róg.

Uwaga, teleportujemy się! — uprzedziłem.

A jeśli wysłedzą teleport? — spytał Loiosh, lądując na moim ramieniu.

Gównu im z tego przyjdzie poza satysfakcją.

Rocza znalazła się na moim drugim ramieniu. Skoncentrowałem się.

Ulica znikła, żołądek fiknął kozła i...

* * *

...znalazłem się na dziedzińcu Czarnego Zamku.

Co prawda goście Morrolana byli bezpieczni już na dziedzińcu, ale wolałem nie ryzykować. Wziąłem namiar na masywne wrota i zataczając się jak pijany, ruszyłem ku nim chwiejnie. Świat się kręcił, żołądek wariował, a widok nieba pod stopami nie poprawiał samopoczucia.

Udało mi się jednak dotrzeć w końcu do celu i przekroczyć próg. Kolana mi się trzęsły, w oczach latały czarne płatki, ale teraz rzeczywiście byłem bezpieczny.

Oparłem się z ulgą o ścianę i czekałem spokojnie, aż mój

organizm wróci do równowagi.

Lekcja jedenasta

Racja stanu II

Zgodnie z informacjami lady Teldry Morrolana znalazłem w gabinecie na trzecim piętrze południowego skrzydła. Siedział tam z Daymarem, lordem z Domu Sokoła, którego rysy przypominały tego drapieżnego ptaka. Nie pasowały jedynie wysokie czoło i szeroko rozstawione oczy. Ledwie zamknąłem za sobą drzwi, Loiosh starym zwyczajem poleciał przywitać się z Morrolanem. Natomiast Rocza przeleciała z mojego ramienia na ramię Daymara, którego pierwszy raz zobaczyła, i pozostała tam przez całą naszą rozmowę.

Dziwne.

Morrolan i Daymar pochylali się nad stołem, na którym leżało coś, co wyglądało jak duży, czarny klejnot, ale zachowywali się, jakby było to nieznanne zwierzę, a oni chcieli sprawdzić, czy przypadkiem nie jest żywe. Zaciekawiony też podszedłem i przyjrzałem się temu czemuś. Dzięki temu zauważyli mnie.

Po dobrej minucie.

Bystrzejszy tym razem okazał się Daymar — uniósł głowę, przyjrzał mi się zdziwiony i powiedział:

— O! Witaj, Vlad.

— Dzień dobry. Co to takiego?

— To — wyjaśnił Morrolan — jest czarny klejnot Feniksa.

— Nigdy o podobnym nie słyszałem — przyznałem szczerze.

— Jest podobny do złotego klejnotu Feniksa — dodał wyjaśniająco Daymar.

— Jasne. Tylko czarny, a nie złoty.

— Właśnie. — Daymar jak zwykle nie zauważył ironii.

Postanowiłem być cierpliwy:

— A co to jest złoty klejnot Feniksa?

— No cóż... Kiedy odkryliśmy czarny, zaczęliśmy szukać w bibliotece Morrolana i dowiedzieliśmy się o istnieniu złotego...

Daymar umilkł, najwyraźniej uznając wyjaśnienia za skończone.

Moja cierpliwość też okazała się skończona.

— Morrolan, może ty potrafisz coś sensownego powiedzieć? — zaproponowałem kategorycznie. — Przeważnie ci się to udaje.

Morrolan westchnął i spytał:

— Pamiętasz, jak mieliśmy problemy z łącznością telepatyczną na wyspie?

— Pamiętam. Nawet Daymara coś odcięło.

Daymar spojrział na mnie, nie przestając drapać Roczy po szyi.

— Nic mnie nie odcięło — oznajmił. — Zemdlałem z wyczerpania.

Wybałuszyłem na niego oczy.

— Ty?! — wykrztusiłem po chwili.

— Ja.

— O cholera!

— Właśnie.

— Klejnoty Feniksa występują jedynie na wschodnim i południowym wybrzeżu Greenaere — dodał Morrolan. — I oddziałują w ten sposób, że blokują telepatię, teleportację i inne, nazwijmy to, telenormalne czynności. Ich koncentracja na wyspie powoduje, że będąc na niej, traci się kontakt z Kulą i nie można używać magii.

— To dlaczego Loiosh i ja mogliśmy się porozumiewać?

— Właśnie! — ucieszył się nie wiedząc dlaczego Morrolan. —

To doskonale pytanie. Najwidoczniej więź między czarownicą a familiarem nie jest więzią telepatyczną, lecz czymś o zupełnie odmiennym charakterze. Natomiast czym jest, tego nie wiemy. Chciałem się w tej kwestii z tobą skontaktować, ale skoro się zjawileś osobiście, to uprości sprawę. Chcieliśmy cię prosić, byś pomógł nam w paru eksperymentach, które powinny pewne rzeczy wyjaśnić.

Nie lubię eksperymentów, szefie!

Ja też, Loiosh. To już jest nas dwóch...

Popatrzyłem wymownie na Morrolana i powiedziałem:

— To może nie być najlepszy pomysł.

Przyjrzał mi się uważnie i spytał:

— Co się stało?

— Nic wielkiego, znowu próbują mnie zabić. Ot i wszystko.

— Chyba się przyzwyczajasz — ocenił. — Chcesz wina?

— Z przyjemnością. Zaraz się obsłużę.

Gdy napełniłem kielich, Morrolan zaproponował:

— Powiedz, o co chodzi tym razem.

— Problemy z Domem Jherega.

— Znów?

— Raczej nadal.

— Rozumiem.

— Mogę jakoś pomóc? — spytał niespodziewanie Daymar.

— Nie. Ale dzięki, że spytałeś.

Szefie, czy Aibynn nie miał takiego kamyka na szyi? — spytał nagle Loiosh. Tylko mniejszego?

Chyba tak.

To może dlatego nie mogłem go wcześniej zauważyć? I innych wyspiarzy także... To może być to!

Spojrzałem na Morrolana i spytałem:

— Gdzie to znalazłeś?

Morrolan uśmiechnął się lekko.

— Na wycieczce.

— No proszę, a co zwiedzałeś?

— Lochy pod pałacem.

— Widziałeś Cawti?

— Widziałem. Wszystko u niej w porządku. Nie rozmawialiśmy, ale spotkaliśmy się.

— Czy mógłbyś może po kolei?

— Zgubiłem drogę. Potem zgubiłem trzydzieści imperiali i znalazłem to, co widzisz.

— Prosiłem po kolei!

— Gdy się zgubiłem, trafiłem do części więziennej. Zobaczyłem Cawti, przywitaliśmy się i mój przewodnik stał się tak nerwowy, że musiałem iść dalej. Po drodze zauważyłem dziwnie często występujące te kryształy, więc postarałem się o jeden z ciekawości.

— Aha. A...

— Była w dobrym nastroju, jeśli o to ci chodzi. Można by rzec, że tryskała energią.

— A... cholera, moment! — warknąłem. — Ktoś się do mnie dobija!

Przyjąłem połączenie zły na cały świat, bo nie lubię, kiedy zbyt dużo rzeczy dzieje się równocześnie.

Kto tam?

Ja, szefie. Gdzie pan jest, bo ledwie pana słyszę?!

Moment, Melestav.

Odszedłem w przeciwległy kąt pokoju, by znaleźć się jak najdalej od kryształu, i spytałem:

Teraz lepiej?

Trochę.

Dobra, mów, o co chodzi?

Przybył kolejny posłaniec, szefie.

Od Toronnana?

Nie, szefie. Od Cesarzowej. Chce pana widzieć.

Cesarzowa? — upewniłem się.

Właśnie.

Jutro?

Tak tu jest napisane.

Jutro jest Nowy Rok.

Wiem.

Dobra. Porozmawiamy później.

Jasne, szefie.

Zakończyłem połączenie i wróciłem do stołu.

Morrolan spojrział na mnie pytająco, więc rzuciłem:

— Znasz może jakiś powód, dla którego Cesarzowa chciałaby mnie zobaczyć w Nowy Rok?

Przekrzywił głowę.

— Śpiewasz? — spytał uprzejmie.

— Nie.

— W takim razie musi chodzić o coś naprawdę ważnego.

— Wspaniale! — jęknąłem. — Doczekać się nie mogę.

— Nie ma czego. Natomiast teraz chciałbym przeprowadzić kilka prób. Zapewniam cię, że nie będą ryzykowne.

Znając Morrolana, wiedziałem, że dość zasadniczo różnimy się w rozumieniu pojęcia „ryzyko”, ale nic nie powiedziałem.

Za to odezwał się Loioś:

Szefie, w najgorszym razie nas zabije. Wtedy nie będziemy się

musieli martwić, co Cesarzowa ma zamiar z nami zrobić.

Fakt.

Po tak logicznym argumencie powiedziałem Morrolanowi, że się zgadzam.

* * *

Następnego dnia przypadał: „pierwszy dzień miesiąca Feniksa Roku Dzura w fazie Yendi rządów Feniksa cyklu Feniksa w Wielkim Cyklu Smoka”. Dlatego każdy w miarę choćby normalny mówił, że jest to Nowy Rok 244 roku po Bezkrólewiu.

I ten właśnie radosny dzień miałem spędzić w Cesarskim Pałacu.

Najciekawsze z tego wszystkiego było to, że nie pamiętam, jak wygląda główne wejście i front. Na pewno jest duże i robi wrażenie, ale to wszystko, co zostało mi w pamięci. Zjawiłem się trochę po dwunastej ubrany w strój w barwach Domu Jherega, świeżo wyczyszczony albo i całkiem nowy, z tak wyglansowanymi butami, że można się było w nich przejrzeć. Nawet znalazłem gdzieś wstęgę przysługującą baronetowi, którą miałem na sobie tylko raz — w trakcie uroczystości dziedziczenia tytułu. Zastanawiałem się też, czy nie zostawić w domu Loiosha, a on uprzejmie powstrzymał się od wyrażenia zdania, ale w końcu zdecydowałem się go zabrać i siedział teraz dumnie na moim prawym ramieniu. Zostawiłem natomiast Roczę, niezbyt zresztą z tego zadowoloną, uznałem bowiem, że są granice bezczelności. A pojawienie się z dwoma jheregami na pierwszej audyencji mogło zostać odczytane jako ich przekroczenie.

Audyencja u Cesarzowej.

Świat się kończył i stawał na głowie.

Należałem do Domu Jherega i do organizacji, czyli znajdowałem się na samym dole społeczeństwa. Poza tym byłem człowiekiem, a więc znacznie gorszym mętem społecznym. Czyli mówiąc krótko: dno. A ona była najważniejszą osobą w Imperium. Wokół jej głowy krążyła Kula, dzięki czemu miała na swe rozkazy całą potęgę Wielkiego Morza Chaosu. Stanowiła serce Imperium. Na jej rozkazy było siedemnaście Wielkich Domów wraz z ich bogactwem i siłami zbrojnymi. A na dodatek ta konkretna Cesarzowa z Domu Feniksa przetrwała Katastrofę Adrona, przemierzyła Ścieżki Umarłych, odzyskała Imperialną Kulę i odbudowała prawie w ciągu doby Imperium, które zmieniło się w ruinę.

A teraz z nieznanych powodów chciała mnie zobaczyć.

To jak ja miałem nie być zdenerwowany?

Cesarzową widziałem dotąd raz, w skrzydle Ioricha, kiedy wypytywano mnie o śmierci osobistości z Domu Jherega. Wyszło na to, że niewysoko w sumie stojący w organizacji niejaki Taishatinin (albo jakoś tak, nigdy nie mogłem zapamiętać) kupił sobie tytuł książęcy. A potem dał się zabić. Pojęcia nie mam, na grzyba był mu ten tytuł, chyba że jego mania wielkości była bardziej rozwinięta, niż podejrzewałem. W każdym razie był księciem, a kiedy ginie książę, Imperium zobowiązane jest przeprowadzić śledztwo.

No to przeprowadziło. I jakoś przy tej okazji wypłynęło moje nazwisko, więc po spędzeniu paru tygodni w cesarskich lochach, tak profilaktycznie ma się rozumieć, przesłuchano mnie w końcu. Przesłuchano jak najbardziej formalnie, czyli „Pod Kulą”. Oznaczało to, że wszystkiemu przysłuchiwała się Cesarzowa i wszyscy notable Domu Jherega nie mający nic wspólnego z organizacją. A Kula informowała Cesarzową, czy mówię prawdę

czy nie. Pytania były czasami wręcz pyszne, a ja robiłem, co mogłem, by nie powiedzieć prawdy, nie łżąc przy tym w wykrywalny sposób. Na pytanie, kto według mnie jest winny jego śmierci, odparłem z całym zresztą przekonaniem, że on sam. A Kula pokazała, że mówię prawdę. Bo mówiłem — zadarcie ze mną w taki sposób, w jaki on to zrobił, było proszeniem się o śmierć.

Jedyny raz Kula złapała mnie na kłamstwie, gdy powiedziałem, że czuję się zaszczycony przebywaniem w tak szacownym gronie.

Ponieważ koncentrowałem się na przeżyciu, zarejestrowałem jedynie obecność Cesarzowej. Siedziała nieco za mną i z boku i pamiętam tylko, że zastanawiałem się, co też może myśleć na temat całej sprawy. Zwróciłem uwagę tylko na dwie rzeczy — że jak na Dragaeriankę jest piękna i że ma złociste oczy.

Tym razem zauważyłem nieco więcej szczegółów. Kiedy przestałem czuć się jak paczka przekazywana przez jednego uprzejmego funkcjonariusza drugiemu. Przy tej okazji musiałem przedstawiać się z nazwiska i tytułu częściej niż przez cały poprzedni rok. W końcu wpuścili mnie do sali tronowej. Zdążyłem dojść do siebie, zanim usłyszałem swoje nazwisko wyczytane raczej donośnie, więc jak mi przykazano, podszedłem do tronu.

Cała sala była jasno oświetlona świecami i kulami, no i pełna rozbawionej arystokracji. Albo udającej rozbawienie. Cesarzowa miała na sobie suknię w barwie oczu i włosów. Miała też delikatne rysy i wysoko położone brwi. Ogólnie jej twarz była naprawdę piękna. Sala tronowa znajdowała się w skrzydle Feniksa, a ona zasiadała na tronie wyrzeźbionym z bryły onyksu i ozdobionym rytami wszystkich siedemnastu domów. Ryty

napuszczono złotem. Odruchowo poszukałem symbolu Domu Jherega. Dostrzegłem część skrzydeł ponad jej prawym ramieniem. Zauważyłem też niewielką czarną poduszkę, na której siedziała, i spodobało mi się to. Nie każdy byłby na tyle pomysłowy, by siedzieć na czymś miękkim i ciepłym. Większość, jak podejrzewam, siedziałaby grzecznie na twardym i zimnym, no bo z takiego materiału wykonano tron.

Szambelan powtórzył moje nazwisko, ciszej już na szczęście, toteż wystąpiłem naprzód i złożyłem najlepszy jaki potrafiłem dworski ukłon. Był tak głęboki, że Loiosh omal nie spadł na pysk, ale też się zachował i całkiem dostojnie utrzymał na moim ramieniu.

— Witamy, baronecie Taltos — powiedziała Cesarzowa.

Głos miała przyjemny, ale zupełnie normalny. Przyznaję, że nie wiem, czego się spodziewałem, ale zaskoczyło mnie, że brzmi tak zwyczajnie.

— Dziękuję, Wasza Wysokość. To dla mnie prawdziwy zaszczyt.

— Doprawdy? — spytała z lekkim rozbawieniem. — Zwykle bywa pan ostrożniejszy w wypowiedziach.

Cholera, pamiętała przesłuchanie.

— Rozmowa z Waszą Miłością to prawdziwa przyjemność — odparłem. — Zawsze wołałem otwarcie kłamać.

Tym razem się roześmiała.

To akurat mnie nie zaskoczyło. Zaskoczył mnie brak oburzonego szmeru dworaków. Może znali ją lepiej niż ja i woleli się nie wysilać.

Tymczasem Cesarzowa oświadczyła:

— Musimy porozmawiać. Proszę poczekać, baronecie Taltos.

— Jestem na rozkazy Waszej Wysokości.

I jak mnie nauczono, wycofałem się siedemnaście kroków tyłem.

Że się przy tym nie potknąłem, uważam za prawdziwy wyczyn. Potem już normalnie odszedłem w bok i nastawiłem się na pełne nudy czekanie. A potem zauważyłem Aibynna ściskającego pod pachą bęben i rozmawiającego ze śpiewakiem, którego znałem, i kimś trzecim trzymającym instrument podobny do wschodniej bałalajki.

Podszedłem i przywitałem się.

Aibynn był nieco zaskoczony moim widokiem, ale także jakiś taki rozkojarzony. Thoddi był lepiej zorganizowany — przedstawił mnie trzeciemu muzykowi. Nazywał się Dav—Hoel i należał do Domu Athyry.

— Czyli tercet egzotyczny — podsumowałem bez złośliwości.

— Powinien być kwartet, ale Aandler odmówił grania przed Cesarzową — wyjaśnił Thoddi.

— Odmówił?!

— On jest z Domu Ioricha i strasznie mu się nie podobał ten przymusowy zaciąg rekruta. Wiesz, oni są dziwni.

— Wiem — uciąłem temat. — Powodzenia.

Parę minut później przyszła ich kolej.

Thoddi śpiewał jakąś starą piosenkę, rodem z tawerny, o wyrobie świec, aleja skupiłem uwagę na Aibynnie. Jak zwykle miał senny wyraz twarzy, jakby słyszał coś, czego inni nie słyszą, i przyglądał się światu spod na wpół przymkniętych powiek. Jakby widział coś, czego inni nie widzą.

Albo wiedział coś, czego inni nie wiedzą.

Na ten przykład, że ma zamiar zabić Cesarzową...

Loiosh, on ma zamiar to zrobić.

*Wydaje mi się, że tak.
Widzisz jakąś drogę ucieczki?
Bez zwracania na siebie uwagi? Nie.
Cholera, ja też nie.
To co robimy?*

Z chorobliwą fascynacją obserwowałem, jak Aibynn zaczyna się poruszać, nie przestając grać. Najpierw zakręcił się w miejscu, a potem, gdy śpiewak umilkł, zaczęło nim miotać w tę i z powrotem.

Przeniosłem spojrzenie na Cesarzową — rozmawiała o czymś z kimś z Domu Tiassy, ale przyglądała się muzykom. Spojrzałem ponownie na Aibynna. Przesuwał się coraz bliżej tronu. A robił to tak, że nie wzbudzało to niczyich podejrzeń. Ba, mało kto zwrócił uwagę, że się doń przybliżył. Jeśli miał dmuchawkę, shurikena czy cokolwiek zatrutego, mogło mu się udać.

Powoli ruszyłem ku niemu, starając się poddać ruchowi tłumy. Niestety był niewielki. Spojrzałem przy tym na Cesarzową. Patrzyła na mnie z tak dziwnym wyrazem twarzy, że wmurowało mnie w podłogę.

A potem leciutko potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

Utwór zakończył się solówką na bębnie.

Muzycy ukłonili się i Aibynn zaczął kolejny instrumentalny kawałek, którego nawet nie próbowałem rozpoznać. Powoli cofnąłem się, potrząsając głową i zastanawiając, co się właściwie stało. Sam nie wiedziałem, czy powstrzymała mnie własna wyobraźnia, czy też było to działanie Cesarzowej przy subtelnej pomocy Kuli.

Pseudobałajka dołączyła do bębna i teraz obie znęcały się nad melodią. Ale sądząc z reakcji obecnych, tylko mnie się to nie

podobało. Reszta była pod dużym wrażeniem, a Cesarzowa wyglądała na zachwyconą. Cóż, nigdy nie byłem melomanem...

Potem zaśpiewali jakąś głupią piosenkę.

A później zagrali coś, co według nich nazywało się „Tańcem Szaleńca”.

A jeszcze później Loiosh wrzasnął:

Szefie, pobudka! Cesarzowa.

Co?!... A, tak.

Przywołała mnie gestem, nadal nie kryjąc rozbawienia.

No to poszedłem i skłoniłem się raz jeszcze.

— Proszę za mną, baronecie — powiedziała Cesarzowa.

— Naturalnie, Wasza Wysokość.

Wstała, przeciągnęła się bynajmniej nie dostojnie i rzuciła muzykom sakiewkę. A potem wyszła przez znajdujące się za tronem wyjście przesłonięte kotarą.

Poszedłem w ślad za nią, czując się, łagodnie mówiąc, nieswojo.

Znaleźliśmy się w korytarzu, a Cesarzowa odwróciła się i poczekała, aż ją dogonię. W dalszą drogę wyruszyliśmy już we czworo: Cesarzowa Zerika, Kula, Loiosh i ja. Szliśmy w milczeniu i z nudów albo ze zdenerwowania zacząłem się zastanawiać, ile prawdy jest w pogłoskach, że jej kochanek jest człowiekiem...

Zauważyła, że się jej przyglądam, więc odwróciłem wzrok.

I zaczerwieniłem się nie wiedzieć czemu.

— Ładnie to tak podejrzewać o świństwa własną monarchinię? — spytała bardziej rozbawiona niż urażona.

— Jakie świństwa?! Po prostu zastanawiałem się, ile prawdy jest w plotkach, Wasza Wysokość.

— O moim kochanku?

— Hmm... no... tak.

— Plotki są prawdziwe. Jest człowiekiem i ma na imię Laszlo. Jest moim kochankiem dlatego, że go kocham, i to jest jedyny powód. A człowiekiem dlatego, że się nim urodził.

Oblizalem nerwowo wargi.

— W jaki sposób potrafisz, pani, czytać w moich myślach tak, że mój familiar o tym nie wie?

Roześmiała się.

— Nie czytam w myślach. Obserwuję twarz i mowę ciała. I jestem domyślna. Ciągłe przebywanie na dworze to dobra szkoła, a ja jestem pojętną uczennicą. Bez fałszywej skromności: uważam, że jestem w tym naprawdę dobra.

— I to wszystko?

— Najczęściej tak. Na przykład zauważyłam, że próbował pan przeszkodzić w zamachu na moje życie, który nie miałby miejsca. Zapomniał pan, że Kula chroni życie Cesarza?

Tym razem zaczerwieniłem się solidnie, bo o tym rzeczywiście zapomniałem.

Co nie znaczyło, że miałem zamiar się do tego przyznać.

— Kula nie zawsze okazywała się w pełni skuteczna.

— Pan nie jest Mariem. Podobnie jak pański przyjaciel z Greenaere.

— Więc wymyśliłem sobie to wszystko?

— Tak.

— Skąd więc wiedziałaś, pani, co chcę zrobić?

— Widać to było po pańskim zachowaniu, a pan jest zawodowym zabójcą.

— Ja?!

— Tak, pan.

Nie było sensu zaprzeczać, mając Kulę nad głową, więc się nie wysilałem.

Minęliśmy narożnik i weszliśmy do szerokiego, białego korytarza pozbawionego mebli.

Ciszę przerwała Zerika.

— Z jakiegoś powodu najlepiej mi się myśli, gdy tu spaceruję.

— Zupełnie jak Tiassa — palnąłem, nim zdążyłem ugryźć się w język.

— Co?

— Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. To takie powiedzenie dotyczące przedstawicieli różnych domów: Tiassa myśli, chodząc, Smok stojąc, Lyorn siedząc, a Dzur myśli po fakcie.

Roześmiała się szczerze.

— A Jhereg?

— Cały czas, Wasza Wysokość. Jakoś nic nie mogę na to poradzić.

— Znam skądś tę przypadłość.

Zapadła cisza.

Cesarzowa wydawała się bardzo bezpośrednia w rozmowie, ale cały czas wokół jej głowy krążyła Kula zmieniająca od czasu do czasu kolor. Chwilę temu była brunatna, a teraz klarownie błękitna. Byłem ciekaw, czy nie próbuje zbić mnie z tropu.

Niespodziewanie Cesarzowa powiedziała:

— Jest pan niezwykłym człowiekiem, baroncie Taltos. Sprowadził pan do Imperium kogoś, kogo uważa pan za zabójcę. Pozwolił mu pan zbliżyć się do mnie, a równocześnie był pan gotów mnie bronić, gdy myślał pan, że spróbuje mnie zaatakować.

— Skąd wiesz pani, że on jest z Greenaere?

— Zaczęłam to podejrzewać, gdy odkryłam, że psychicznie nie istnieje. Nie ma go po prostu. Sprawdziłam w pamięci Kuli i

dowiedziałam się, skąd pochodzi jego ubranie i instrument.

— Rozumiem. Dlaczego mnie wezwałaś, pani?

— Żeby przypomnieć sobie, jak pan wygląda, i poznać go. Pamiętam pana co prawda z przesłuchania, ale znacznie bardziej od osoby zapadł mi w pamięć zręczny taniec wokół prawdy w czasie tegoż przesłuchania... Chciałam lepiej poznać kogoś, kto odważył się grozić reprezentantowi własnego domu na terenie pałacu. I czyja żona jest najlepszą przyjaciółką mojej następczyni.

Uśmiechnąłem się, przypominając sobie naturę tej przyjaźni.

Zerika także się uśmiechnęła.

— Tak — przyznała. — Wiem wszystko o ich duecie.

— Skąd?

Potrząsnęła głową.

— Norathar nic mi nie powiedziała, jeżeli o to chodzi. No, ale jestem w końcu Cesarzową i podejrzewam, że mam siatkę wywiadowczą lepszą nawet niż pan, lordzie Taltos.

— Nie wątpię w to, Wasza Wysokość.

Mogłem tylko mieć nadzieję, że mimo to nie wiedziała wszystkiego. Bo gdyby była na przykład świadoma, że to ja sprowokowałem tę wojnę, już bym siedział w celi sąsiadującej z celą Cawti.

— Przepraszam, że pytam, ale czy to zwyczajowy sposób spędzania Nowego Roku?

— Przeze mnie?

— Tak, Wasza Wysokość.

— Owszem, w sytuacji, gdy równocześnie grozi nam wojna i rebelia w stolicy. Martwi mnie taka perspektywa, a trzeba w dodatku podjąć pewne ważne decyzje... na przykład, czy mam ustąpić i pozwolić przejąć władzę Domowi Smoka. Dziś na

przykład spotkam się ze wszystkimi, którzy, jak sędzę, mogą w tej sprawie odgrywać jakąś rolę.

— A dlaczego uważasz, pani, że ja będę odgrywać jakąś rolę w wojnie i rebelii?

— Mogłabym udzielić na to pytanie paru odpowiedzi, ale najprostsza jest ta, że gdy szukałam w Kuli takich osób, pańskie nazwisko wyłoniło się jako pierwsze. Może pan mi powiedziec dlaczego?

Przybrałem neutralny wyraz twarzy i odparłem zwięźle:

— Nie.

— Nie może pan czy nie chce?

— Nie chcę, Wasza Wysokość.

— Dobrze — skwitowała.

A ja ponownie zacząłem oddychać.

I spytałem:

— Wojna jest pewna, Wasza Wysokość?

— Tak.

— Przykro mi to słyszeć.

— Mnie też. Tym bardziej że Greenaere sprzymierzona z Elde będzie trudnym do pokonania przeciwnikiem. Praktycznie niemożliwe jest przeprowadzenie desantu na którąś z nich, za to my mamy zbyt długą linię brzegową, by móc jej skutecznie bronić. W końcu może dojść do wojny na wyniszczenie i choć ich pokonamy, będzie to kosztowne pod każdym względem.

— Czego oni chcą, Wasza Wysokość?

— Nie wiem. Wygląda na to, że niczego. Może stoi za tym szaleniec. A może bóg.

Minęliśmy kolejny zakręt korytarza, także w lewo, i podłoga zaczęła się delikatnie wznosić.

— Gdzie teraz jesteśmy, Wasza Wysokość?

— Dokładnie nie wiem. Tak często tędy chodzę, że nigdy nie zastanawiałam się, jak dokładnie biegnie ten korytarz. Nie krzyżuje się z innymi i nie ma w nim drzwi. Przynajmniej ich nie znalazłam ani o nich nie słyszałam. Czasami myślę, że został zbudowany wyłącznie po to, by nim chodzić i myśleć.

— W takim razie stoi pustkami w czasach rządów Smoka, Lyorna i Dzura.

Znów się roześmiała.

— Chyba ma pan rację.

Znów uszliśmy kawałek w milczeniu.

— Mam pytanie, Wasza Wysokość — odezwałem się. — Dlaczego moja żona przebywa w cesarskich lochach?

Westchnęła.

— Wyjaśnijmy sobie najpierw jedno. To nie są lochy. Lochy to ciemne i wilgotne miejsce, gdzie jakiś satrapa przetrzymuje, dajmy na to, kupców, których nie może w majestacie prawa powiesić, a których towary podobają mu się znacznie bardziej niż ich ceny. Natomiast lady Cawti Taltos, hrabina Lostguard Cleft i Environs, znajduje się w cesarskim więzieniu podejrzana o spisek przeciw tronowi i Kuli.

Przygryzłem wargę, po czym odpowiedziałem:

— Zapamiętam, Wasza Wysokość.

— Cieszy mnie to. Teraz wracając do pańskiego pytania: dlaczego się tam znajduje. Ano dlatego, że chce. Przychyliłam się do prośby o jej zwolnienie, ale nie skorzystała z tej możliwości.

— Wiem, Wasza Wysokość. Lady Norathar przedłożyła tę prośbę. Dlaczego moja żona odmówiła?

— Ona nie tyle wyraziła chęć pozostania więźniem, ile odmówiła podpisania dokumentu wymaganego, by wyjść na wolność.

— Jakiego dokumentu, Wasza Wysokość?

— Oświadczenia, że nie będzie brać udziału w żadnych działaniach sprzecznych z interesami Imperium.

— Ach! To wyjaśnia sprawę!

Cesarzowa nic nie powiedziała, więc spytałem po chwili:

— Można wiedzieć, dlaczego została aresztowana, Wasza Wysokość?

Przez chwilę milczała, po czym odrzekła wolno:

— Zastanawiam się, ile pan wie i ile powinnam panu powiedzieć, lordzie Taltos.

— Wiem, że z prośbą o jej aresztowanie wystąpił Dom Jherega. Natomiast nie wiem, dlaczego Imperium się do niej przychyliło.

Czyli mówiąc po prostu, dlaczego Cesarzową z Domu Feniksa w ogóle obchodzą problemy wewnętrzne Domu Jherega. Zgodnie z logiką nie powinny. Ale takich rzeczy, zwłaszcza w taki sposób, nie mówi się komuś takiemu.

— Pan, zdaje się, myśli, że mogę sobie pozwolić na ignorowanie każdej prośby czy petycji wedle woli i widzimisię.

To było stwierdzenie, nie pytanie, ale mimo to odparłem:

— Mówiąc krótko: tak. Jesteś wszak, pani, Cesarzową.

— To akurat się zgadza: jestem Cesarzową — potwierdziła i zamyśliła się.

Podłoga zaczęła się wznosić bardziej zdecydowanie, a ja zacząłem odczuwać zmęczenie.

W końcu Zerika przerwała milczenie:

— Bycie Cesarzową czy Cesarzem oznaczało w praktyce wiele różnych rzeczy w naszej długiej historii. Znaczenie roli władcy zmienia się z każdym kolejnym cyklem i za każdym razem, gdy nowy dom przejmuje władzę. Zależy to nawet od konkretnej osoby, która zostaje Cesarzem. Teraz na początku drugiego

Wielkiego Cyklu wszyscy mający historyczne zacięcie studiują zawzięcie, jaką drogę i w jaki sposób przebyliśmy, by mieć szansę nie powtórzyć popełnionych błędów. Cesarz, baronec Taltos, rządził Imperium jedynie sporadycznie, na przykład Korotta VI panował między zniszczeniem baronów północy i przybyciem ambasadora księcia Tinaana.

— Przyznam, Wasza Wysokość, że o tych sprawach mam jedynie mgliste pojęcie.

— Nic nie szkodzi, bo nie o tym rozmawiamy. Sytuacja jest następująca: chłopci wytwarzają żywność, której dystrybucją zajmuje się arystokracja. Rzemieślnicy wytwarzają dobra, które dystrybuują kupcy. A Cesarz obserwuje i pilnuje, by nic nie zakłócało tego przepływu, oraz broni Imperium przed kataklizmami, które od czasu do czasu próbuje stworzyć świat. Katastrofy, o których mówię, trudno byłoby panu sobie nawet wyobrazić, gdyż opowieści o trzęsącej się ziemi czy buchającym z niej ogniu lub wiatrach unoszącym ludzi i łodzie nie są przesadą. Takie rzeczy były na porządku dziennym w czasie Bezkrólewia i byłyby nadal, gdyby nie istniała Kula. Zadaniem Cesarza jest obserwować, badać i czekać, aż coś będzie zagrażało Imperium... Gdy taka groźba powstanie, ma działać i dysponuje do tego celu trzema narzędziami. Wie pan jakimi?

— Domyślam się dwóch z nich: Kula i Warlord.

— Słusznie. Trzecie jest subtelniejsze. Chodzi o mechanizm działania Imperium, od Gwardii Feniksa zaczynając, przez sądy, adeptów magii wszelkiej maści, a na szpiegach kończąc. Dzięki tym narzędziom mogę dopilnować, by zboże z północy dotarło kiedy trzeba na południe, a stal z zachodu zmieniła się w broń potrzebną na wschodzie. Ja nie rządę, ja reguluję. Fakt: jeśli wydam rozkaz, zostanie on wykonany, ale żaden Cesarz nie

może mimo pomocy Kuli wiedzieć, czy każdy zarządca kopalni składa uczciwe raporty i wysyła każdą tonę rudy tam, gdzie mówi, że wysyła.

Zdziwiło mnie to, co usłyszałem, więc spytałem:

— W takim razie kto rządzi Imperium, Wasza Wysokość?

— Gdy na północy panuje głód, rybacy z południa. Gdy kopalnie i kuźnie na zachodzie produkują, baronowie transportu. Gdy ludzie zagrażają naszym granicom, dowodzący wojskami na wschodzie. Natomiast jeśli idzie o aspekt polityczny, sprawa nie jest tak prosta, jak może pan sądzić. Na początku nikt nie rządził, potem poszczególne domy przez swych następców, jeszcze później robili to notable wszystkich domów. Przez krótki okres pod koniec ostatniego cyklu rządził Cesarz, co zakończyło się jego śmiercią, spiskiem i katastrofą. Teraz coraz bardziej wydaje mi się, że rządzą kupcy, zwłaszcza ci kontrolujący przepływ żywności i towarów wewnątrz Imperium. Sądzę, że w przyszłości będą to adepci coraz bardziej rozwijający swe możliwości. I to dosłownie z dnia na dzień.

— A ty, pani? Co ty w takim razie robisz?

— Obserwuję rynki, kopalnie, pola uprawne, księząt i hrabiów. Bronię kraju przed katastrofami, doprowadzam wszystkie domy, różnymi zresztą metodami, do robienia tego, co dobre dla... zdaje się, że coś pana bardzo zaskoczyło, baronecie Taltos?

— Wszystkie domy? — powtórzyłem z niedowierzaniem. — Naprawdę wszystkie?

— Tak. Nie zorientował się pan, że Dom Jherega ma swoje miejsce w strukturze Imperium? Przecież to oczywiste, że musi je mieć, bo inaczej jego istnienie nie byłoby tolerowane. Dom Jherega żeruje na Domu Teckli, ale równocześnie utrzymuje jego

członków w zadowoleniu i błogości, dostarczając im rozrywek, których potrzebują. Nie mam na myśli chłopów, lecz tych, którzy żyją w miastach i wykonują najgorsze prace fizyczne. Takie, których nie chce się podjąć nikt inny. I tak powinno pozostać, gdyż nieszczęśliwi przestaliby skutecznie pracować, co odbiłoby się na funkcjonowaniu całego miasta. To z kolei spowodowałoby niezadowolenie arystokracji, kupców i rzemieślników i naruszona zostałaby cała delikatna równowaga naszego społeczeństwa.

Podłoga zaczęła dla odmiany łagodnie opadać, co wybitnie spodobało się moim nogom.

— A ci ludzie zagrozili interesom Domu Jherega, więc należało ich usunąć — podsumowałem.

— Dom Jherega tak uważa, lordzie Taltos.

— A co Wasza Wysokość sądzi? Stanowią zagrożenie dla Imperium czy nie?

Uśmiechnęła się, ale już bez radości.

— Bezpośrednio nie i gdyby nie wojna, najprawdopodobniej w ogóle nie miałyby to znaczenia. Teraz jednak nie możemy sobie pozwolić na żadne zaburzenia wewnętrzne, które mogłyby wystąpić, gdyby Teckle stali się nieszczęśliwi czy niezadowoleni. Poważne niepokoje w stolicy mogłyby w tej chwili mieć naprawdę przykre konsekwencje dla całego Imperium.

Przypomniało mi się, co kiedyś usłyszałem od pewnego Teckli — skoro wszyscy tak się o nich troszczą, to dlaczego sami nie wstąpią do Domu Teckli, ale ugryzłem się w język.

Zamiast tego spytałem:

— I to wszystko zależy od jednej kobiety z Domu Jherega będącej w dodatku człowiekiem?

— Tak przynajmniej uważa dom, do którego oboje należycie. I

bardzo mu zależy, by to nie nastąpiło.

— Na pewno mniej niż mnie *zależy* na odzyskaniu żony.

Dotarliśmy z powrotem do zasłony i ponownie znaleźliśmy się w sali tronowej. Muzyka umilkła, dworzanie ukłonili się, a najzabawniejsze było to, iż wyglądało to tak, jakby mnie się kłaniali. Cesarzowa zasiadła na tronie. Ja się wycofałem, a Zerika przywołała gestem kobietę w barwach Domu Ioricha i oznajmiła:

— Niniejszym rozkazuję i wymagam uwolnienia bez żadnych warunków i ograniczeń hrabiny Lostguard Cleft i Environs!

Mowę mi z wrażenia odebrało.

Lekcja dwunasta

Umiejętności przetrwania – podstawowe

Dwóch przedstawicieli Domu Smoka w złotych pelerynach Gwardii Feniksa i o obliczach marmurowych posągów dostarczyło Cawti na schody prowadzące do drzwi skrzydła Ioricha. „Dostarczyło” to najwłaściwsze określenie, przynieśli ją bowiem, trzymając pod ramiona, po czym delikatnie ustawili na najniższym stopniu, puścili i uklonili się. I nie odwracając się, weszli do środka. Obaj mieli przepaski z godłem Domu Ioricha, a więc należeli do straży więziennej, toteż ich uprzejmość była mocno zaskakująca.

Przyjrzałem się Cawti z odległości trzech stóp i nie znalazłem żadnych śladów zazwyczaj związanych z pobytem w więzieniu. Wzrok miała bystry, minę zaciętą, ubranie czyste.

Przyjrzała mi się i spytała:

— Ty jesteś za to odpowiedzialny?

I pokazała mi zwinięty pergamin, który trzymała w prawej dłoni.

— Podejrzewam, że ja. Co to jest?

— Nakaz zwolnienia. Jest tam napisane, że uznajemy twoją niewinność i masz tego więcej nie robić.

— To ja jestem za to odpowiedzialny. A ty jesteś wolna.

— Mogłam być już wcześniej, gdybym chciała.

— Pozwolisz, że nie będę cię przeproszał?

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— Tak chyba będzie najlepiej.

— Należał ci się rewanż za uwolnienie mnie.

— To nie to samo.

— Może. Jak było?

— Nudno.

— Cieszę się, że tylko nudno. Chcesz wrócić do domu?

— Bardzo. Muszę się wykąpać, zjeść coś ciepłego i...

Nie dokończyła.

Cisza zaczęła się przeciągać, więc spytałem:

— I co dalej?

— I wziąć się z powrotem do pracy.

— A, no tak. Przejdziemy się czy będziemy chorzy?

Zastanowiła się.

— Wiesz, przed Bezkrólewem, gdy teleportacja była znacznie trudniejsza, istnieli Teckle zarabiający wożeniem różnych osób po mieście. Pojazdy, którymi kierowali, ciągnęły konie albo osły, a najmniejsze ciągnęli sami.

— Koni nie lubię. A co to osły?

— Nie jestem pewna. Sądzę, że mniejsza odmiana koni.

— To ich też nie lubię. Widzę, że zabijałaś czas lekturą historyczną?

— Raczej lekturami; wiesz, że szybko czytam. Magia zmieniła cały świat i zmienia go nadal.

— A co do tego masz całkowitą rację.

— Przejdźmy się.

— Doskonale.

I do domu dotarliśmy piechotą.

* * *

Znalazłem trochę suszonych grzybów, zalałem je wrzątkiem i zostawiłem, by napęczniały. Po dobrym kwadransie pokroiłem je wraz z różnymi odmianami papryki, małymi cebulkami i odrobiną pora. Dodałem pokrojone na cienkie paski mięso kethny i upiekłem całość z czosnkiem i imbirem. Cawti siedziała na stole kuchennym i przyglądała mi się. Żadne z nas się nie odzywało.

Miałem jeszcze trochę pasty zrobionej przez dziadka. Znalazłem parę jeszcze świeżych truskawek, więc dodałem je do koktajlu z utartych jagód, cynamonu, cukru i soku z cytryny. Do tego wypiliśmy likier truskawkowy — rzadkość znaną przez Kierę w jakimś sklepie z winami, który odwiedziła po zamknięciu. Ponieważ sama za nim nie przepadała, zrobiła mi prezent.

— Jak można trzymać się z dala od kogoś, kto tak gotuje? — spytałem, gdy skończyliśmy jeść.

— Dzięki żelaznej samokontroli.

— Aha.

Nalałem likieru do kieliszków i zestawiałem talerze na podłogę dla Roczy i Loiosha. A potem rozparłem się wygodnie w fotelu i sącząc trunek, przyjrzałem się uważnie Cawti. Mimo lekkiego tonu, w jakim odpowiedziała, w jej oczach nie było wesołości. Od dawna jej tam nie było.

— Co musiałbym zrobić, by cię zatrzymać? — spytałem.

Wbiła wzrok w blat stołu.

— Nie wiem — przyznała. — Nie wiem, czy to jeszcze możliwe. Zmieniłam się.

— Wiem. Podobasz się sobie w nowym wcieleniu?

— Nie jestem pewna. A poza tym przemiana jeszcze się nie zakończyła. Nie wiem, czy moglibyśmy zmienić się razem.

— Wiesz, że w moim wypadku pewnych rzeczy nie da się zmienić. Resztę można próbować.

— A czego nie da się zmienić?

— Spytaj, a się dowiesz.

Potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Była to kolejna wariacja tego samego tematu. Podobne rozmowy toczyliśmy już wielokrotnie z takim samym, czyli żadnym, rezultatem.

Wzruszyłem ramionami i wyszedłem do sąsiedniego pokoju, gdzie dobrze było słyszeć ulicznych grajków. Ponieważ od czasu do czasu rzucałem im sakiewkę z drobnymi, często grali pod moim oknem, co lubiłem. Teraz też grali.

Przypomniały mi się wspólne sprawy, posiłki „U Valabarna”, klawa w małej kafejce... skląłem się w duchu i zmusiłem do zaprzestania rozpamiętywań i skupienia na muzyce.

* * *

Krótko potem wrócił Aibynn z bębniem owiniętym w gruby kawałek miękkiego materiału. Odstawił go ostrożnie pod ścianę i usiadł.

— Jak poszło na dworze cesarskim? — spytałem.

— Wspaniale. Cesarzowa chce, żebyśmy jeszcze zegrali.

— Moje gratulacje.

— A co ty tam robiłeś?

— Odzyskiwałem żonę.

— Ach — przyjrzał się Cawti czytającej gazetkę. — Dobrze, że ci się udało.

Podziękowała mu uśmiechem i oznajmiła:

— Idę się kąpać.

— Pomóc ci? — spytałem.

— Nie — odparła także z uśmiechem.

I wyszła.

Jak nie, to nie — samoobsługa.

Kiedy napuściła wody do wanny, Aibynn zaczął delikatnie bębnić palcami jednej dłoni i pałeczką. Bęben najpierw zaszumiał, potem zajęczał, a potem zaśpiewał. Przyznaję, że tak ładnie, że przestałem myśleć o czymkolwiek.

Może nauczę się grać na bębnie...

* * *

Cawti opuściła łazienkę po dobrej godzinie ubrana w swój ulubiony czerwony szlafrok przepasany białą szarfą. Ten strój dobrze kontrastował z jej włosami i oczami.

Poczekalem, aż usiądzie na sofie, i spytałem:

— Jutro wracasz do południowej części?

— Tak. Jak długo pozostanę na wolności, będę robić, co tylko się da, by zmusić Imperium do wypuszczenia Kelly’ego i pozostałych.

— I myślisz, że ci się uda?

— Nie ma innej możliwości.

Przypomniała mi się rozmowa z Cesarzową i spytałem:

— Wiesz, jak się kończy zapędzanie Dzura w sytuację bez wyjścia?

— Wiem. A wiesz, jak się kończy zabijanie tysięcy ludzi w wojnie, która ich nic nie obchodzi? Zamykanie ich w więzieniach i zmuszanie głodem do uległości? Bezkarność Gwardii bijącej i zabijającej ludzi od lat?

— Ja wiem. Ale sędzę, że ty wiesz co innego.

— Jutro cały dzień mnie nie będzie.

— Tego się spodziewałem.

— Dobranoc, Vlad.

— Dobranoc.

Wyszła do sypialni, a ja przeniosłem się na sofę.

Aibynn przestał grać. Spojrzał na mnie, życzył mi, aby nic mi się nie śniło, i wyszedł do swojego pokoju. Bęben na szczęście zostawił.

Przez otwarte okno spoglądałem w noc. Loiosh i Rocza umościli się na moich kolanach. Podrapałem każde z nich i sam nie wiem, kiedy zasnąłem.

* * *

Śniło mi się coś, czego szczęśliwie nie zapamiętałem. Miało to podobny skutek, jakby mi się nic nie śniło. Za oknami było już jasno, a ktoś natarczywie dobijał się telepatycznie. Nie lubię z nikim gadać nawet w ten sposób, zanim się nie umyję i nie przepłuczę ust, ale natręt był wyjątkowo nachalny.

Czego?! — spytałem w końcu. Kogo tam niesie po nocy?

Twojego zaufanego zastępcę. A noc już się dawno skończyła.

Cieszę się jak nie wiem co. O co chodzi, Kragar?

Świetlikowi właśnie zaproponowano sześć tysięcy za niewtrącanie się, gdy ktoś wyśle cię w zaświaty.

Sześć tysięcy za bezczynność?! Proszę, proszę, zyskałem na wartości.

Odniosłem wrażenie, że miał ochotę.

Byłby głupi, gdyby jej nie miał. Dlaczego się nie skusił?

*Bo uważa cię za szczęściarza. Ale jest zaniepokojony.
Sensowny facet. Daj mi się obudzić. Skontaktuję się z tobą.
Będę czekał.
Wstałem, umyłem się szybko i oceniłem sytuację.
Loiosh, tym razem mamy kłopoty!
Mamy, szefie. To kupa forsy i ktoś się w końcu skusi.
Ano właśnie.*

Zrobiłem sobie klavy i sprawdziłem, kto jeszcze przebywa w domu. Po Cawti nie było już śladu, za to Aibynn smacznie spał. Rozpaliłem w piecu, podgrzałem pieczywo i otworzyłem słoik przetworów.

Zjadłem, wypilem i zabrałem się do pracy koncepcyjnej.

Ktoś z takimi zasobami finansowymi i możliwościami jak Boralinoi musiał mnie w końcu dopaść. Prędzej czy później któryś z moich pracowników da się skusić. Sam parę lat temu dałbym się skusić, bo w tym interesie mniej liczyła się lojalność osobista, znacznie bardziej lojalność wobec gotówki. Istniały tylko trzy sposoby, by mu to uniemożliwić, na jakie wpadłem. Po pierwsze, zabić go, nim on mnie zabije. Po drugie, przebicie, jego oferty, na co nie miałem środków. No i po trzecie, wyjście, które pozwalało przeżyć, ale niosło ze sobą kilka potencjalnych konsekwencji na tyle poważnych, że wymagały dokładnego rozważenia.

Zrobiłem sobie drugi kubek klavy, dodałem miodu i śmietanki i pijąc ją, myślałem intensywnie. Potem zmyłem talerze, umyłem ręce i zacząłem działać.

Kragar! Odezwij się.

Kto?

Twój szef. Na którą możesz zebrać wszystkich w biurze?

Co znaczy „wszystkich”?

Wszystkich silnorękich, siebie i Melestava.

To na tyle ważne, że muszą przerwać normalne zajęcia?

Raczej tak, zwłaszcza że nie ma takiej pory w ciągu doby, żeby część z nich nie była w pracy.

Fakt. Za godzinę?

Dobrze. Zjawię się na czas.

Chcesz obstawę?

Nie, tylko upewnij się, że w okolicy nie ma nikogo, kto by chciał mnie załatwić.

Dobra, Vlad. Będziemy czekali za godzinę.

Ubrałem się, sprawdziłem wyposażenie i zabrałem Loiosha i Roczę.

Aibynn zdążył wstać, ale nie miałem ochoty na pogawędkę, więc wyszedłem. Loiosh sprawdził, czy ulica jest czysta, toteż odszedłem spokojnie za róg i teleportowałem się.

* * *

Na miejsce docelowe teleportacji wybrałem zaułek w pobliżu biura usytuowany na tyle blisko, by dopaść w razie konieczności do wejścia biegiem, ale dający równocześnie możliwość ucieczki w dwóch innych kierunkach, gdyby ta droga okazała się zablokowana.

Wysłałem Loiosha, by zlustrował okolicę, i starym zwyczajem czekałem, aż żołądek wróci na miejsce.

Loiosh niczego podejrzanego nie odkrył, toteż spokojnym krokiem dotarłem do budynku mieszczącego biuro i wszedłem.

Czekali już na mnie w komplecie — dwunastu silnoręcznych, Kragar i Melestav. Ponieważ takiego zgromadzenia mój pokój by nie pomieścił, zebrali się w sekretariacie. Melestav jak zwykle siedział za biurkiem, reszta podpierała ściany. Przysiadłem na biurku i przyjrzałem się czternastu zabójcom.

Gdyby Kij był obecny, siadłby na pierwszym wolnym miejscu, wyciągnął nogi wygodnie i przyglądałby się wszystkiemu z mieszaniną zaciekawienia i ironii.

No, ale Kija już nie było...

Poczułem rosnący gniew, na który nie był ani najwłaściwszy czas, ani miejsce.

Stłumiłem go na tyle, na ile mogłem, i skoncentrowałem się na obecnych. Dzięki temu, że u mnie pracowali, interesy przynosiły dochody. Sama ich obecność powstrzymywała różnych cwaniaków przed próbami wśliznięcia się na mój teren. Udowodnili, że są dobrzy, w ostatniej wojnie z Herthem. Wcześniej zresztą też... Każdy z nich wielokrotnie narażał życie, pilnując mojego, gdy sprawdzałem teren nawet w najgorszym okresie. Jeżeli nie byłbym w stanie na nich liczyć, prościej było zabić się własnoręcznie. Skutek ten sam, a szybciej.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że nie ma wśród nich żadnej kobiety. Dla człowieka było to dziwne. Dla Dragaerianina normalne. Zgodnie bowiem z odwieczną tradycją organizacji większość kobiet stanowiły adeptki należące do Lewej Ręki Jherega, potocznie zwanej Kurwim Patrolem. Mężczyźni zaś tworzyli Prawą Rękę Jherega o wielu pomysłowych i zawsze niecenzuralnych nazwach potocznych. Obie organizacje ze sobą współpracowały, acz nie darzyły się miłością. Kiedyś, dawno temu, jakaś wyrocznia przepowiedziała mi, że na krawędź ruiny przywiedzie mnie moja lewa ręka. Od tej pory często

zastanawiałem się, czy miała na myśli Lewą Rękę Jherega.

W tej chwili było to jednak mało istotne.

— Po pierwsze, pozwólcie, że wyjaśnię wam, o co chodzi — zagailem. — Jegomość, który tym razem chce mnie zabić, jest znacznie potężniejszy niż ktokolwiek, z kim mieliśmy dotąd do czynienia. Stać go, by zaproponować sześć tysięcy sztuk złota każdemu, kto będzie się beczynn timer przyglądał, jak mnie zabijają. I to w tej chwili; sądzę, że jeśli nie znajdzie się chętny, stawka wzrośnie. Natomiast z drugiej strony ostatnią rzeczą, której by pragnął, jest otwarta wojna, toteż wątpię, by cokolwiek zagrażało interesom, których pilnujecie, czy też wam osobiście. Dlatego też każdy z was ma kilka możliwości. Może mnie naturalnie sprzedać, kusząca propozycja, ale wrócimy do niej za chwilę. To jedna. Druga to taka, że możecie robić to co dotychczas i mieć nadzieję, że i tym razem wygram. I wreszcie trzecia: możecie odejść, do czego, przyznaję uczciwie, będę próbował was zniechęcić.

Zrobiłem dłuższą przerwę i rozejrzałem się. Wszyscy słuchali z takimi samymi minami jak wtedy, nim zacząłem mówić. Póki co nie było najgorzej.

— W mojej ocenie sprawa rozwiąże się w ciągu paru najbliższych dni — podjąłem. — Jeżeli wygram, a wy będziecie nadal robić to co do tej pory, wasze dochody ulegną znaczącej poprawie. Jeżeli przegram, naturalnie sytuacja nie będzie tak radosna. Żaden z was nie będzie w tym czasie przydzielony do mojej osobistej ochrony, ponieważ nie będę jej potrzebował, a to z tego prostego powodu, że się ukryję, a interesami będzie zarządzał Kragar. Pozostanę z nim w kontakcie, ale tylko z nim. To równocześnie uniemożliwi zarobienie tych sześciu tysięcy w złocie temu z was, którego by to skusiło. Zasady te obowiązują od

zaraz, czyli od zakończenia tego spotkania. Mam nadzieję, że przemyślicie sprawę i zostanieie. Nic wam nie powinno grozić, a potencjalne zyski przewyższają ewentualne ryzyko. Są pytania?

Pytań nie było.

— Doskonale — zakończyłem. — Jeśli ktoś będzie chciał się wycofać, niech poinformuje Kragara. To wszystko.

Wstałem i wyszedłem szybko do siebie. Szybko na wypadek, gdyby któryś został już kupiony i teraz, wiedząc, że to ostatnia okazja, zdecydował się działać. Było to mało prawdopodobne, gdyż szansa, że przeżyję mimo zamieszania, była niezwykle mała, ale nie było to niemożliwe.

Nikt mnie nie zaatakował, toteż siadłem spokojnie za biurkiem, ale nadal na wszystko uważałem.

Dlatego tym razem zauważyłem, kiedy Kragar wszedł.

— I co? — spytałem.

— Wszyscy zostają.

— Doskonale. A co ty o tym wszystkim sądzisz?

— Miło, że mnie uprzedziłeś o nowych, obowiązkach, Vlad.

— Jakich nowych?! Przecież to właśnie w praktyce robisz od roku!

— Ale nie oficjalnie. Wiesz, gdzie się ukryjesz?

— Nie jestem do końca pewien, ale najprawdopodobniej w Czarnym Zamku. Obaj wiemy, jak trudno jest kogoś stamtąd wyciągnąć.

— Ale obaj też wiemy, że jest to wykonalne.

— Tylko przy bardzo dużej pomysłowości. Zresztą jeszcze nie zdecydowałem.

Kragar pokiwał głową i przyjrzał mi się z namysłem.

— Z tego co mogłem zaobserwować, przyjęli to nie najgorzej.

— To dobrze. Domyślasz się, co ci teraz każę zrobić?

Westchnął ciężko.

— Dowiedzieć się wszystkiego co się da o lordzie Boralinoim.
Na wczoraj.

— Brawo!

— Całe szczęście, że wczoraj zacząłem.

— Chcesz powiedzieć, że już wszystko wiesz?!

— Skądże. Ale za dwa dni powinienem.

— Zdziwiasz mnie, ale to dobrze. W tej sprawie musimy się spieszyć.

— Tak.

Zmieniłem temat:

— Masz jakieś wieści o wojnie?

— W tej kwestii to ty masz lepsze źródła informacji. Ostatnie, co słyszałem, to, że na miejsce koncentracji floty wyznaczono Northport. Podobno już się zaczęła, a w porcie trwa ruch co się zowie.

— Żadnych nowych ataków nie było?

— Ze dwa statki zostały zatopione i ponoć okręty z Elde zaatakowały jakiś konwój, ale nie wiem, czy to prawda.

Pokiwałem głową.

— A co w południowej części miasta?

Kragar poruszył się niespokojnie.

— Niedobrze, Vlad. Kiedy byłeś na herbatce u Cesarzowej, doszło do paru naprawdę ostrych starć między werbownikami i mieszkańcami. Podobno zabitych zostało dwóch, a poranionych z tuzin gwardzistów.

— A ilu ludzi?

— Pojęcia nie mam. To znaczy jednak, iż wypadki nabierają tempa. Tu jest spokój, ale w porcie i w okolicach Małych Wrót Śmierci pojawiły się oznaki kłopotów.

— A konkretnie co?

— Plakaty. Teckle zbierają się w grupy i obrzucają gwardzistów czym się da, zbudowano parę barykad, ale te padły błyskawicznie.

— Ktoś ucierpiał?

— Poważnie jeszcze nie.

— I o co chodzi? O przymusowy zaciąg?

— Nie. O aresztowanie Kelly’ego.

— Proszę, proszę!

— No właśnie.

Potrząsnąłem głową, zastanawiając się, czy naprawdę znam choć w połowie to miasto i jego mieszkańców tak, jak sądziłem. Wyglądało na to, że przynajmniej częścią władają niewidzialne siły, wobec których wszyscy, łącznie z Cesarzową, byliśmy bezsilni. Działy się rzeczy, których nie potrafiłem zrozumieć, nie mogłem kontrolować i mogłem nie przetrwać. A Cawti siedziała w samym ich środku.

W końcu przerwałem milczenie:

— Myślę, że lepiej będzie, jak się stąd ruszę, Kragar. Mam pewną sprawę, z którą nie chciałbym zwlekać.

— Oczywiście, Vlad. Przekaż dziadkowi pozdrowienia ode mnie.

— Przekażę.

— I uważaj. To, że ja się przeważnie domyślam, gdzie się udajesz, nie znaczy, że podwładni Boralinoiego nie są w stanie tego przewidzieć.

— Będę uważał, Kragar. Powodzenia w wypełnianiu nowych obowiązków.

Prychnął, ale powiedział:

— Będę go potrzebował.

Wyszedłem, nadal myśląc o Kiju.

Coś mi się przypomniało, więc stanąłem przy biurku Melestava i poprosiłem, by sprawdził nazwy zatopionych statków. Co prawda było mało prawdopodobne, by którymś był *Chorba's Pride*, ale byłem ciekaw. Okazało się, że go nie zatopiono, i świadomość, że Trice i Yinta nadal żyją, poprawiła mi samopoczucie. Wysłałem Roczę i Loiosha, by sprawdzili okolicę, i skierowałem się ku drzwiom.

Za plecami usłyszałem głuchoe łupnięcie i odwróciłem się, odruchowo sięgając po broń. Zobaczyłem Melestava leżącego na podłodze i rozejrzałem się. Nie dostrzegłem żadnego zagrożenia... Loiosh wrócił i krążył nad moją głową... też niczego nie zauważył... Dopiero w tym momencie zarejestrowałem, że Melestav trzyma w dłoni sztylet, i uświadomiłem sobie nasze wzajemne położenie, gdy padł. I zauważyłem Kragara stojącego nad jego ciałem.

— Kurwa! — powiedziałem z uczuciem.

— Zaplanował to sobie doskonale, Vlad.

— Tylko nie zauważył ciebie.

Zacząłem trząść się i kląć równocześnie.

Dawno śmierć nie zajrzała mi w oczy z tak bliska.

Ale nie to było najgorsze. Melestav nie tylko parokrotnie uratował mi życie, ale sam zginął, robiąc to. A teraz próbował mnie zabić dla pieniędzy...

Bo taka była brutalna prawda. To Boralinoi i inni chcieli mojej śmierci dlatego, że wydusiłem odpowiedź z przedstawiciela domu na dworze i groziłem członkowi rady. On zrobił to tylko dlatego, że mu dobrze zapłacono.

Ciszę, jaka zapadła, gdy skończyłem kląć, przerwał Kragar:

— Lepiej tu nie stój, Vlad. Ja się zajmę sprzątnieniem, a ty idź

tam, gdzie miałeś.

Posłuchałem go bez słowa.

* * *

Dzwonki zadzwoniły jak zwykle, gdy odsunąłem zasłonę zastępującą drzwi w sklepie dziadka.

Usłyszałem jego głos:

— Wejdź, Vladimir. Napijesz się herbaty?

— Naturalnie, noish—pa.

Pocałowałem go w policzek i przywitałem się z jego familiarem Ambrusem, białowłosym kotem o krótkiej sierści. Herbata miała wyraźny cytrynowy posmak i była doskonała. Dziadkowi lekko trzęsły się ręce, gdy ją nalewał, kiedy siedliśmy w jego salonie. Rocza i Loiośh przysiadły obok Ambrusa, ale nawet nie próbowałem zgadywać, o czym rozmawiają.

— O czym myślisz? — spytał dziadek.

— Co się tu dzieje, noish—pa? Chodzi mi o Imperium i tych rebeliantów.

— Pytasz o to starego człowieka? Skąd ktoś taki ma wiedzieć? — spytał, uśmiechając się równocześnie. — No dobrze. Sytuacja wygląda tak: elfy chcą wyruszyć na wojnę z powodów, o których nikomu tu nie powiedzieli. Do tego potrzebują marynarzy, więc wysłali tu werbowników, którzy wyłapują młodych mężczyzn i kobiety jak to zwykle podczas poboru. Ale tym razem biorą za dużo ludzi i nie pozwalają się nawet pożegnać z rodzinami. A okręty, na które pakują złapanych, odpływają natychmiast. Wszyscy są wkurzeni, niektórzy walczą z elfami próbującymi ich zabrać. A ci forradalomartok mówią wszystkim, że wojna to tylko urugy... jak to się mówi?

— Pretekst?

— Właśnie. Pretekst do wprowadzenia wojska na ulice. Wołają, żeby się organizować przeciwko temu, i wszyscy zaczynają mówić, że będą walczyć. A potem władze aresztują Kelly'ego i teraz wszyscy krzyczą, że albo go uwolnią, albo oni zniszczą miasto.

— To wszystko dzieje się za szybko...

— Bo takie sprawy tak właśnie się dzieją. Cały czas widzisz uśmiechniętych chłopów mówiących, że już taka ich dola, i nagle coś się staje i wszyscy oni krzyczą, że zginą ale nie pozwolą, żeby to się przytrafiło ich dzieciom. Na to wystarczy jedna noc, Vladimir.

— Skoro tak mówisz... Natomiast mnie to martwi... Boję się o ciebie... i martwię o Cawti.

— Ona jest z tymi ludźmi. Masz powody, by się o nią martwić.

— Czy oni mogą wygrać?

— Dlaczego mnie o to pytasz? Jeżeli żołnierze przyjdą do mojego sklepu, pokażę im, że nie należy lekceważyć starych ludzi. Ale nie pójdę ich szukać i dlatego nie wiem. Być może mogą wygrać. Być może żołnierze ich zmasakrują. Być może zdarzą się obie te rzeczy. Nie wiem.

— Muszę zdecydować, co zrobić, noish—pa.

— Wiem. Ale niewiele mogę ci pomóc.

Przez chwilę piliśmy herbatę w milczeniu.

Potem powiedziałem:

— Nie wiem, może dobrze, że sprawy tak się skomplikowały. Przynajmniej nie muszę się martwić, co będzie potem.

Tym razem nie uśmiechnął się.

— Teraz to nie ma sensu. Ale czy to w ogóle możliwe?

— Wiem, że nie pochwalasz tego, co robię. Nie wiem, czy sam

to pochwalam...

— Już ci kiedyś powiedziałem, że zabijanie za pieniądze nie jest dobrym sposobem zarabiania na życie.

— Pamiętam, noish—pa. Problem w tym, że ja tak bardzo nienawidzę elfów... Dowiedziałem się, że byłem jednym z nich, i myślałem, że to coś zmieni, ale nie zmieniło niczego. Za każdym razem, gdy cię odwiedzam i widzę śmieci na ulicach, ślepców czy chorych, których uleczyłaby najprostsza magia, albo takich, którzy nie umieją się podpisać, moja nienawiść rośnie. Nie mam zamiaru niczego naprawiać jak Cawti. Chcę ich po prostu zabijać.

— Nie masz żadnych przyjaciół?

— Co?... Oczywiście, że mam. A co to ma do rzeczy?

— Kim są twoi przyjaciele?

— Cóż, no... aha, rozumiem. Tak, wszyscy są Dragaerianami. Ale są inni.

— Naprawdę?

— Nie wiem, noish—pa. Uważam, że są. Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć, ale cały czas czuję tę nienawiść. I nie wiem dlaczego.

— Nienawiść to część życia, Vladimir. Jeśli nie potrafisz nienawidzić, nie potrafisz też kochać. Skoro nienawidzisz elfów, to nic na to nie poradzisz i nie ma co próbować. Ale głupotą jest pozwolić, by nienawiść kierowała tobą i kształtowała twoje życie.

— Wiem, ale...

Urwałem, gdyż Ambrus wskoczył nagle dziadkowi na kolana i zamiauczał gwałtownie. Dziadek zmarszczył brwi i słuchał uważnie.

— Co się stało? — spytałem.

— Jeszcze nie wiem.

Loiosh wylądował na moim ramieniu, a dziadek wstał i

wyszedł do sklepu.

Nie było go chwilę i już miałem iść za nim, gdy wrócił z kartką pergaminu. Wyjął z kałamarza pióro i paroma szybkimi ruchami narysował na nim prostokąt, w którego rogach coś zaznaczył. Nie rozpoznałem symboli.

Zaciekawiło mnie to.

— Co to takiego?

— Nie teraz. Weź to. — Podał mi mały srebrny sztylet i polecił:
— Natnij lewą dłoń.

Wykonałem polecenie, tnąc obok drobnej białej blizny, pozostałości po wizycie u Verry.

— Zbierz trochę krwi w prawą dłoń.

Zrobiłem, jak kazał.

— A teraz pryśnij nią na papier.

Kartkę trzymał jakieś trzy stopy przede mną tak, że krople krwi utworzyły na niej ciekawy wzorek.

Dziadek podał mi czystą szmatkę, ale wolałem się skoncentrować i magią powstrzymać krwawienie oraz zacząć zabliznianie rany. Nie była głęboka, więc nie było problemu. Nie pierwszy raz żałowałem, że nie nauczyłem się podstawowych zaklęć samouzdrawiających.

Dziadek przyjrzał się uważnie pergaminowi i oświadczył:

— W pobliżu drzwi jest mężczyzna. Czeka, aż wyjdiesz, żeby cię zabić.

— I to wszystko? W porządku.

— Wiesz, gdzie jest tylne wyjście.

— Wiem, ale skorzysta z niego Loioosh. Załatwimy to po mojemu.

Dziadek przyjrzał mi się z namysłem.

— Zgoda. Ale nie daj się zwieść ceniom — przypomniał. —

Zawsze koncentruj się na celu.

— Pamiętam — obiecałem, wstając. — Wiem, co trzeba zrobić,
by cienie zniknęły.

I wyciągnąłem rapier z pochwy.

Lekcja trzynasta Umiejętność przeżycia - zaawansowana

Dobra, Loiosh. Wiesz, co robić.

A Rocza?

Zostanie ze mną na wszelki wypadek.

Byliśmy w tylnym pokoju za kuchnią. Wypuściłem go przez tylne drzwi i wróciłem do sklepu. Rocza siedziała na moim prawym ramieniu, co czułem wyraźnie, jako że była cięższa od Loiosha.

Jeszcze go nie zauważyłem, szefie.

Spokojnie. Tu jest dużo dobrych kryjówek, bo domy stoją bardzo blisko siebie i...

Widzę go!

Pozwól mi spojrzeć... hm, nie znam go...

To jak robimy?

Zauważył cię?

Skądże!

Dobra. Wychodzę i skręcam w lewo, żeby go odciągnąć od sklepu. Pozwolimy mu się zbliżyć, a ty zaatakujesz, gdy zacznie się do mnie zabierać. Ja dołączę i załatwimy go.

Jasne!

Wsunąłem rapier do pochwy, gdyż chwilowo nie był mi

potrzebny, i ucałowałem dziadka na pożegnanie. Jeszcze raz przypomniał mi, żebym uważał, i wyszedłem.

Rozejrzałem się ostentacyjnie, niczego ma się rozumieć nie zauważyłem i skręciłem w lewo.

Loiosh odezwał się natychmiast:

Idzie za tobą.

Rozumiem.

Znałem tę okolicę, a potrzebowałem miejsca, w którym będzie trochę ludzi, ale niezbyt wielu. Dlatego skręciłem w lewo, gdyż po dwustu jardach dotarłem do niewielkiego ryneczku, z którego prowadziło kilka nader sympatycznych dróg ucieczki. Stanąłem przed straganem z owocami, wziąłem pomarańczę i zacząłem szukać w kieszeni drobnych.

Idzie, szefie — zameldował Loiosh.

Zapłaciłem sprzedawcy, wyjąłem niewielki sztylet i przeciąłem owoc na pół. Po czym udając, że chowam sztylet, ukryłem go w dłoni. I zabrałem się do wysysania soku z jednej z połówek.

Jest za tobą. Idzie między dwójgiem ludzi, ale oni nie mają z nim nic wspólnego. Wyjął sztylet... teraz!

Odwróciłem się i cisnąłem w niego rozciętą pomarańczę. Równocześnie Loiosh zaatakował jego prawą dłoń, w której trzymał nóż, a Rocza wystartowała z mego ramienia, kierując się ku jego twarzy. Nie miał żadnych szans.

Nim się zorientował, o co chodzi, Loiosh zmusił go do puszczenia noża i odwrócenia się. W ten sposób miałem plecy napastnika przed sobą i wbiłem w nie bez problemów sztylet aż po rękojeść. Wybrałem miejsce tak, by przeciąć stos pacierzowy. Wrzasnął i padł na kolana, więc drugim nożem wydobytym tymczasem poderznąłem mu gardło. Nóż upuściłem przy zwłokach. On co prawda już nie mógł krzyczeć, ale paru

tubylców mogło i zrobiło to z zaskakującą energią.

Obszedłem stragan z owocami, uważając, by nikomu nie spojrzeć w oczy, i wąskim przejściem między dwoma budynkami wyszedłem na inną ulicę. Loiosh i Rocza dołączyli do mnie i zygzakując, przecięliśmy jeszcze kilka przecznic. Potem wszedłem do najbliższej tawerny i zmyłem z rąk sok i krew — strasznie nie lubię, jak mi się dłonie lepia.

* * *

Około południa doszliśmy do Południowej Adrilankhi. Wszędzie widać było grupy młodych mężczyzn podpierających ściany i przyglądających się przechodniom oraz kupców spożywających drugie śniadanie przed sklepami. Najczęściej był to długi chleb maczany w jakimś gęstym sosie i zapijany winem. Ponieważ przez całą drogę nie zauważyłem śladu pościgu, odprężyłem się i dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że coś tu jest nie tak. Wrażenie było niezwykle silne, ale za nic nie mogłem stwierdzić, co je powodowało.

Może ty wiesz? — spytałem w końcu Loiosha.

Nie wiem... to bardzo subtelne zmiany, szefie.

Szedłem więc dalej, kierując się ku kwaterze głównej Kelly'ego i rozglądając dyskretnie, ale uważnie. Zauważyłem z dziesięcioro ludzi, kobiet i mężczyzn, z dziwnymi minami. Była to mieszanka determinacji, pewności siebie i strachu albo silnego zdenerwowania. Dwóch miało piki domowej roboty, jeden duży nóż kuchenny, reszta gołe pięści i ochotę. Z jakiegoś powodu serce zaczęło mi bić szybciej. Ta grupa jakoś tak idealnie pasowała do wszystkiego, co widziałem, ale czego — nie potrafiłem sobie uzmysłwić.

Loiosh rozpoznał to pierwszy:

Oni wszyscy się przyczaili, szefie. Tak jakby wszyscy czuli, że coś śmierdzi, i czekali, aż się znacznie uczciwie palić.

Myszę, że trafnie to ująłeś.

Niedaleko od sklepu będącego moim celem znajdował się niewielki park w kształcie rombu z półkolistym wejściem wyciętym w jednym z boków. Nazywano go Eksodus na pamiątkę masowego przybycia ludzi do miasta w okresie Bezkrólewia. Rosło w nim paręnaście na wpół uschniętych drzew i znajdowała się sadzawka pełna alg. Nie strzyżone trawniki porośnięte chwastami przecinało kilka krzyżujących się pod przypadkowymi kątami ścieżek, a przy wejściu wznosił się niewielki pagórek. Skróciłem sobie drogę, idąc przez park, a gdy dotarłem do pagórka, zobaczyłem coś, co spowodowało, że przystanąłem, by to dokładniej obejrzeć.

Grupa może dwudziestu czy trzydziestu nastolatków obojga płci w wieku średnio jedenastu lat przemysłowo przerabiała drzewa na dzidy. Przemysłowo z uwagi na to, ile ich już wykonali — leżało z pół setki gotowych — oraz sposób, w jaki to robili. Praca została bowiem naukowo podzielona na etapy. Jedni ścinali proste gałęzie, inni odcinali od nich gałązki, następni usuwali korę, wyrównywali i polerowali drewno, a jeszcze inni mocowali groty. Wszyscy byli brudni, ale najwyraźniej zajęcie to sprawiało im autentyczną satysfakcję.

Było jednakże kilkoro wyglądających na poważnie zaangażowanych w to, co robią, jakby uważali, że są częścią czegoś znacznie ważniejszego. I to mimo iż niektórzy, zwłaszcza ścinający gałęzie, byli wyraźnie zmęczeni.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie znaczenie tego, co widzę. I nie chodziło tu o to, że robią broń, tylko o

systematyczność, z jaką to robili. Ktoś musiał im to zlecić i dokładnie wyjaśnić, co która grupa ma robić.

Ktoś.

Nawet wiedziałem kto.

Dalej ruszyłem już szybkim krokiem, ale i tak nie zdążyłem. Od celu dzieliło mnie jeszcze z pół mili, gdy trafiłem na posterunek, ale nie obsadzony przez gwardzistów, tylko przez kilkunastu cywilów, głównie ludzi. Wszyscy, także Teckle, byli uzbrojeni, a na głowach mieli żółte przepaski. Nikogo nie zatrzymywali, za to do wszystkich się uśmiechali.

No, prawie do wszystkich. Na mój widok, a raczej na widok barw Domu Jherega skrzywili się zgodnie, ale rozmowy nie unikali.

Sam ją naturalnie zacząłem:

— Co oznaczają te przepaski?

— Że jesteście protektorami — odparła chuda jejmość mojej rasy. — Że przejęliśmy kontrolę.

— Nad czym?

— Nad tą częścią miasta.

— A dlaczego?

— Werbownicy — wyjaśniła takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz, Jheregu, zrozumiesz. A teraz rusz się.

Miałem dwie możliwości — ruszyć się albo zacząć zabijać ludzi.

Ruszyłem się.

Pierwszy skomentował to Loioosh:

Nie podoba mi się to wszystko. Powinniśmy się stąd wynosić, szefie.

Jeszcze nie, Loiosh.

Wiatr przyniósł nagle dziwnie znajomy zapach, ale nie potrafiłem go zidentyfikować. Skojarzenia, jakie niósł, nie były przyjemne, ale nie potrafiłem przypomnieć sobie nic konkretniejszego...

Pomógł mi Loiosh:

To konie, szefie.

Cholera, racja! Gdzie?

Z lewej, niedaleko.

Rzeczywiście były niedaleko — za najbliższym zakrętem. I było ich tyle, że więcej widziałem tylko raz w życiu: gdy ludzka kawaleria ruszyła do szarży koło Grobu Barrita. Tym razem były zaprzężone do dużych wozów załadowanych pudłami. Były to wozy, jakimi chłopcy przywozili do miasta owoce czy zboże praktycznie codziennie. Tyle że opuszczali stolicę wraz z wozami wczesnym popołudniem. Teraz nie dość, że było później, to wozów było zaskakująco wiele.

Podszedłem i zapytałem jednego z tych, którzy ładowali skrzynie, co robią.

On też się skrzywił, widząc barwy Domu Jherega, ale odpowiedział:

— Kontrolujemy Południową Adrilankhę, a to jest proklamacja do reszty miasta.

— Proklamacja? Pokaż mi ją.

Wzruszył ramionami, ale wyjął z najbliższej skrzyni kartkę.

Była starannie wydrukowana i napisana prostym, acz zrozumiałym językiem. Głosiła, że ludzie i Teckle z Południowej Adrilankhi odmawiają werbownikom wstępu na swój teren i

domagają się uwolnienia swych aresztowanych przywódców, a prócz tego, że powstają jak jeden, by odebrać rządy tyranom, i temu podobne bzdury.

Wozy zaczęły odjeżdżać, a ja zacząłem tracić poczucie rzeczywistości. Wrażenie, że znalazłem się w nierealnym świecie, pogłębiało się, im dalej szedłem, a doszło do szczytu, gdy zobaczyłem na ulicy ciało Dragaerianina w złocistej pelerynie Gwardii Feniksa. Zginął od wielu ciosów i pchnięć, a wszyscy go ignorowali, przechodząc obok.

* * *

Znacznie później trafiła do moich rąk niewielka książeczka Marii Parachezk pod tytułem *Szara dziura w mieście* opisująca owo trwające parę dni powstanie. Czytając ją, przeżyłem wszystko na nowo i przypomniałem sobie wiele szczegółów, o których nawet nie to że zapomniałem, co w ogóle nie wiedziałem, że je pamiętam. Jak choćby obronę Małego Rynku przez pikinierów, szturm Gwardii całą szerokością alei Lichwiarzy (po dwudziestu w szeregu), spalenie giełdy zbożowej czy inne, w których brałem udział albo których byłem świadkiem.

Zresztą moje wspomnienia z prawie całego tego okresu są dziwnie porwane i niekompletne. Pewne rzeczy pamiętam doskonale, pewne jak zza mgły, a między tym są godziny luk. Najbardziej zapadły mi w pamięć drobiazgi: śmiech i krzyki przeplatające się ze sobą... smród płonącego ziarna i płonących ciał... to, że miałem usmolone sadzą ręce... to, jak stałem w jakimś zaułku, obserwując przemarsz batalionu Gwardii, a w ręku dzierżyłem stylisko topora uwalane krwią... Pojęcia nie

mam, skąd je wziąłem, a tym bardziej czyja to była krew.

Kimkolwiek była autorka, zdołała opisać rozruchy chronologicznie i jako spójną całość, czego ja nie byłem w stanie uczynić. O wielu rzeczach w ogóle nie wiedziałem albo też nie zdawałem sobie sprawy z ich wagi. Dopiero z lektury dowiedziałem się, że do wieczora drugiego dnia walk powstańcy wygrywali. Sytuacja zmieniła się, gdy załoga *Whitecresta* przestała ich wspierać i zezwoliła na desant 4. Brygady Seaguards. Dopiero ta formacja złożona głównie z należących do Domu Orki odblokowała oblężony Pałac Cesarski.

Ja nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, czy powstańcy wygrywają, czy przegrywają, a dopiero później dowiedziałem się, że pałac był szturmowany dwa razy, ale oba ataki zostały odparte, oblężenie trwało zaś dziewięć godzin.

Pamiętam, że w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że kręcę się po okolicy już cały dzień, ale poza sporadycznymi starciami nie widziałem prawie walk. Co dziwniejsze, wokół z reguły panowała cisza; czasami ktoś przebiegł, rozległ się szcęk stali uderzającej o stal albo łomot drewna o blachę i jakieś krzyki. Natomiast coraz bardziej śmierdziało spalonym ludzkim mięsem.

Nie pamiętam, czy zabijałem, ale sądzę, że tak, bo gdy potem sprawdziłem uzbrojenie, brakowało połowy. Loioosh, co dziwniejsze, też niewiele pamięta z tego okresu. Głównie to, że ciągle prosił, żebyśmy wrócili do domu, a ja mu odpowiadałem, że jeszcze nie.

Z jakiegoś powodu o dziadku przypomniałem sobie dopiero, gdy Gwardia zaczęła odbijać południową część miasta i rozpoczęła masakrę. Zresztą o masakrze też nie miałem pojęcia, natomiast widok dużej grupy gwardzistów, i to żywych, na

ulicach wybił mnie z tego dziwnego stanu. I od tej pory pamiętam wszystko jako logiczny ciąg wydarzeń.

Maszerowałem usłaną trupami ulicą. Głównie były to trupy ludzi i Teckli, ale nie tylko. Miejsca walk omijałem zaułkami, by nie tracić czasu. W czasie jednego z takich obejść wpadłem na czterech gwardzistów. Zatrzymaliśmy się. Zobaczyli, że noszę barwy Domu Jherega i jestem człowiekiem, co ich zaskoczyło. Akurat broni w ręku nie miałem, za to na obu moich ramionach siedziały jheregi. To ich jeszcze bardziej zdumiało. W końcu spytałem uprzejmie: „No?” — i poszli w cholerę.

A ja ruszyłem w dalszą drogę.

Ogień zauważyłem, gdy byłem prawie milę od sklepu dziadka. Zacząłem biec, a gdy dotarłem do celu, z ulgą stwierdziłem, że płonie dom po drugiej stronie ulicy i mały sąsiadujący z nim sklepik, z którego śmierdziało spalonymi warzywami. Poczuję ulgę. A potem dobiegłem bliżej i przeszła mi natychmiast — cały front sklepu nie istniał, a przy wejściu leżały trzy trupy w złocistych pelerynach.

Nie ulegało wątpliwości, czyje to było dzieło — każdy z zabitych miał mały otwór na wysokości, na której u ludzi i Dragaerian znajduje się serce. Wbiegłem do środka i zobaczyłem dziadka spokojnie czyszczącego klingę rapiera.

Spojrzał na mnie i powiedział:

— Powinieneś stąd iść, Vladimir.

— Że jak?

— Powinieneś odejść. Natychmiast.

— Dlaczego?!

— Pospiesz się, proszę!

Spojrzałem na trupy, potem na dziadka i zacząłem myśleć.

— Jeden uciekł?

Dziadek wzruszył ramionami:

— Nigdy nie mogłem się zdobyć na zabicie kobiety. To taka głupia ludzka słabość.

— Masz szczęście, że nie była adeptką.

— Może. Ale czas ucieka. I ty też musisz.

— Chodź ze mną.

Potrząsnął przecząco głową:

— Nie mam dokąd iść. Jeśli pójdę z tobą, nie będziesz miał spokoju.

Przygryzłem wargę.

— Może znajdzie się takie miejsce... — mruknąłem.

I skoncentrowałem się na wyglądzie i zachowaniu Morrolana.

Kto... Vlad?

Osobiście.

Gdzie jesteś? Nie jesteś ranny? Całe miasto...

Wiem, tkwię w samym środku, ale jestem cały i zdrowy. Jeszcze. Lordzie Morrolan, proszę formalnie o udzielenie mi zaproszenia do pańskiego zamku ze wszystkimi wynikającymi z tego przywilejami. Mnie i mojemu dziadkowi.

Twojemu dziadkowi? Co się stało?

Gwardziści próbowali spalić mu sklep. Uniemożliwił im to.

Rozumiem.

Gdzie jesteś?

W Pałacu Cesarskim, ale wkrótce go opuszczę.

Co ty robisz w pałacu?

Broniłem Cesarzowej, ale oblężenie zostało już zakończone.

Oblężenie?!

Twoi rodacy okazali się lepsi, niż sądziliśmy.

Aha. Kto jest z tobą?

Aliera, Sethra...

Sethra? To sytuacja musiała być naprawdę poważna.

Zachichotał, co nie jest łatwe przy kontakcie telepatycznym, nim skomentował:

Szkoda, że tego nie widziałeś. A dlaczego ty potrzebujesz sanktuarium? Zostałeś przywódcą rozruchów czy wybiłeś kompanię Gwardii?

W związku z rebelią nic mi nie grozi, praktycznie nie brałem w niej udziału. Mam kłopoty z radą, i to poważne.

Przypominam sobie pewnego Jherega...

Ja też. Aż za dobrze. To zupełnie inna sprawa i nie postawię cię w niezręcznej sytuacji wobec nikogo ze znajomych. Natomiast byłbym wdzięczny za pośpiech w podjęciu decyzji, bo w każdej chwili może się tu zjawić więcej złocistych. A wtedy...

Rozumiem, Vlad. Zostajecie niniejszym oficjalnie zaproszeni na siedemnaście dni do Czarnego Zamku. A prawdopodobnie na zawsze, ale o tym zdecydujemy, gdy się spotkamy. Zaraz poinformuję Teldrę.

Dziękuję. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Ja też.

Odetchnąłem, odwróciłem się do dziadka i oznajmiłem:

— Wszystko załatwione. Mamy zaproszenie do Czarnego Zamku.

Dziadek zmarszczył brwi.

— Co to takiego?

— Latający zamek mojego przyjaciela, noish—pa. Całkiem wygodny. A Morrolana polubisz, on...

— To elf?

— Tak, ale...

— Dziękuję, zostanę tutaj.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem spokojnie:

— Cóż, podejrzewałem, że nie namówię cię do opuszczenia domu.

— To dobrze.

Nie skomentowałem, tylko usiadłem na najbliższym krześle.

Dziadek zmarszczył się bardziej.

— Vladimir, naprawdę powinieneś już iść!

— Ani mi się śni.

— Co?

— Jeśli ty zostajesz, to ja też. Nie możesz mnie zmusić, żebym sobie poszedł.

— Oni tu wrócą.

— Oczywiście. Kupą i z magami. Znam parę sztuczek.

— Vladimir...

— Obaj albo żaden, noish—pa.

Spojrzał na mnie groźnie. I niespodziewanie uśmiechnął się.

— No dobrze, Vladimir. Zabierz mnie do tego elfiego zamku.

— Tylko bądź przygotowany, że zrobi ci się niedobrze.

— Dlaczego?

— Magia teleportacyjna tak działa na ludzi. Pojęcia nie mam dlaczego.

— W porządku. — Schował rapier do pochwy, wziął na ręce Ambrusa i rozejrzał się po mieszkaniu. — W takim razie nie marnujemy czasu.

Objąłem go ramieniem i skupiłem się na wyglądzie dziedzińca Czarnego Zamku. A potem sięgnąłem do Kuli, uformowałem wziętą z niej moc i poczułem, jak żołądek fika znajomego do

obrzydliwości kozła.

* * *

A potem byliśmy już na dziedzińcu Czarnego Zamku.

Dziadek nie wyglądał najlepiej, ale obiadu nie oddał. Dochodził do siebie wolniej niż ja, ale teraz już nigdzie nam się nie spieszyło. A potem zaczął się rozglądać, czemu się nie dziwiłem. Zarówno rozmiary dziedzińca, jak odległych o czterdzieści kroków wrót oraz fakt, iż pod nogami mieliśmy niebo, musiały wzbudzić zainteresowanie. Natomiast największą jego ciekawość wywołały znaki na murach i wrotach.

— Jak ten elf poznał Sztukę? — spytał zaskoczony.

— Morrolan jest bardzo nietypowym Dragaerianinem — odparłem.

I poprowadziłem go ku dwuskrzydłowym wrotom prowadzącym do wnętrza. Te naturalnie otworzyły się przed nami. Dziadek spojrzał na mnie, ale nie odezwał się słowem.

Lady Teldra powitała nas dworskim ukłonem i słowami:

— Lordzie Vladimir, świadomość, że jest pan bezpieczny, sprawiła nam wszystkim olbrzymią ulgę i cieszymy się, że pozostanie pan z nami dłużej. O panu, sir, wnuk wyrażał się w takich superlatywach, iż obawialiśmy się, czy kiedykolwiek zechce pan nam wyświadczyć zaszczyt odwiedzin. Witamy w Czarnym Zamku. Jestem Teldra.

To była w końcu prawdziwa dama z Domu Issoli.

Dziadek przyglądał się jej długą chwilę, nie mogąc wyjść z podziwu, po czym uśmiechnął się szeroko i oznajmił:

— Lubię cię!

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak lady Teldra się

rumieni.

— Lord Morrolan prosił, byście zaczekali na niego w bibliotece — dodała. — Jeśli pozwolicie, panowie, zaprowadzę was tam.

Dziadek był pod wrażeniem — nie tyle ogromu, ile zawartości Czarnego Zaniku. Ambrus zaś rozglądał się uważnie, jakby zapamiętywał drogę ucieczki. Znając dziadka, wiedziałem, że też zapamiętywał — którą rzeźbę czy obraz powinien obejrzeć dokładnie przy pierwszej sposobności. Wiedziałem, że tę sposobność szybko stworzy, i wiedziałem też, że lady Teldra będzie doskonałą przewodniczką i opowie mu wszystko, co wie, łącznie z biografiami artystów, jeśli jej pozwoli.

Ale na to będzie miał czas później, bo teraz, skoro ja czułem zmęczenie, to on musiał je odczuwać także, dlatego nie pozwoliłem na żadne przystanki, dopóki nie znaleźliśmy się przed drzwiami biblioteki.

Biblioteka Morrolana wiele mówi o Dragaerianach w ogóle, jak też i o nim samym. Książki na przykład nie są ustawione w porządku alfabetycznym czy tematami, ale według tego, z jakiego domu pochodzi autor. Na poczesnym miejscu naturalnie są te napisane przez lordów z Domu Smoka.

Usiedliśmy, a lady Teldra akurat nalewała wino, gdy Morrolan wszedł. Obaj podnieśliśmy się i skłoniliśmy na powitanie. Odkłonił się głęboko dziadkowi, a gdy się wyprostował, na jego ramieniu wylądował Loiosh. Rocza zaś poleciała do Ambrusa, który najpierw na nią prychnął, a potem polizał po szyi. Nie sprzeciwiła się, co mnie zaskoczyło.

Usiedliśmy ponownie, tym razem już we trzech. Lady Teldra dokończyła nalewać nam wino i pierwszy kielich podała dziadkowi.

Odchrząknąłem i powiedziałem:

— W imieniu mego dziadka chciałbym ci podziękować i...

— Nie ma o czym mówić — przerwał mi Morrolan. — Naturalnie jesteście moimi gośćmi tak długo, jak tylko zechcecie. Słyszałeś o Cawti?

Ostrożnie odstawiłem kielich i zaproponowałem:

— Opowiedz mi.

— Została aresztowana ponownie. Tym razem z rozkazu Cesarzowej, bez niczyich próśb. Zarzut: zdrada Imperium. Czeka ją egzekucja, Vlad.

Lekcja czternasta

Podstawy zdrady

Poczułem na sobie wzrok dziadka, ale nie spojrzałem na niego, tylko spytałem:

— Wyznaczono już termin procesu?

— Nie. Zerika powiedziała, że poczeka, zanim się to całe zamieszanie nie uspokoi.

— Zamieszanie? Tak to nazwała?

— Tak.

— Norathar zrobiła cokolwiek?

— Jeszcze nie. Dowodzi wojskami i...

— W mieście?

— Nie. Organizuje siły inwazyjne do ataku na Greenaere.

— O, zapomniałem o wojnie. Dobrze choć to.

— Co?

Potrząsnąłem głową, bo zbyt trudno byłoby to szybko wyjaśnić, i spytałem:

— Co się właściwie wydarzyło i co się nadal dzieje?

Morrolan wzruszył ramionami.

— Zamieszki. Byłem w Cesarskim Pałacu w czasie drugiego szturm i przez prawie całe oblężenie, więc wiem, co tam zaszło. O reszcie jedynie słyszałem. Zerika uważa, że do jutrzejszego rana sytuacja będzie opanowana.

— Opanowana — powtórzyłem.

I spojrzałem na dziadka.

Tym razem on spuścił wzrok.

— Zgadza się — potwierdził Morrolan. — Sethra

zorganizowała...

— Sethra Lavode?!

— Sethra Młodsza.

— A co ona znowu ma do dowodzenia?

— Brygadier dowodzący Gwardią Feniksa złożył wczoraj rezygnację po wymianie zdań z Cesarzową. Nie wiem, o co poszło.

— Może nie spodobał mu się pomysł wymordowania tysięcy bezbronnych ludzi.

— Bezbronnych? Vlad, wiesz, jakie Gwardia poniosła straty?! Pałac był szturmowany dwa razy i oblężony przez dziewięć godzin! Cesarzowa znalazła się w niebezpieczeństwie!

— Morrolan, daj spokój! Mogła się teleportować, kiedy chciała i gdzie chciała.

— To nie w tym rzecz, Vlad. Zagrożenie osobie i...

— Możemy zmienić temat?

— Chciałeś wiedzieć.

— Fakt. Przepraszam.

Loiosh przyleciał i polizał mnie po uchu.

Upiłem solidny łyk wina i spytałem:

— A co z wojną?

— Nie dość ci nowin?

— Próbuję wymyślić, jak uratować Cawti. Żeby móc to zrobić, muszę wiedzieć, co się dzieje i jak do tego wszystkiego podchodzi Cesarzowa. Inaczej nie będę w stanie skutecznie na nią wpłynąć. Czy teraz rozumiesz, o co mi chodzi?

Morrolan wyglądał na zaskoczonego — sądzę, że nie podejrzewał mnie o taką subtelność. Po paru sekundach doszedł do siebie i powiedział:

— Doskonale. Imperium nadal próbuje zorganizować flotę

inwazyjną do ataku na Elde i Greenaere.

— Coś długo wam schodzi.

Spojrzał na mnie ponuro.

— Konwój z wojskami płynący z Adrilankhi do North został zaatakowany przez flotę sprzymierzonych wysp i straciliśmy trzy jednostki. Nie wiem, jakie i ilu na nich zginęło, ale... dlaczego się uśmiechasz?

Nie miałem zamiaru odpowiadać mu na to pytanie. Ani teraz, ani kiedykolwiek. Upiłem łyk wina, nawet nie czując jego smaku.

Nigdy specjalnie się nie troszczyłem o Imperium. Można by powiedzieć, że żyłem w nim, bo tak wyszło, i ignorowałem je, na ile mogłem. Nawet ta wojna nie wpłynęła na moje podejście do niego — w sumie było mi obojętne, kto wygra. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że naprawdę to chciałem, żeby Imperium przegrało. Bardzo tego chciałem. Byłbym wręcz zachwycony, widząc jak się rozpada, jak strzaskana Kula wala się po pełnej śmieci podłodze, a pałac z czarnego marmuru o komnatach, w których mogłyby mieszkać wygodnie całe rodziny, zmienia się w płonąca kupę gruzów.

Z ostatnich dwóch dni co prawda pamiętałem jedynie oderwane fragmenty, ale wiedziałem, że będę je pamiętał do śmierci. A wywołanego przez nie bólu nic nie uleczy, nawet upadek Imperium. Był to zupełnie nowy rodzaj nienawiści — może właśnie to czuła Cawti i to był powód jej przyłączenia się do grupy Kelly’ego.

Potrząsnąłem głową i przestałem marzyć o upadku Imperium. Takie marzenia na pewno nie pomogą uwolnić Cawti. Natomiast gdybym znalazł sposób...

Gdybym zdołał...

— Nieważne — powiedziałem. — Chyba wymyśliłem, jak

uwolnić Cawti.

Dziadek spojrział na mnie ostro.

A Morrolan powiedział:

— O?

— Pomożesz mi? — spytałem w odpowiedzi. — Będę też potrzebował pomocy Aliery i Sethry. I sądzę, że również Daymara.

— A co planujesz?

— Wyjaśnię, gdy będziemy wszyscy. Może dziś wieczór? Tylko powinienem cię ostrzec: to będzie niebezpieczne.

Popatrzył na mnie z politowaniem, co nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia, bo powiedziałem to celowo. Żeby go zirytować. I zapewnić sobie jego pomoc.

— Pomogę ci.

— Dziękuję.

— Vladimir, czy będziesz w najbliższym czasie podróżował ponownie przez krainę niebytu?

— Proszę?!

— Podróżował tak, jak tu przybyliśmy.

— A! Spodziewam się, że nawet parę razy.

Kiwnął głową, jakby oczekiwał takiej właśnie odpowiedzi, i zwrócił się do Morrolana.

— Widzę, że praktykujesz Sztukę.

— Tak — przyznał Morrolan. — Jestem czarownicą.

— W takim razie masz to, co niezbędne. Moje zapasy i narzędzia niestety zaginęły.

— Oczywiście. Teldra zaprowadzi cię do mojej pracowni.

— Dziękuję — powiedział z uczuciem dziadek.

Morrolan skinął mu głową i oznajmił:

— Alera jest u siebie. Mam się skontaktować z Sethrą i

Daymarem?

— Tak — zdecydowałem. — Nie ma co zwlekać.

Kilka minut później poinformował mnie, że wszyscy zjawią się wieczorem na kolacji. Tak więc miałem parę godzin bez konkretnych zajęć, toteż poprosiłem lady Teldrę, by zaprowadziła mnie do pokoju. Pocałowałem dziadka, skłoniłem się Morrolanowi i na ostatnich nogach dotarłem do przygotowanej dla mnie komnaty.

Jednak zanim zasnąłem, złapałem telepatycznie Kragara:

I jakie nowiny?

Ty jesteś nowiną.

Opowiadasz!

Złożono trzy kolejne oferty, wszystkie zostały odrzucone. Nie wiem, czy tak by było, gdybyś nadal był dostępny.

Wątpię. Masz informacje, o które cię prosiłem?

Mam. I ktoś dowiedział się, że je zbieram.

Co?

Zaproponowano mi dwadzieścia tysięcy za przekonanie cię, byś je odebrał osobiście.

To dlaczego nie wziąłeś?

Bo wiedziałem, że cię nie namówię bez wzbudzania twoich podejrzeń.

Bardzo rozsądnie. Możesz je przysłać przez umyślnego do Czarnego Zamku?

Bez problemów.

To przyślij. U nas w rejonie było spokojnie?

Praktycznie tak. Co najwyżej parę drobnych utarczek. Obie strony głównie przechodziły tylko przez nasz teren. Mieliśmy szczęście.

Ano mieliśmy.

Znów nieproszone obrazy stanęły mi przed oczyma, ale zignorowałem je. Nie miałem czasu ani ochoty na wspominki. Może zresztą nigdy nie będę miał, ale wątpię, bym zawsze czuł takie zmęczenie.

Ciszę telepatyczną przerwał Kragar:

Co u ciebie?

Powoli pracuję nad rozwiązaniem.

To dobrze. Informuj mnie, dobrze?

Jasne. Powiedz posłańcowi, żeby mnie obudził, gdy dotrze do zamku.

Dobra. Do zobaczenia, Vlad.

Kiedy się zobaczymy, to się zobaczymy, Kragar.

Odpowiedziałem i przerwałem połączenie, nim zdążył zapytać, co chcę przez to powiedzieć.

I natychmiast zasnąłem.

* * *

Jak na mój gust posłaniec od Kragar a zjawił się za szybko, bo po dwóch godzinach. Na szczęście z lady Teldrą i klavą, toteż zdołałem oprzytomnieć w miarę szybko. A gdy wyszli, zająłem się dokumentami, popijając drobnymi łyżkami napój.

Kragar jak zwykle okazał się niezwykle dokładny. Papiery zawierały wszystkie istotne szczegóły dotyczące życia, pracy i nawyków Boralinoiego. Okazało się, że należy do tych członków rady, którzy znaleźli się na właściwym miejscu we właściwym czasie, to jest gdy Zerika wróciła z Kulą, kończąc Bezkrólewie.

Miał opinię dobrego arbitra skutecznie doprowadzającego do kompromisu między zwaśnionymi stronami. Sam jednakże kompromisów nie uznawał. Chcąc zabezpieczyć swą pozycję, wykazał się pomysłowością i bezwzględnością, ale to było dawno. Od tej pory skutecznie strzegła go reputacja. Nie było znanych zamachów na niego, a jego tryb życia wskazywał, że nie obawia się takiej możliwości. To akurat mogło się zmienić po naszym niedawnym spotkaniu.

Poza tym miał kochankę, co upraszczało sprawę. Mając dwa tygodnie, załatwiłbym go bez trudu. Tyle że nie miałem dwóch tygodni na zaplanowanie, obserwację i organizowanie roboty. Owszem, mogłem go załatwić szybciej i równie pewnie: skoro oni złamali reguły, mogłem zrobić to samo, tylko skuteczniej. Począć w mieszkaniu i zabić go, gdy się niczego nie będzie spodziewał. Co najprawdopodobniej ściągnęłoby mi na kark zemstę całej organizacji.

Ta perspektywa nie oznaczała oczywiście, że tego nie zrobię, ale teraz ważniejsza była Cawti, która na własną prośbę wpakowała się w gówno po szyję. Martwiło mnie tylko jedno — jeśli mi się to nie uda, mogę jej nie uwolnić, a wtedy na pewno nie rozliczę się z Boralinoim. A to byłoby niedobrze, bo gnojkwowi należała się nauczka.

Rozważyłem tę kwestię, ubierając się, i zdecydowałem, że najlepiej jest chwilowo dać sobie spokój i działać systematycznie krok po kroku.

* * *

Kolację, a właściwie późny obiad podano we frontowej jadalni posiadającej imponujące okna z widokiem na dziedziniec.

Umeblowana była oczywiście na czarno, a oświetlona przez wiszące lampy z brązu. Obecni byli: Morrolan, Alera, Sethra, Daymar, noish—pa i ja. Daymar zachowywał się wyjątkowo uprzejmie, czyli siedział na krześle, a nie w powietrzu, jak to miał w zwyczaju. Dziadek za to nie czuł się swobodnie, czemu trudno się było dziwić — bodajże nigdy dotąd nie był tak blisko takiej grupy żywych Dragaerian. Robił jednak co mógł, by tego nie okazać. A kiedy spróbował baziańskiego gulaszu pieprzowego, uśmiechnął się szczerze i już nie musiał udawać.

Widząc jego reakcję, Morrolan także się uśmiechnął.

— Przepis mój kucharz ma od Vlada.

— Mam nadzieję, że Vladimir o niczym nie zapomniał — skomentował dziadek.

Alera popróbowwała tego, co miała na talerzu, i spytała:

— To jaki mamy plan? Bo mój kuzyn powiedział, że będzie ciekawie.

— Będzie — zapewniłem. — Zakończymy wojnę.

— To będzie miłe — ocenił Daymar.

— Obawiam się, że ty w tym nie będziesz brał udziału — ostudziłem jego zapał.

— To co ja tu robię?

— Jesteś jedynym, który może dostarczyć nas na miejsce.

— Czyli gdzie?

— Na Greenaere naturalnie.

— Mógłbyś to wyjaśnić? — zaproponował Morrolan.

— Klejnoty Feniksa uniemożliwiają telepatię i użycie magii, ale Daymar zdołał się przebić przez ich blokadę. Co prawda na krótko, ale podejrzewam, że z pomocą Sethry zdoła zrobić to na tyle długo, by nas tam teleportować. A być może także teleportować nas z powrotem po wszystkim.

Morrolan wykazał się dużą cierpliwością.

— Po jakim wszystkim?

— Po tym, jak wymusimy na wyspiarzach zawarcie pokoju.

— Jak?

— To mój problem. Wasz będzie polegał na tym, bym przeżył wystarczająco długo, aby dostać stosowny dokument do ręki.

Zapadła cisza.

Przerwał ją dopiero po dłuższej chwili Morrolan:

— Myślę, że trzeba przedyskutować kilka spraw.

— Proszę bardzo — zachęciłem go.

— Po pierwsze, nie dokonuję zabójstw.

— I bardzo dobrze, bo nie lubię konkurencji. Jeśli będziesz chciał kogoś wyzwać na pojedynek, obiecuję, że nie będę miał nic przeciwko temu. Bylebyś tylko go szybko zabił.

— W takim razie nie zaprzeczasz, że zamierzasz zabić tego ich Króla?

— Nie zaprzeczam. Ale i nie potwierdzam.

— Hmm... no dobrze. Po drugie, nie mamy pewności, że Daymarowi i Sethrze się uda. Imperium próbowało kilkakrotnie przełamać tę barierę i nigdy się nie powiodło. Dlaczego sądzisz, że tym razem będzie inaczej?

— Z kilku powodów. Teraz wiemy, co jest powodem, i wiemy, że można to zrobić. A co najważniejsze: mamy Sethrę Lavode.

Sethra podziękowała mi uśmiechem i skinieniem głowy.

Morrolan nadal nie był do końca przekonany.

— Strasznie to niepewne...

Spojrzałem na Sethrę i spytałem:

— A co ty o tym sądzisz?

— Warto spróbować. Na ile dobrze znasz Greenaere?

— Pewne miejsca wystarczająco dokładnie, by móc się

teleportować, jeśli o to ci chodzi. I nie jest to moja cela.

— Nie wiem, czy to wystarczy... Będziemy potrzebowali naprawdę solidnego wzorca tego miejsca. Szczegółowego i pochodzącego od wszystkich zmysłów.

— Hmm... Coś mi świta... — mruknąłem. — Pozwól, że się zastanowię...

— Doskonale — zgodziła się.

Rozejrzałem się i zapytałem:

— No dobrze. Jeszcze jakieś pytania?

Morrolan tym razem był naprawdę żądny wiedzy.

— Skąd masz pewność, że nawet jeśli ci się powiedzie, Imperium uwolni Cawti?

Wzruszyłem ramionami i przyznałem:

— To jedyny słaby punkt mojego planu: nie mam tej pewności. Mam parę pomysłów i pracuję nad tym, ale jeśli okażą się nieskuteczne, będziemy pewnie musieli zrezygnować z całego planu. Będę wiedział jutro około południa.

Morrolan potrząsnął głową nieco bezradnie.

— Twój plan to zbiór życzeń i nadziei. Oparty na nadziei uwolnienia Cawti i wsparty nadzieją, że zdołamy przełamać blokadę stworzoną przez klejnoty Feniksa. A jego finałem jest nadzieja, że zdołasz na wyspiarzach wymusić pokój i uciec.

— Ładnie to ująłeś.

— A wiesz, że nadzieja jest matką głupich?

— A ty wiesz, że każda matka hołubi swoje dzieci?

Morrolan sapnął, zamilkł i powiedział:

— Wchodzę w to.

— Zapowiada się ciekawie — dodała Alieria.

Sethra przytaknęła ruchem głowy.

A Daymar wzruszył ramionami.

Natomiast dziadek przestał mi się badawczo przyglądać i wrócił do jedzenia.

Może przypomniało mu się, jak mówiłem, że nienawidzę elfów... A teraz, gdy potrzebowałem pomocy, do kogo się zwróciłem? Tyle że znałem ich tak długo i tyle razem przeszliśmy, że nie myślałem nawet o nich jako o elfach, a Dragaerianach.

A przede wszystkim jako o przyjaciółach...

Morrolan przerwał mi na szczęście dalsze rozmyślenia:

— Kiedy zaczynamy?

Zamiast odpowiedzi zapytałem Sethrę:

— Ile czasu będziecie oboje potrzebowali na przygotowania?

— Na pewno do jutra. Dokładniej będę ci w stanie powiedzieć, gdy zaczniemy badać ten problem.

— Dobrze. Więc wstępnie możemy ustalić, że zaczniemy jutro wieczorem, ale ostatecznie zależy to od tego, czy będziecie gotowi. A ja tymczasem muszę wrócić do domu i sprowadzić tu kogoś.

— Kogo?

— Spotkaliście go. Gra na bębnie.

— Z Greenaere? — upewniła się Sethra.

— Tak.

— Myślisz, że może nam pomóc?

— Jeśli, jak podejrzewam, jest szpiegiem, zrobi to z ochotą. Jeżeli się mylę, to nie wiem.

— Jeżeli jest szpiegiem...

— W tym, o co mi chodzi, to bez znaczenia.

— Doskonale — podsumował Morrolan.

I zarządził podanie deseru.

Czyli jakichś jagód z kremem. Wiem, że je zjadłem, ale nie

pamiętam, jak smakowały.

* * *

Po posiłku dopilnowałem, by dziadek zadomowił się najlepiej, jak to tylko było możliwe. Przystudiowałem dokładnie informacje zebrane przez Kragara.

I wyszedłem na dziedziniec.

Loiosh, ty i Rocza uważajcie na wszystko szczególnie bacznie — poprosiłem.

Wiem, szefie. Już raz na ciebie czekali...

Właśnie; stąd moja prośba.

Rocza polizała mnie po szyi.

Skoncentrowałem się na pewnym narożniku po przeciwnej niż dom stronie ulicy i...

* * *

...znalazłem się tam oparty o mur. Mój żołądek jak zwykle miał mi to za złe.

Loiosh i Rocza natychmiast wystartowali i zajęli się zwiadem.

Po kilku minutach usłyszałem meldunek Loiosha:

Nikogo nie ma w okolicy, szefie.

Przekaż Roczy moje gratulacje. Wygląda na to, że szybko się uczy.

Ma dobrego nauczyciela. Co z tobą?

Obiadu nie oddałem i nie oddam. Jeszcze chwilę i będę mógł iść.

Poczekamy.

Kiedy poczułem się już normalnie, przeszedłem przez ulicę, dotarłem do drzwi mieszkania i uchyliłem je, wpuszczając oba

jheregi. Wszedłem dopiero, gdy Loiosh zameldował, że nikogo obcego nie ma.

Na szczęście Aibynn był w swoim pokoju.

— Witaj, jak leci? — powitał mnie.

— Nie najgorzej. Chciałbyś mi pomóc?

— W czym?

— W zakończeniu wojny.

— Brzmi zachęcająco. A co musiałbym zrobić?

— Pójść ze mną i pozwolić, by ktoś odczytał twe myśli, gdy skupisz się na jak najdokładniejszym przypomnieniu sobie miejsca, gdzie się spotkaliśmy.

— A to mogę zrobić z łatwością.

— Tylko wcześniej będziesz musiał zdjąć ten wisiołek.

— To? — pstryknął klejnot Feniksa zawieszony na łańcuszku.

— Żaden problem.

— Doskonale. To się zbieraj.

— Moment.

Wziął swój bęben i poczekał, aż z jednej z szuflad wyjąłem pudło z zapasowym uzbrojeniem. Potem stanąłem obok niego i rozejrzałem się po mieszkaniu, zastanawiając się, czy je jeszcze kiedyś zobaczę.

A następnie teleportowałem nas obu, bo na wszelki wypadek wolałem nie wychodzić na ulicę.

* * *

Aibynn rozejrzał się z podziwem. Czarny Zamek wywiera takie wrażenie, zwłaszcza gdy się go widzi pierwszy raz.

— Gdzie jesteśmy?

— W domu Morrolana e'Drien, lorda z Domu Smoka —

wykrztusiłem.

— Ładnie tu.

— Aha.

Odczekałem stosowny czas, by nie obrzygać wszystkiego naokoło, i ruszyliśmy ku dwuskrzydłowym wrotom. Lady Teldra powitała Aibynna jak starego przyjaciela, więc uśmiechnął się od ucha do ucha.

Doprowadziłem go do biblioteki i przedstawiłem dziadkowi i Sethrze, gdyż tylko oni go nie znali. Aibynn albo nie miał pojęcia, kim jest Sethra Lavode, albo był doskonałym aktorem. Po miłej, acz krótkiej pogawędce, w której wszyscy byli dla siebie nader uprzejmi, lady Teldra zaprowadziła go do jego pokoju.

Ja znalazłem swój bez pomocy i zasnąłem natychmiast.

* * *

Rano następnego dnia, po czternastu godzinach snu, znalazłem Morrolana w pracowni, po której oprowadzał dziadka. Odruchowo spojrzałem na okno, ale pokazywało jedynie ciemność.

Morrolan zauważył to i nie skomentował.

Powiedział za to co innego:

— Odwiedził mnie oficjalny emisariusz Domu Jherega.

— I czego chciał? — zaciekałem się.

— Przekazał mi prośbę o wydanie cię.

— Jacy uprzejmi. Wyświadczysz im tę łaskę?

Prychnął pogardliwie i spytał:

— Co ty im zrobiłeś, Vlad?

— Najśmieszniejsze jest to, że nic. Chodzi o to, co oni podejrzewają, że zrobię.

— A co podejrzewają?

— Że zabiję członka rady.

— A zabijesz?

— Tylko jeśli wrócimy z Greenaere. Najpierw obowiązki, potem przyjemność. Też stosujesz tę zasadę.

— Stosuję. A co z Imperium i Cawti?

— Właśnie zamierzam się tym zająć.

— Mogę ci pomóc?

— Być może. Możesz przekonać Cesarzową, żeby mnie przyjęła?

— Oczywiście. Kiedy?

— Zaraz.

Spojrzał na mnie, jakby nie wierzył własnym uszom.

A potem się skoncentrował i milczał przez dobre dwie minuty. Choć miał zamknięte oczy, z jego zachowania można było domyślić się przebiegu rozmowy. Najpierw dwa razy potrząsnął głową, potem wzruszył ramionami, a na koniec skrzywił się.

Po czym otworzył oczy i powiedział:

— Oczekuje cię.

— Doskonale i dzięki. Możesz mi zorganizować teleport?

— Na dziedzińcu.

— Jeszcze raz dziękuję.

Spojrzałem na okno, uśmiechnąłem się do dziadka pogrążonego już w jakimś zakłęciu i wyruszyłem w długą drogę do bramy.

Przed wyjściem uśmiechnąłem się promiennie do lady Teldry, co ją zaskoczyło, i wyszedłem na dziedziniec. Czekał tam na mnie jeden z dyżurnych magów Morrolana i sprawnie, acz z pełnym szacunkiem teleportował mnie.

* * *

Znalazłem się na placu przed Pałacem Cesarskim zarezerwowanym wyłącznie do teleportacji i odczekałem swoje, rozglądając się nerwowo. Loiosh rozglądał się jeszcze bardziej nerwowo.

Kiedy mogłem się już bezpiecznie poruszać, wszedłem do pałacu, ponownie nie zwracając uwagi na jego wygląd i tak samo jak za pierwszym razem zostałem uprzejmie i sprawnie dostarczony do sali tronowej, nad którą unosiła się siedemnastoboczna kopuła z różnobarwnego szkła. Podchodząc do tronu, zauważyłem w tłumie dworaków Sofftę i uśmiechnąłem się do niego, pokazując zęby.

Zdębiał.

Skłoniłem się przed zasiadającą na tronie Cesarzową.

— Witam, baronecie Taltos.

— Ja Waszą Wysokość także. Nie masz, pani, przypadkiem ochoty na spacer?

Prawie wytrzeszczyła na mnie oczy, nim nad sobą zapanowała.

Dworacy nie zdołali — usłyszałem za plecami odgłos pełnego oburzenia ni to jęku, ni westchnienia, którego spodziewałem się za pierwszym razem.

— Niech będzie — powiedziała Zerika. — Proszę za mną.

I poprowadziła mnie znaną drogą do białego korytarza.

Mało jej nie wyprzedziłem — byłem tak pochłonięty tym, co zaplanowałem, że w ogóle nie czułem szacunku i podziwu wypełniających mnie poprzednio. A może sprawiły to wydarzenia ostatnich dni...

Cesarzowa przerwała ciszę, w której byliśmy pogrążeni długą

chwile:

— Chce pan błagać o życie żony czy zganić swoją Cesarzową za działania podjęte przeciwko ludziom?

— Jedno i drugie, a raczej ani jedno, ani drugie, Wasza Wysokość.

— Proszę się zdecydować, lordzie Taltos. Uprzedzam jednak, że błaganie i przygana na nic się nie zdadzą. Jest mi przykro, bo pana lubię, ale działanie na szkodę Imperium jest niewybaczalne. A to ono spowodowało zarówno powtórne uwięzienie pana żony, jak i moje działania przeciw ludziom.

— Rozumiem to, Wasza Wysokość, ale mam pewną propozycję. I informację.

Spojrzała na mnie spod oka zaciekawiona i rozbawiona równocześnie.

— Proszę kontynuować.

— Czy mogę zacząć od paru pytań, Wasza Wysokość?

— Może pan.

— Czy wiesz, pani, co skłoniło mieszkańców do rebelii?

— Powodów było wiele, baroncie Taltos. Werbownicy stanowiący zło konieczne w czasie wojny, niepotrzebna przemoc, której używali przy poborze rekruta, nieodpowiedzialna przemoc, którą zareagowali mieszkańcy, godne pożałowania warunki, w jakich żyją, i parę innych.

— Zgadza się. Skupmy się na nieodpowiedzialnej przemocy mieszkańców. Czy masakra, a używam tego słowa świadomie, bo byłem tam i widziałem ją na własne oczy, Wasza Wysokość, miałyby miejsce, gdyby mieszkańcy jako pierwsi nie użyli siły?

Zastanowiła się, po czym przyznała:

— Najprawdopodobniej nie.

— W takim razie przypuśćmy, że to nie mieszkańcy zniszczyli

posterunek w Południowej Adrilance i popełnili parę podobnych przestępstw, ale pewien przedstawiciel Domu Jherega, który chciał aresztowania przywódców i stłumienia całego ruchu.

Wmurowało ją w posadzkę.

— Ma pan na to dowody? — spytała, przyglądając mi się uważnie.

— Jego własne słowa.

— Zezna pan to pod przysięgą?

— Zeznam Pod Kulą.

Cesarzowa ruszyła w dalszą drogę.

— Rozumiem... — mruknęła i zamilkła.

A ja dałem jej czas na przetrwanie tej, jak by nie było, dużego kalibru rewelacji. Po paru minutach spytała:

— Zdaje pan sobie sprawę, że takie zeznanie zgodnie z prawem musi być złożone publicznie, lordzie Taltos?

— Zdaję sobie sprawę, Wasza Wysokość.

— I że w takim razie orga... to jest pańscy współpracownicy i pański dom będą wiedzieli, że to pan wydał tego kogoś?

— Tak.

— I jest pan gotów to zrobić?

— Tak.

— Kiedy?

— Gdy tylko wrócimy do sali tronowej, Wasza Wysokość.

— Doskonale. Ale choć mnie to rozgniewało i poczynię odpowiednie kroki, nie uwalnia to pańskiej żony od odpowiedzialności za przewodzenie rebelii.

— To była informacja, Wasza Wysokość. Mówiłem, że mam jeszcze propozycję.

— Słucham.

— Jest prosta, Wasza Wysokość. Jeśli osobiście i bez kosztów

dla Imperium doprowadzę do zawarcia pokoju z Elde i Greenaere, nie narażając przy tym ciebie, pani, na żadne ryzyko, to uwolnisz moją żonę.

Ponownie zatrzymała się jak wryta i wbiła we mnie wzrok.

— Skąd to panu przyszło do głowy, lordzie Taltos?

I ruszyła w dalszą drogę.

— Podejrzewam, że wiem, czego chcą, i dlaczego rozpoczęli tę wojnę. I sądzę, że będę w stanie im to dać.

— Proszę więc powiedzieć mi, o co chodzi.

— Nie, Wasza Wysokość.

Spojrzała na mnie spod oka i roześmiała się.

— A zdoła pan przekonać żonę, żeby przestała robić zamieszanie w Południowej Adrilance, że o innych częściach miasta nie wspomnę?

— Wątpię, Wasza Wysokość.

Pokiwała głową i przygryzła dolną wargę, co było zdecydowanie niecesarskim zachowaniem. A potem powiedziała:

— Dobrze, lordzie Taltos. Jeżeli zdoła pan dokonać tego, co pan proponuje, uwolnię pańską żonę.

— I jej przyjaciół?

Wzruszyła ramionami.

— Jeżeli nie chcę następnych problemów, których celem będzie uwolnienie pozostałych, muszę wypuścić wszystkich. Jeżeli zezna pan publicznie Pod Kulą, kto dokonał tych przestępstw, i osobiście doprowadzi do zawarcia pokoju z wyspami Elde i Greenaere, który nie będzie nic kosztował Imperium, uwolnię pańską żonę i jej przyjaciół od ciężących na nich zarzutów i wypuszczę ich na wolność.

— Dziękuję, Wasza Wysokość.

Zatrzymała się po raz trzeci i dotknęła mego ramienia.

Kula zaś stała się idealnie biała.

Widząc moje zdziwione spojrzenie, Zerika wyjaśniła:

— To, co teraz mówimy, nie będzie zapamiętane przez Kulę.

— O! Nie wiedziałem, że coś takiego jest możliwe.

Zignorowała moją uwagę.

— Lordzie Taltos, zdaje pan sobie sprawę, że za to zeznanie organizacja pana zabije.

— Nie byłbym tego taki pewien, choć na pewno będą próbować.

Potrząsnęła głową i nic nie powiedziała.

Kula zmieniła barwę na różowawą tak jak poprzednio.

A my wróciliśmy do sali tronowej, gdzie Cesarzowa ogłosiła, iż będę składał oświadczenie Pod Kulą.

No to złożyłem.

Oskarżenie wygłosiłem, starannie dobierając słowa, by nie było cienia wątpliwości, kto jest winny, i aby Kula nie zakwestionowała ani razu, że mówię prawdę.

Przyglądali się temu wszyscy dworacy.

A ja cały czas patrzyłem na hrabiego Sofftę, daremnie próbującego utrzymać obojętny wyraz twarzy.

I uśmiechałem się.

Część trzecia

Kwestie estetyczne

Lekcja piętnasta

Improwizacja

Wróciłem do Czarnego Zamku i rozważyłem konsekwencje. Moje życie warte było mniej niż drobne, które miałem w sakiewce, choć za moją śmierć zapłacą znacznie więcej, ale to już nie był mój problem. Jeżeli sprawy potoczą się tak, jak się spodziewałem, to i tak będę miał satysfakcję z oszukania organizacji — to nie wynajęci zabójcy mnie zabiją. Jeżeli sprawy potoczą się inaczej, będę się martwił później.

Powodem mojego postępowania nie był ani fatalizm typowy dla przedstawicieli Domu Lyorna dochodzących w pewnym momencie do wniosku, że żyli już zbyt długo, ani też skłonności samobójcze, jakie opanowały mnie po pewnym przykrym doświadczeniu. Na szczęście na krótko. Po prostu sytuacja wyglądała tak, że miałem coraz mniej możliwości działania, aż w końcu, by osiągnąć to, czego chciałem, pozostała tylko jedna. A chciałem to osiągnąć, bo wydało mi się to słuszne.

Co rodziło pytanie, odkąd to zająłem się robieniem rzeczy słusznych zamiast praktycznych. Po głębszym zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że wcale nie w ostatnich dniach na ulicach miasta, ale dość dawno. Tyle że stosunkowo rzadko i nie zawsze w ważnych kwestiach, toteż po prostu nie zdałem sobie wcześniej z tego sprawy.

Przemyślenia doprowadziły mnie także do zaakceptowania dwóch innych prawd, które uświadomiłem sobie już wcześniej, ale do których nie chciałem się sam przed sobą przyznać. Pierwszej, że kobieta, z którą się ożeniłem, przestała istnieć

nieodwracalnie, a więc że to, co miałem zamiar zrobić, było ostatnią rzeczą, na jaką mogła liczyć z mojej strony. I drugiej — że istnieją problemy, których nie da się rozwiązać zabiciem jednej osoby. Rozwiązanie było bardziej skomplikowane i jak się okazało, częstokroć wymagało działania, na którym korzystało Imperium, którego nienawidziłem.

Tak na marginesie tego ostatniego, zrozumiałem też, że z Cawti stało się coś podobnego: przeniosła swoją nienawiść z elfów na Imperium.

Bo brutalna, podstawowa prawda była taka, że nie da się żyć bez nienawiści. Jedynie durnie udają, że jest to możliwe, a tylko hipokryci twierdzą, że to uczucie jest złe. Z tym ostatnim na szczęście nigdy nie miałem problemu. Natomiast niestety czasami nienawiść potrafi ogłupić tak jak miłość, co ma opłakane skutki. W moim przypadku zaowocowała samooszukiwaniem się, i to bez sensu, że nienawidzę elfów, podczas gdy wszyscy moi przyjaciele byli Dragaerianami. Nienawiść do Imperium była rozsądniejsza, choć bardziej frustrująca. Pozwalała jednakże na kontrolowanie własnych poczynań. Uświadomienie sobie tego wszystkiego nie było ani łatwe, ani przyjemne, ale dało mi poczucie swobody w podejmowaniu decyzji, jakiego od dawna nie miałem.

Na wszelki wypadek sporządziłem też stosowne dokumenty, bo organicznie nie lubię niedokończonych spraw i związanego z tym bałaganu. Miałem nadzieję, że przynajmniej część z nich okaże się niepotrzebna, ale wolałem nie liczyć na szczęście. Przez cały ten czas miałem jeszcze jedną nadzieję: że w jakiś sposób zdołam powiedzieć Verze, co myślę o jej pomysłowości i innych drobiazgach.

* * *

Było wczesne popołudnie, gdy Morrolan zaprosił mnie do swojej pracowni przeznaczonej wyłącznie do eksperymentów z czarami. Ponieważ zdążyłem już odpocząć i skończyłem intensywnie myśleć, zacząłem się bać.

I to w miarę upływu czasu coraz bardziej.

Po drodze wstąpiłem po Aibynna i razem zjawiliśmy się w komnacie, w której czekali Sethra, Daymar i Morrolan. Zastaliśmy ich debatujących nad stolikiem, na którym leżał czarny klejnot Feniksa. Przywitaliśmy się i zaczęły się doświadczenia.

— Łap, Vlad — poleciła Sethra i rzuciła mi kryształ.

Złapałem, bo co miałem zrobić.

— A teraz spróbuj skontaktować się ze mną telepatycznie.

Spróbowałem.

Efekt był taki jak przy próbie na wyspie: nikogo nie było w domu.

— A teraz patrz — poleciła i wykonała oszczędny gest prawą dłonią.

Mój rapier zaczął wysuwać się z pochwy.

Wykonała drugi gest i wrócił na miejsce.

— I co? — spytałem inteligentnie.

— Kamień nie ma wpływu na magię.

— To jak w takim razie...

Uniosła dłoń, toteż umilkłem.

— Teraz — powiedziała — zakręć Spellbreakerem młynka, jak masz to w zwyczaju, broniąc się przed atakiem przy użyciu magii.

— Co? Dobra.

Poruszyłem lewym nadgarstkiem i Spellbreaker opadł w moją dłoń. Był chłodny w dotyku i jego ogniwa nie zmieniły wielkości. Zrobiłem, o co prosiła, choć nie miałem pojęcia po co jej to. Gdy łańcuch utworzył wirujący krąg między nami, Sethra wykonała ten sam co poprzednio gest. Poczułem słabe mrowienie w lewej dłoni, a rapier nawet nie drgnął.

— I co? — powtórzyłem. — Wiemy, że Spellbreaker tworzy barierę, przez którą nie może przeniknąć magia... Sprawdziłem to wielokrotnie.

— Zgadza się. Podobnie jak coś, co znajduje się na wyspie. Czy to podobieństwo cię nie uderzyło?

— Owszem, nawet parę razy. A o co konkretnie chodzi?

— Ten łańcuszek kryje w sobie dużo tajemnic... — powiedziała powoli Sethra. — Ale sądzę, że jedną właśnie odkryliśmy. On nie jest wykonany ze złota, lecz ze złotego klejnotu Feniksa.

— A, to wy tak to nazywacie — odezwał się Aibynn dotąd zachowujący się tak cicho, że zapomniałem o nim zupełnie.

— A jak wy go nazywacie? — spytał niewinnie Morrolan.

— Na wyspie nazywamy to kamieniem.

Widząc błysk w oczach Morrolana, dodałem czym prędzej:

— O tym, że Spellbreaker nie jest ze złota, wiedziałem od dawna: jest zbyt odporny i zbyt twardy jak na złoto.

— Jest wykonany ze złotego klejnotu Feniksa — powtórzyła Sethra. — Czarny blokuje telepatię, złoty użycie magii.

Przyjrzałem się z namysłem Spellbreakerowi.

— Wygląda na metalowy... — powiedziałem niepewnie. — I taki też jest w dotyku...

— Jak już powiedziałam, on kryje wiele tajemnic. Większości nie znam lub nie potrafię zrozumieć.

— No dobrze. — Rozejrzałem się. — Mam nadzieję, że te

informacje okażą się pomocne w dotarciu na wyspę.

— Prawdopodobnie. Zakręć nim jeszcze raz.

Zrobiłem, co kazała.

Sethra spojrzała na Daymara, a gdy ten kiwnął głową, raz jeszcze wykonała znany już gest prawą ręką.

Mój rapier zaczął wysuwać się z pochwy, tyle że bardzo powoli.

Zrobiła drugi gest i wrócił na miejsce.

— Wygląda obiecująco — oceniłem. — Jak?

Odpowiedziała pytaniem:

— A w jaki sposób Alera zlikwidowała ścianę, uwalniając cię?

— Używając magii przedimperialnej.

— Właśnie.

— Możecie się dzięki temu teleportować? Bo z tego co wiem, dokładna kontrola tego typu magii jest niemożliwa. Dlatego właśnie stworzono Kulę.

— Tak i nie — odparła Sethra. — Mogę wywołać zakłócenie w barierze tworzonej przez klejnoty, co pozwoli Daymarowi przeniknąć przez barierę złotych, ignorując czarne, a to pozwoli mi przejść przez czarne, ignorując złote. To niełatwe.

— Natomiast podobne do sposobu, w jaki porozumiewasz się z Loiosem — dodał Morrolan. — To nie tyle telepatia, ile...

— Mniejsza o szczegóły, byle zadziałało — przerwałem mu.

— Powinno — oceniła Sethra. — Jeżeli będziemy dysponować wystarczająco dokładnym wyobrażeniem miejsca, w które mamy was teleportować.

I spojrzała na Aibynna.

Ten zaś spojrzał na nią niczym ucieleśnienie niewinności.

— No dobrze — powiedziałem. — A co z powrotem?

— Daymar spróbuje się z wami połączyć telepatycznie.

— Kiedy?

— A to trzeba uzgodnić.

Uzgodniliśmy, że po trzech godzinach Daymar spróbuje nawiązać ze mną kontakt i będzie to robił co pół godziny, dopóki mu nie powiemy, że wracamy.

Sethra przyjrzała mi się i spytała z uśmiechem:

— Wiesz, że znacznie trudniej jest teleportować coś do Siebie niż od siebie?

— Wiem, ale mam do ciebie zaufanie.

— To miłe.

Postanowiłem przejść do rzeczy:

— To kiedy zaczynamy?

— Urodziłem się gotów.

— W takim razie poprosimy tu Alierę i możemy zaczynać.

Alera zjawiała się prawie natychmiast. Ubrana była w czarno — srebrny skórzany kaftan nabijany guzami i także spodnie wpuszczone w wysokie buty. Ponieważ jak na lady z Domu Smoka jest raczej niska — ledwie co wyższa ode mnie — dotąd nosiła długie suknie i lewitowała, zamiast chodzić. Ostatnio przestała w ten sposób dodawać sobie wzrostu. Miałem zamiar spytać ją, skąd ta nagła zmiana, ale jakoś się dotąd nie złożyło. Przy boku miała broń zwaną Pathfinderem — jedną z siedemnastu Wielkich Broni. Niewiele poza tym o niej wiedziałem, ale jakoś nie ciekawiły mnie te informacje. Podobnie zresztą jak większość osób, które zetknęły się z jakąkolwiek Wielką Bronią.

Podobnie rzecz się miała z Blackwanderem, czyli bronią Morrolana. Ktoś kiedyś powiedział, że to równowartość batalionu ciężkiej piechoty mająca postać broni białej. Było to trafne określenie i nader mi się podobało.

Sethra ustawiła nas w trójkąt, tak że ja stałem z tyłu, Morrolan przede mną z prawej, a Alera z lewej. Na prawym ramieniu miałem Loiosha, na lewym nieco podenerwowaną Roczę.

Sethra przyjrzała nam się i poleciła:

— Vlad, połóż rękę na ramieniu Morrolana, a drugą na...
Witam, panie Taltos.

Uniosłem głowę i zobaczyłem zbliżającego się dziadka.

Przez moment zacząłem się bać, że będzie się upierał, by nam towarzyszyć, ale on jedynie założył mi na szyję amulet i pocałował w policzek.

— Na co to? — spytałem.

— Powinien zlikwidować problemy z żołądkiem po podróży przez krainę niebytu.

Przez moment nie wierzyłem własnym uszom.

— Noish—pa, chcesz powiedzieć, że już mi się nie będzie chciało rzygać po teleporcie? — upewniłem się na wszelki wypadek. — Jesteś wspaniały! Osiągnąłem już wszystko w życiu!

— Nie! — sprzeciwił się ostro dziadek. — Osiągniesz to dopiero, gdy będę miał prawnuka. I nie waż mi się o tym zapomnieć!

Spojrzałem mu w oczy i ucałowałem w policzek.

— Nie zapomnę! — obiecałem.

Dziadek cofnął się na miejsce, w którym stali Aibynn, Sethra i Daymar.

A ja położyłem jedną rękę na ramieniu Morrolana, drugą na ramieniu Aleri i powiedziałem:

— Jesteśmy gotowi!

— Aibynn, skoncentruj się na tej polanie — poleciła Sethra. —
Możesz?

— Oczywiście.

— Doskonale. Skoncentruj się, otwórz swój umysł i... i zdejmij z szyi to cholerstwo!

— A tak... przepraszam.

— Połóż na stole i wróć na miejsce... Doskonale. Teraz przypomnij sobie każdy najdrobniejszy szczegół, jaki potrafisz... doskonale. Sądzę, że jesteśmy gotowi, Vlad.

— W takim razie zaczynamy!

Mogłem mieć tylko nadzieję, że Aibynn nie myślał o celi, morzu czy innym równie atrakcyjnym miejscu. Gdybym mógł mu choć trochę bardziej zaufać...

Poczułem potężną obecność psychiki Daymara we własnym umyśle, choć musiałem przyznać, że starał się być niezwykle delikatny. A zaraz potem coś wykręciło mi umysł i zmaćło zmysły jak kamień wrzucony w sadzawkę. Nie byłem w stanie myśleć, a wszystko widziałem, słyszałem i czułem jak z za grubej ściany mgły. Próbowałem skupić się na czymś solidnym i konkretnym, ale mi się nie udało, a potem przestałem już pamiętać cokolwiek...

* * *

Pamięć wróciła, gdy spowilo mnie błękitne światło i gdzieś z nami pomknęło. Konkretnie w kierunku, którego nie sposób opisać. Nie czułem ruchu ani mdłości. W ogóle nic nie czułem...

* * *

Staliśmy w cieniu drzewa, z którego nie tak dawno temu spadłem. Amulet dziadka rzeczywiście zadziałał, a teleportacja się udała. Byłem w doskonałym humorze.

Żałowałem tylko, że nie zabrałem jakiejś butelki, by to uczcić.
Z odświeżonego nastroju wyrwał mnie głos Morrolana:

— Jaki mamy plan?

W pierwszym momencie nie bardzo zrozumiałem, o co mu chodzi.

W drugim poleciłem:

— Chodźcie za mną!

I spytałem Loiosha:

Pamiętasz drogę?

Do tej wiochy udającej stolicę? Oczywiście. Skręć trochę w lewo... teraz w porządku.

Narzuciłem ostre tempo, ale szło nam się dobrze, gdyż wokół było dziwnie spokojnie. Las był pusty i cichy — prawdopodobnie był to brak psychicznego tła, które jest wszechobecne, a z którego istnienia nikt nie zdaje sobie sprawy, póki go nie zabraknie. Szybko zapomniałem o obecności wszystkich poza Loioshem. Nawet Roczy. Dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, że doskonale panowała nad paniką, a musiało to być dla niej nie lada przeżycie. Teleportacja nadal stanowiła dla niej coś nowego i rzadkiego, a tym razem doszła do tego cała ta dziwna magia przedimperialna. Loiosh naprawdę dobrze wybrał.

Dziękuję, szefie.

Drobiazg.

Skoro jesteś taki miły, to co od wczoraj przede mną ukrywasz?

Trenuj cierpliwość, wkrótce się dowiesz.

* * *

Po półgodzinie dotarliśmy do miejsca mego starcia z patrolem. Nie widać było żadnych śladów po nim, ale nie traciłem czasu na

poszukiwania. Loiosh prowadził mnie, a ja prowadziłem pozostałych, i to ostrym marszem.

* * *

Po godzinie dotarliśmy do zabudowań. Akurat zaczął zapadać wieczór. Ani po drodze, ani teraz nie tylko nie spotkaliśmy, ale nawet nie zauważyliśmy nikogo.

Gdzie są wszyscy, szefie? — zaniepokoił się Loiosh.

Pewnie w porcie, przygotowując się do odparcia inwazji, albo innej bitwy morskiej.

Och.

— Może byśmy coś zjedli? — zaproponowałem.

Pomysł został przyjęty, a ponieważ prowiant przygotował kucharz Morrolana, tak chleb, jak i sucha kiełbasa były doskonale. Jadłem powoli, toteż gdy skończyłem, było już prawie ciemno, tak jak sobie zaplanowałem.

— Co teraz? — spytał Morrolan.

Oboje obserwowali mnie spokojnie, ale nie ukrywając ciekawości.

— Teraz zaprowadzę was do budynku udającego królewski pałac, wynegocjujemy pokój i zabieramy się stąd.

Alera uśmiechnęła się lekko.

— Mówiąc po prostu: wielka improwizacja.

— Trafiłaś w sedno.

— Doskonały plan — burknął z przekąsem Morrolan.

— Dzięki. Też tak uważam.

I zaprowadziłem ich do celu.

Powstrzymali się od komentarza tak na widok domostwa, jak i braku straży.

Wmaszerowaliśmy po schodach, otworzyliśmy z hukiem drzwi i obudziliśmy dwóch strażników. Żaden nie nosił munduru, a za jedyne uzbrojenie mieli krótkie dzidy. Mogliśmy ich zabić, nie zwalniając kroku, ale nie to było moim celem, więc przystanęłam i poczekałam, aż się rozbudzą.

Poszło im naprawdę szybko.

— Zaprowadźcie nas do... — zacząłem.

— Ktoście? — przerwał mi ten, który pierwszy odzyskał mowę.

— Nieoficjalni emisariusze Imperium Dragaeriańskiego. Chcemy negocjować zawarcie...

— Ja cię znam! — przerwał mi drugi. — To ty...

— Co było, minęło, a przerywanie jest nieuprzejme — oznajmiłem mu z uśmiechem.

Za plecami usłyszałem dodający otuchy odgłos wydobywanych z pochew kling. Świadomość, że człowiek ma po swojej stronie, i to dwa kroki za plecami, parę takich fechtistrzów, w dodatku uzbrojonych w Wielkie Bronie, naprawdę doskonale wpływa na morale.

Na morale wartowników też wpłynęło, tylko odwrotnie.

Zrobili się dziwnie nerwowi i małomówni.

— Chcemy zobaczyć się z Królem — poinformowałem ich.

— Ja... zobaczę, czy jest... to jest... tego... poszukam...

— Doskonale. Byle szybko.

Bardziej wygadany przełknął ślinę i cofnął się o parę kroków.

Zrobiłem tych parę kroków do przodu, a Alera i Morrolan za mną.

Skłoniło to drugiego strażnika do rejterady.

— Musicie tu poczekać! — powiedział niepewnie pierwszy. — Nie możemy was przepuścić.

— Błąd — uświadomiłem go uprzejmie. — Nie możecie nas

powstrzymać.

— Podniesiemy alarm!

— Proszę bardzo.

Spojrzeni na siebie i ryknęli:

— Pomocy! Napad!

Ponieważ nadal nie chciałem ich zabijać, przepchnąłem się przez nich. Przechodząc, poklepałem tego, który mnie poznał, po ramieniu.

Nie wiedzieć dlaczego dziwnie zbladł.

A potem zbiegał też jego towarzysz; mimo klejnotów Feniksa dotarło do nich, co trzymają w dłoniach Alera i Morrolan. Cóż, Wielkie Bronie wywołują taki efekt psychologiczny...

— Tędy — powiedziałem, kierując się ku sali tronowej.

Tam stało kolejnych dwóch wartowników — blady jegomość z siwym pasmem w czarnych włosach i niewiasta o imponująco haczykowatym nosie. Musieli usłyszeć ostrzeżenie, bo skierowali ku nam ostrza sulic.

Poza nimi w pomieszczeniu znajdowały się jeszcze cztery osoby.

Z prawej strony tronu stała starsza kobieta o przetykanych siwizną włosach oraz przenikliwych i głębokich oczach. Z lewej zaś dwóch mężczyzn. Jeden stary i raczej niechlujny; drugim był mój znajomy przesłuchujący o krzaczastych brwiach. Za całe uzbrojenie miał tylko sztylet przy pasie. Stary i kobieta nie mieli nawet tego. Na tronie siedział liczący góra trzysta lat gówniarz wpatrujący się w nas z mieszaniną strachu i niedowierzania. Pamiętałem go z poprzedniego pobytu: po stroju i stosunku doń innych odgadłem, że to syn żyjącego wówczas władcy, i okazało się, że miałem rację.

Podszedłem do tronu na tyle blisko, na ile się dało, by straż nie

mogła mnie dźgnąć, i zagailem:

— Życzymy Waszej Wysokości miłego wieczoru i przepraszamy za najście. „Wasza Wysokość” to dobra forma?

Przełknął z trudem ślinę i wykrztusił:

— Może być.

— Doskonale. Nazywam się Vladimir Taltos, a to są moi przyjaciele: Morrolan e’Drien i Alera e’Kieron. Przybyliśmy, żeby przedyskutować zawarcie pokoju.

Obaj strażnicy nie spuszczaali wzroku z Wielkich Broni i wyglądali na głęboko nieszczęśliwych.

Nie dziwiło mnie to, dlatego zaproponowałem:

— Alera i Morrolan, może w goście dobrej woli schowalibyście broń?

Schowali.

Pomogło to najwyraźniej Królowi w odzyskaniu głosu, gdyż spytał chrapliwie:

— Jak się tu dostaliście?

— Dzięki magii, Wasza Wysokość.

— Ale...

— A, tak, wiem. Rozwiązaliśmy ten drobny problem.

— Niemożliwe!

Wzruszyłem ramionami.

— W takim razie nas tu nie ma i możecie nas bezpiecznie ignorować, ale powinienem uprzedzić, że tak naprawdę przybyliśmy tu zabić Waszą Wysokość i jego najbliższych doradców. Tylko nam ręce opadły, kiedy zobaczyliśmy, jak jesteście chronieni. Pusty śmiech powoduje osłabienie fizyczne.

— Gońcy już zostali rozesłani! — oburzył się. — Za moment będzie tu pełno wojska!

Pokiwałem głową.

— W takim razie powinniśmy osiągnąć porozumienie, zanim się tu zjawi to wojsko, bo inaczej wasza armia poniesie duże straty.

Skrzywił się i widać było, że do strachu zaczął powoli sączyć się gniew.

Stojąca obok kobieta najwyraźniej też to zauważyła, gdyż pochyliła się i zaczęła mu coś cicho tłumaczyć. Popatrzyłem na to, tłumiąc uśmiech, i telepatycznie wydałem rozkaz Loioshowi. Wraz z Roczą wystartowali natychmiast i przelecieli każde do swojego wartownika, którym usiedli na ramionach.

Reakcje wartowników były naprawdę rozbijające. Jak kukielki kontrolowane przez tego samego animatora równocześnie podskoczyli, omal nie spanikowali, po czym zapanowali nad sobą i znieruchomieli. Byłem pełen uznania dla ich instynktu samozachowawczego.

Król zakończył szeptaną konferencję i oznajmił:

— To ty...

— Tak, to ja — przerwałem. — A powodów i tak nie poznacie, więc darujcie sobie. Wy natomiast zatopiliście kilka naszych jednostek pływających i zabiliście paruset obywateli Imperium. Ile istnień jest warte życie Króla? Jesteśmy gotowi uznać rachunki za wyrównane, jeśli i wy tak zrobicie.

— Był moim ojcem.

— Przykro mi, ale to już niczego nie zmieni.

— Przykro! — prychnął.

— Tak. Z powodów, których nie mogę wyjaśnić, podobnie jak nie mogę wyjawic, kto chciał jego śmierci. Tego nie da się zmienić, ale uważam, że już go pomściliście. Chcemy zakończyć rozlew krwi. Decyzja zależy od was, więc...

W tym momencie na korytarzu zatupotało — zbliżało się

więcej niż kilka osób, i to w dużym pośpiechu.

Nie odwróciłem się, za to spytałem Loiosha:

Ilu?

Ledwie dwudziestu, szefie.

— Alier, Morrolan, uważajcie na nich, dobrze? — poprosiłem.

— Już to robimy, Vlad.

Jakoś dziwnie nie miał nic przeciwko temu, że to ja rozkazywałem...

W tym momencie usłyszałem głos Daymara:

Vlad?

Wszystko w porządku, Daymar. Skontaktuj się za pół godziny.

Dobrze.

Daymar przerwał kontakt, a ja się rozejrzałem.

Do sali wkroczyło około dwudziestu zbrojnych, ale znajdowali się w nieciekawej sytuacji, bo staliśmy między nimi a Królem. Co prawda oddzielało nas od niego dwoje strażników, ale każdy miał na ramieniu jadowitego jherega, więc trudno ich było uznać za jakąkolwiek przeszkodę.

Żeby nikomu nic głupiego z nudów do głowy nie przyszło, powiedziałem:

— Wasza Wysokość musi podjąć decyzję. Chyba że najpierw mamy wyrznąć tych biedaków na dowód, że nie żartujemy, a potem będziemy kontynuować negocjacje?

W końcu mój rozmówca zaczął myśleć:

— A skąd wiecie, że będziemy przestrzegali umów zawartych w takich warunkach?

— Nie wiemy, ale jeśli nie będziecie przestrzegać, wrócimy, tyle że w parę tysięcy luda.

Odwrócił się do starej i znów zaczęli szeptać konferencję.

Podsunęło mi to pewien pomysł:

Loiosh, słyszysz, co mówią?

Ona mówi, że Elde nie ma nic przeciwko zawarciu pokoju, o ile on zdoła uzyskać gwarancje, że...

— Dobrze — oznajmił młodzik. — Zgadzą się. Jednostki, które zatopiliśmy, zostają uznane za zadośćuczynienie wyrządzonych nam krzywd. Ale to nie wszystko... momencik.

Teraz odbył szeptaną konferencję ze stojącym po drugiej stronie tronu.

Loiosh?

Za daleko cholery stoją, szefie.

Przykre. Ta stara musi być ambasadorem Elde albo kimś takim. Tamci to pewnie lokalni doradcy...

Szeptana narada potrwała jeszcze parę minut, w końcu monarcha pokiwał głową i oznajmił:

— Żądamy dwóch rzeczy. Po pierwsze, gwarancji, że nie spadną na nas, czyli na mieszkańców i statki Greenaere i Elde, żadne represje. Po drugie, chcemy wydania w celu ukarania zabójcy i jego pomocnika.

Spojrzałem przez ramię za siebie.

Aliera obserwowała zbrojnych w drugim końcu pokoju, toteż zwrócona była plecami do mnie. Morrolan zaś stał bokiem. Widząc moje spojrzenie, uniósł wargi i spytał bezgłośnie:

— Zabójca?

Uśmiechnąłem się promiennie i odwróciłem głowę.

— Odnośnie do pierwszego warunku — możemy go zaprzysiąc. Wystarczy?

— Nie! — oznajmił Król bez konsultacji tym razem.

— Nie macie najlepszej pozycji do targów — przypomniałem mu średnio uprzejmie.

— Może. — Najwyraźniej widok własnych wojaków pomógł

mu odzyskać pewność siebie. — Ale równie możliwe jest, że wcale nie było tak łatwo wam tu dotrzeć. Możliwe, że nie jesteście w stanie przysłać tu w ten sposób większego oddziału. Mogło się wam udać przypadkiem. A nie jest też wykluczone, że wcale nie dotarliście tu przy użyciu magii, ale prześliznęliście się na pokładzie niewielkiego statku przez nasze patrole. Możliwości, jak widać, jest wiele...

— Owszem — przyznałem. — Chcecie zaryzykować którąś?

— Jeżeli te warunki nie zostaną spełnione, to tak.

— Jakie to mają być gwarancje?

— Słowo waszej Cesarzowej.

— Jesteśmy nieoficjalnymi emisariuszami — przypomniałem mu. — Nie możemy mówić w jej imieniu.

— Spiszemy traktat pokojowy, w którym zawarty będzie ten warunek. Cesarzowa może go podpisać i zwrócić albo nie. Zezwolimy jednej niewielkiej jednostce pod osobistą flagą Cesarzowej przyplłynąć tu z dokumentem. Na trzy dni zaprzestaniemy jakichkolwiek działań, by dać jej czas na zapoznanie się z warunkami, podpisanie i zwrócenie traktatu. Ale nie zaprzestaniemy przygotowań.

— Uczciwe — oceniłem. — Jeżeli zaś chodzi o drugi warunek, to jest on niemożliwy do spełnienia.

Przyjrzał mi się i odbył kolejną szeptaną naradę z doradcami.

Ten, którego miałem wątpliwą przyjemność poznać, prawie cały czas gapił się na mnie. Narada trwała nader krótko, a potem Król oznajmił:

— W takim razie wojna będzie, bo nie pozwolimy, żebyście obaj pozostali bezkarni.

— Ot, praworządni się znaleźli. Dobra, niech skryba czy inny sekretarz przygotowuje traktat, a my się zastanowimy. Może uda się

wypracować jakiś kompromis.

— Doskonale — zgodził się łaskawie.

Na te słowa stary wyszedł — najwyraźniej to on był nadwornym skrybą.

Pozostało tylko mieć nadzieję, że pisze staranniej, niż wygląda.

Rzeczywiście — wrócił po chwili z pulpitem, kałamarzem, suszką, pękiem piór i pergaminem. Po czym wziął się do pracy.

A ja spytałem:

— Mogę podejść bliżej do Waszej Wysokości?

Obaj wartownicy sprężyli się, choć nie mogłem wyobrazić sobie do czego.

Natomiast zapytany odparł spokojnie:

— Proszę.

— Vlad, co ty wyprawiasz? — spytał Morrolan.

— Zabijam czas.

Podszedłem i chwilę mówiłem cicho do Króla. Nie na tyle cicho jednak, by nie słyszeli tego stojący przy tronie doradca i ambasadorka.

No i oczywiście Loioosh.

Szefie, to...

Zamknij się!

Ale...

Zamknij się, wiem, co robię.

Gdy skończyłem, Król przyjrzał mi się dziwnie, po czym spojrzał na doradcę.

Ten skinął głową, ambasador zaś powiedziała:

— To już nie jest problem Waszej Wysokości.

— Dobrze — zdecydował Wasza Wysokość. — Niech tak będzie.

Przez cały ten czas skryba pilnie pisał.

Poleciłem Loioshowi, by oboje z Roczą zostawili strażników i przenieśli się na moje ramiona. A ja wróciłem do swoich towarzyszy.

Aliera przyjrzała mi się podejrzliwie i spytała:

— Vlad, o czym rozmawialiście?

— O kompromisie. Wyjaśnię, gdy wrócimy.

Skryba nadal się mozolił, a ja ponownie usłyszałem głos Daymara:

Vlad?

Za pięć minut. Prawie skończyliśmy.

Powiem Sethrze.

Skryba wreszcie skończył i podał pergamin władcy.

Ten przeczytał, podpisał i podał go doradcy.

Doradca podszedł i wręczył go mnie.

Przeczytałem, kiwnąłem głową i zwinąłem kartkę w rulon, po czym wręczyłem Morrolanowi.

Ten oczywiście zaraz zaczął ją rozwijać.

— Nie — sprzeciwiłem się. — Przeczytasz w domu.

— Dlaczego?

— Bo już nas tu nie ma.

I jakby na zawołanie usłyszałem głos Daymara:

Vlad?

W porządku. Zabierz nas do domu.

Tym razem proces trwał tak wolno, że zacząłem się bać, iż magia nie zadziała. W końcu jednak otoczyła nas różowa poświata i poczułem początki dezorientacji.

Na tym etapie jeszcze mogłem się ruszyć, toteż zrobiłem krok w lewo i znalazłem się poza strefą oddziaływania magii. Ani Morrolan, ani Alera tego nie zauważyli i zniknęli.

Wszyscy obecni gapili się na pusty kawałek pomieszczenia,

najwyraźniej zszokowani tym, że tu i teraz byli świadkami działania magii.

Dałem im parę sekund na podziwianie, po czym zapytałem:

— Tak z czystej ciekawości, to jakie tu macie zwyczajowe metody egzekucji królobójców, Wasza Wysokość?

Dzięki temu ponownie stałem się ośrodkiem powszechnego zainteresowania.

Lekcja szesnasta

Postępowanie z kierownictwem I

Poszło im sprawnie, gdyż nie stawiałem oporu. Dwóch złapało mnie za ręce, inni odpięli mi pelerynę, zdjęli rapier i zabrali sztylet. A potem mnie puścili, ciąg dalszy rewizji zostawiając na później. Czyli pozbawili mnie nieco więcej niż połowy broni.

Gdy odstąpili, Król powiedział:

— Zwyczaju żadnego nie mamy, bo dotąd nie zdarzyło się królobójstwo. Ale nie będziemy okrutni.

— Dzięki. Doceniam to.

— Dotrzymam umowy, ale najpierw chcę wiedzieć. To prawda, że Aibynn z Lowporch nie był twoim wspólnikiem?

— Prawda. A do momentu, do którego nie zaczęliście się domagać jego wydania, podejrzewałem, że jest waszym szpiegiem. Natomiast pomógł mi, gdy byłem ranny, dlatego poczuwam się do pewnej lojalności wobec niego.

— Jeszcze jedno mnie ciekawi: dlaczego ukryłeś treść naszych uzgodnień przed przyjaciółmi?

— Bo nie zgodziliby się na to.

— W takim razie mogą próbować cię uratować.

— Wysoce prawdopodobne, więc jeśli chcecie mnie zabić, lepiej się pospieszcie.

Poszeptał o czymś z doradcą, po czym gdy ten się oddalił, uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Wkrótce będzie tu dość wojsk, żeby...

— Doszło do imponującej masakry — przerwałem mu. — Widzieliście, a nie dotarło do was, z czym macie do czynienia. Słyszał tu może ktoś o broni, którą Serioli nazywają: Magiczna—Klinga—Do—Zadawania—Śmierci—W—Formie—Czarnej—Broni? My nazywamy go Blackwander, a używa go obecny tu do niedawna mój przyjaciel Morrolan. Widzę, że słyszeliście. No to ciąg dalszy. A o Długim—Sztyletokształnym—Ogniu—Który—Pali—Jak—Lód? To Iceflame, własność Sethry Lavode z Góry Dzur. Też mojej przyjaciółki, która również może się tu zjawić. O, widzę, że zabrzmiało znajomo, czyli Sethrę też znacie. Jaki ten świat mały. To żeby był komplet, jest jeszcze Artefakt—W—Kształcie—Klingi—Który—Szuka—Prawdziwej—Drogi, czyli Pathfinder, a ma go Alera e’Kieron, to ta niewysoka niewiasta, która tu była. Mówiąc krótko: na tej wyspie nie ma nie tylko dość wojska, ale nie ma dość mieszkańców, żeby uniemożliwić im uratowanie mnie, gdy się tu zjawią i zastaną mnie jeszcze żywego.

Widać było, że nimi wstrząsnęło.

Przedłużając się ciszę przerwał w końcu monarcha:

— Jesteś tak lojalny, żeś gotów poświęcić życie, wobec kogo: Cesarzowej czy wobec Imperium?

— Ani jedno, ani drugie. Mają jako zakładniczkę moją żonę. Jest skazana na śmierć i tylko w ten sposób mogę ją uwolnić.

— Skazana na... za co?

— Za przewożenie rebelii.

Wytrzeszczył oczy, zachichotał i roześmiał się w głos.

— Więc poświęcisz życie w interesie Imperium, które próbowała zniszczyć twoja żona, aby ona została uwolniona i spróbowała raz jeszcze? — spytał, gdy się uspokoił.

— Coś w tym stylu — burknąłem, nie bardzo wiedząc, co go

tak rozbawiło.

— Dlatego zamordowałeś mojego ojca?

— Nie.

— To dlaczego?

— Zaczyna mnie to nudzić. Jeżeli chcecie dać się zabić, gdy zjawią się tu moi przyjaciele, powiedzcie od razu. Jeżeli chcecie mnie zabić, to zróbcie to wreszcie. Po co tracić czas na to całe gadanie?

— Bo jestem ciekaw. Poza tym mamy zamiar stracić cię publicznie, a nie zarznąć od ręki tu i teraz.

— To jesteście durnie.

— Naprawdę sądzisz, że przybędą tak szybko?

— Naprawdę to pojęcia nie mam.

Po prawdzie podejrzewałem, że właśnie skończyli się kłócić i zabrali do przypominania sobie szczegółów sali tronowej. Na pewno nie czekali z założonymi rękami. I na to właśnie liczyłem.

Król pokiwał głową i spytał:

— A co z twoimi... zwierzętami?

— Nic wam nie zrobią.

Tak?! — zirytował się Loiosh. To ty mnie jeszcze nie znasz! Zabiję każdego, kto ci spróbuje zrobić krzywdę, a Rocza mi pomoże.

Nie zrobisz tego.

A jak mnie powstrzymasz?

Loiosh, to dla Cawti.

Tak? A co mnie obchodzi ta idiotka, która ci życie zrujnowała?

Odchrząknąłem.

— Przepraszam, Wasza Wysokość, ale wyniknął pewien problem.

— Z tymi zwierzętami?

— To nie są zwierzęta... to przyjaciele. I nie chcą pozwolić, by ktoś mnie skrzywdził. Muszę z nimi porozmawiać.

Młodzian potrząsnął głową z niedowierzaniem i spytał:

— Jak ktoś taki może mieć tak lojalnych przyjaciół?

— Cholera wie — przyznałem. — Może to dlatego, że jestem uczciwy...

Przekrzywił głowę i przyjrzał mi się z namysłem.

— Wbrew żartobliwemu tonowi to może być i prawda... Jesteś zawodowym zabójcą, czyli zabijasz dla pieniędzy, tak?

Wzruszyłem ramionami — stare przyzwyczajenia niełatwo umierają.

Król zaś dodał:

— Jeżeli zapłacę ci wystarczająco dużo, czy zabijesz tego, kto wynajął cię, byś zabił mego ojca?

Pomysłowy był, musiałem mu to przyznać. A propozycja nęcąca, tylko niestety niewykonalna.

— Przykro mi, ale tym razem tego się nie da zrobić, obawiam się — powiedziałem szczerze.

— Szkoda. Jesteś użytecznym narzędziem i wolałbym być w stanie cię używać, niż zniszczyć. Tak, zabiję cię i twoich latających przyjaciół także, jeśli się wtrąca, i dotrzymam umowy. Ale znacznie bardziej wolałbym wiedzieć, komu zależało na śmierci ojca, i z nim się rozliczyć. Jeżeli mi powiesz, daruję ci życie. To jak będzie? Powiesz mi?

Propozycja kusila, ale miała dwa minusy. Po pierwsze, tego się nie mówi, ale z tym akurat mogłem sobie poradzić. Natomiast istniała minimalna szansa, że mi nie uwierzy, gdy powiem mu prawdę. Będzie przekonany, że go okłamałem, a jakoś nie miałem ochoty, by uznał mnie za kłamcę. Zwłaszcza niesprawiedliwie.

— Przykro mi, ale zasady zawodowe na to nie pozwalają. Natomiast co się tyczy moich przyjaciół, to w wewnętrznej kieszeni peleryny mam sakiewkę. Może ktoś by mi ją podał?

Nikt się nie ruszył.

— Trochę logiki! — jęknąłem. — Przecież gdybym chciał tu kogoś zabić, już dawno bym to zrobił, zamiast strzepić jęzor i ryzykować życie.

Król skinął głową i jeden ze strażników podał mi sakiewkę wyjętą z kieszeni.

Pozostali i tak przyglądali mi się, jakbym miał w niej demona.

A ja miałem tylko kilka fiolek ze sproszkowanymi ziołami.

Szefie... zaczął Loiosh.

Zamknij się łaskawie. Nie rozumiesz, że zyskują na czasie?! To nie to, co myślisz, a im powiem. Jeżeli chcecie ze mną ginąć, wolna wola.

No, to mów tak od razu!

— Zawartość tych flakoników należy dokładnie wymieszać i rozpuścić w wodzie. I dać do wypicia tym, którzy zostaną pokąsani. W ten sposób trucizna przestanie być groźna, zostanieie tylko trochę osłabieni, choć w pierwszym momencie może to wyglądać inaczej. Używałem tego, trenując je, i jak widać żyję. Chyba że się boicie pogryzienia...

Król spojrział na doradcę i powiedział:

— Zajmij się tym. I całą resztą.

Ten kiwnął głową i spytał:

— Jak?

— Ścięcie toporem.

— Cała podłoga się zajuszy! — zaprotestowałem.

— To się ją posprząta — odparł spokojnie. — Poza tym dlaczego cię to martwi?

— Względy estetyczne — odpaliłem, zastanawiając się, jakim też będzie władcą, bo coś mi mówiło, że jego tatuś mógłby się już paru rzeczy od niego nauczyć.

Posłano po topór, co — jak się okazało — musiało być nie takie proste, gdyż wcześniej zjawilo się pół setki zbrojnych. W końcu przynieśli coś, co od biedy mogło uchodzić za topór. Westchnąłem w duchu — coś musiało iść nie tak i odsiecz nie zdążyła. Najbliżej mnie stojący zbrojni odłożyli sulice i podeszli, spoglądając nerwowo to na oba jheregi, to na fiolki.

Szefie...

Poczekaj.

Przyjrzałem się z obrzydzeniem temu, co przynieśli. Była to bardziej siekiera do ścinania drzew niż uczciwa broń. Poruszyłem rękoma i w dłonie wsunęły mi się rękojeści noży do rzucania.

— Mam nadzieję, że choć ostra — powiedziałem.

— Jest ostra — zapewnił mnie Król.

Jego doradca ujął stylisko, dwaj strażnicy podeszli, by ująć mnie za ramiona i ustawić w odpowiedniej pozycji, a ja sprężyłem się do ciosu, gdy w pomieszczeniu zrobiło się nagle jasno od błękitnego blasku.

— Za długo zwlekaliście — oceniłem z satysfakcją.

— Przygotować się do ataku! — polecił młodzian.

W następnym momencie na środku sali pojawiła się Alera z Pathfinderem w dłoni, jakiś toból i Aibynn z nieodłącznym bębniem, wyglądający niczym wioskowy idiota.

— Do ataku! — wrzasnął Król.

— Stać! — krzyknęła Alera.

I jak się należało spodziewać, wszyscy posłuchali jej.

Ja zaś przyjrzałem się temu, co leżało na podłodze, i

stwierdziłem, że to nie coś, tylko ktoś, fachowo związany i zakneblowany.

A gdy rozpoznałem kto to, niewiele brakowało, bym wybuchnął śmiechem.

— Co to ma znaczyć? — zapał Król, bo głos mu się załamał.

— Jestem Alera e’Kieron z Domu Smoka. Mogę rozmawiać lub zabijać. Pozwolisz mi mówić?

Gdyby zamiast Aibynna wysłali Morrolana, rozmowy by nie było, a wynik byłby przesądzony. Alera jednak nie mogła tutaj używać magii, co ograniczało jej skuteczność. I postawiło pod znakiem zapytania wynik operacji ratunkowej. Coś się musiało stać, że Morrolan pozostał. Cóż, przynajmniej zginę w dobrym towarzystwie...

Króla aż podniosło z tronu — stał i przyglądał się to mnie, to jej. W końcu zdecydował:

— Mów.

— Proponuję wymianę — oznajmiła Alera, chowając Pathfinderę. — Oddasz nam zabójcę w zamian za tego, który go wynajął. Co ty na to?

Zaskoczyła go.

— No proszę... — mruknął. — Właśnie coś... nieważne. Wyjmij mu knebel, chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Alera i Aibynn postawili związanego i odkneblowali go.

Bluznął tak, że nawet mnie było wstyd, choć wszystkie inwektywy skierowane były właśnie pod moim adresem.

Król raczej szybko miał tego dość.

— Zamknij się albo każę ci ponownie zatkać gębę! I nie musisz tak nienawidzić tego, któremu zapłaciłeś za coś, do czego brak ci było odwagi. Nie zdradził twego imienia, choć złożyłem mu atrakcyjną propozycję.

Związany umilkł po pierwszym zdaniu, a gdy władca skończył, stwierdził:

— Nie mam nic wspólnego ani z tym, ani z żadnym innym zabójstwem na zlecenie.

Król zmarszczył brwi i spytał Alierę:

— Skąd mam wiedzieć, że to rzeczywiście on?

Aliera wyjęła zza pazuchy dwa zrolowane pergaminy. Nieco się pogniotły, ale ich treść nadal była czytelna. Podeszła i wręczyła mu je. Jednym był traktat pokojowy pracowicie spisany niedawno i podpisany przez obie strony, jak należało sądzić. Drugim...

— Pieczęć Cesarzowej rozpoznaję... — ocenił Król. — I własnoręczny podpis Zeriki... No tak... wszystko jasne... Dlaczego chciałeś śmierci mojego ojca?

Pytanie skierowane było do Boralinoiego, gdyż to on był tym fachowo związanym dodatkiem do Aliery i Aibynna.

— Nie chciałem niczyjej śmierci! To kłamstwo! Nigdy...

— Zabić go! — polecił zde gustowany władca.

— Ja to zrobię — zaoferowałem się na ochotnika.

— Dlaczego?

— Cóż... wszyscy słyszeli, jak mnie nazwał i do czego porównał. Mogę być zawodowym zabójcą, ale swój honor mam.

Król uśmiechnął się i polecił:

— Doskonale. Dajcie mu topór.

— Zatrzymaj sobie tę siekierę, mój dobry człowieku — powiedziałem do doradcy, który chciał mi ją wręczyć. — Nie mam zamiaru zrobić sobie krzywdy, a drwałem nie jestem. Mogę użyć noża?

Król skinął głową.

A mnie zachciało się śmiać.

Płynnym ruchem schowałem nóż do pochwy na lewym przedramieniu i pokazałem ten, który trzymałem w prawej. To, że dwaj zbrojni złapali w tym momencie Boralinoiego za ramiona i zmusili, by ukląkł, skutecznie odwróciło uwagę wszystkich ode mnie.

Podszedłem, a on znów zaczął kląć. Przestał dopiero, gdy zbrojny złapał go za dolną szczękę.

Czasami żałowałem, że muszę kogoś zabić. Czasami nie. Tym razem nie żałowałem. Złapałem go za włosy i oświadczyłem wyraźnie:

— Cóż, szefie: robota jest robotą, a słowo jest słowem.

I pchnąłem go w lewe oko, wbijając nóż aż po rękojeść.

Zawył, targnął się i umarł.

Zbrojni puścili ciało, które zważyło się bezwładnie na posadzkę.

Przyjrzałem się trupowi, nożowi tkwiącemu w oczodole i poczułem satysfakcję. Po czym przeniosłem spojrzenie na Króla, zastanawiając się, co będzie dalej.

Wracamy do domu! — oświadczył Loioosh.

Nie byłbym taki pewien...

Aliera kiwnęła na mnie.

A doradca odezwał się:

— Wasza Wysokość...

— Tak. — Król najwyraźniej przypomniał sobie o obowiązkach. — Ty możesz wracać, oni zostają.

Słowa skierowane były do Aliery.

Ta splunęła na podłogę z pogardą i spytała:

— To tak dotrzymujesz słowa?

— Nigdy nie dałem słowa.

— Zaczynam cię nie lubić — oświadczyłem.

Był uprzejmy mnie zignorować, patrząc cały czas na Alierę.
— Idź. Masz swój pokój. Zabójca jest mój.

Aliera miała inne zdanie na ten temat — dobyła z pochwy Pathfindera.

Korzystając z tego, że zwróciła na siebie uwagę wszystkich, doskoczyłem do stolika i złapałem swoją pelerynę, Spellbreakera i rapier. Ten ostatni wydobyłem półkolistym ruchem z pochwy, posyłając ją równocześnie w stronę Króla. Niestety zasłonił go strażnik, co było ostatnią głupotą, jaką w życiu zrobił — padł z pochwą wbity w serce. Bo pochwa mego rapiera także przeszła pewne modyfikacje.

Dobiegłem do Aliery i stanęliśmy plecami do siebie. Był to wręcz wymarzony moment do teleportacji. Albo nas, albo posiłków.

Nic podobnego jednakże nie nastąpiło.

Za to Alierą szepnęła:

— Są wyczerpani, trochę to potrwa.

— Wspaniale.

— Atak! — zarządził Król.

— Drzwi! — poleciłem.

Aliera prowadziła, oczyszczając drogę szybko, sprawnie i definitywnie. Za nią podążał Aibynn stanowiący pod względem bojowym czyste utrapienie. Tyły zaś zamykałem ja, dźgając rapierem i machając peleryną. Loiosh i Rocza atakowały z góry, uzupełniając moje wysiłki. Wrzaski, jęki i krzyki zwiększały zamieszanie, ale podłoga nie zdążyła stać się śliska od krwi.

To jest nie całkiem.

W korytarzu przed drzwiami zamieszanie osiągnęło apogeum, bo czekało tam na nas ze dwudziestu samobójców. Przeszliśmy przez nich bez strat.

Tym razem podłoga była śliska od krwi.

— Gdzie teraz? — spytała Alera, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz.

— W nogi! — zaproponowałem.

— Ale gdzie?!

— Za mną! — Aibynn pierwszy raz wykazał inicjatywę.

— Moment — sprzeciwiła się Alera.

Wycelowała czubek Pathfindera w drzwi i wymamrotała coś, gestykulując równocześnie lewą ręką. Huknęło i drzwi wraz z kawałem muru zwały się do wnętrza. Nim to się stało, zdążyło przez nie wyskoczyć trzech zbrojnych.

Spojrzeni na siebie, na Pathfindera i znów na siebie.

— To jak będzie? — spytałem uprzejmie.

Nic nie powiedzieli.

I nie drgnęli nawet, gdy ruszyliśmy w drogę.

— Co to było? — spytał Aibynn.

— Magia przedimperialna — poinformowałem go.

— A co to takiego?

— Skuteczność dostępna dla niewielu — wyjaśniłem.

— Aha.

Obejrzałem się — trzech zbrojnych zabrało się do usuwania rumowiska blokującego wyjście z budynku.

Rozsądne chłopaki.

Biegiem dotarliśmy do lasu, kierując się mniej więcej w stronę, z której przyszliśmy. Kiedy znaleźliśmy się na tyle głęboko wśród drzew, że za nami widać było także tylko drzewa, zrobiliśmy przerwę dla nabrania oddechu. Kiedy mogłem już mówić, powiedziałem:

— Serdeczne dzięki, Alera.

— Drobiazg. Mam nadzieję, że nie popsuło to twego planu?

— Wręcz przeciwnie. Jak weszłaś w posiadanie Boralinoiego?

— Prezencik od Cesarzowej.

— Wiedziałaś, że był niewinny?

— Śmierci Króla może. Ale działania na szkodę Imperium był winny.

— Tak powiedziała?

— Tak.

— No proszę. A jak dotarłaś tu tak szybko? Mówiłaś, że...

— Tym się właśnie zmęczyli, i to mimo wykorzystania Kuli.

— Kuli?

— Aha.

— Rozumiem, że nic nie rozumiem — przyznałem i spytałem
Aibynna: — A ty jak się tu znalazłeś?

Wzruszył ramionami.

— Zabrałem się przy okazji. Pomyślałem, że będę mógł wam pomóc się wydostać.

— W jaki sposób?

— Cóż... umiem grać na bębnie.

Mowę mi odebrało.

Co ty na to, Loiosh?

Nie wiem, szefie... można mu zaufać?

Ja też nie wiem. To ciągle...

A potem zatkało mnie ponownie, gdyż Rocza przeleciała z mojego ramienia na ramię Aibynna. Zaskoczyło go to, ale zachował się.

Rocza mu ufa, szefie.

Widzę.

Westchnąłem ciężko i powiedziałem:

— No to graj.

— Usiądźmy — zaproponował.

Usiedliśmy.
A on zaczął bębnić.

Lekcja siedemnasta

Postępowanie z kierownictwem II

Przyjrzałem się białemu korytarzowi i oceniłem:

— Albo Cesarski Pałac, albo...

Aliera była zdecydowana:

— To na pewno nie jest Cesarski Pałac.

Aibynn nadal siedział, tyle że już nie bębnił. Wydawał się zmęczony, ale uśmiechał się słabo i z zadowoleniem.

— Jak się tu znaleźliśmy? — spytałem.

— Jego zapytaj — odparła Aliera.

— No?

— Czasami, kiedy się bębni... to ciężko opisać... osiąga się miejsca... Nie czujecie tego?

Oboje odpowiedzieliśmy równocześnie.

— Nie.

— To ja.

— Tak.

— Aliera.

Szefie...

— No dobrze, może — ustąpiłem. — Ale dlaczego akurat to miejsce?

— Oboje o nim myśleliście.

Jeśli chodzi o mnie, zgadzało się: myślałem, jak miło byłoby powiedzieć Verze parę słów prawdy na koniec. Natomiast wyobrazić sobie nie mogłem powodów, dla których Aliera o niej

myślała...

— Dlaczego ty? — spytałem.

Dokładnie w tym samym momencie, w którym ona to zrobiła.

Wzruszyłem ramionami, spojrzałem na Aibynna i spytałem:

— Więc ty zawsze byłeś tylko muzykiem grającym na bębnie?

Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, wyglądał na naprawdę zaskoczzonego.

— Chcesz powiedzieć, że mi nie wierzyłeś?

— Ujmijmy to tak: zastanawiałem się.

Alera wstała i oznajmiła zdecydowanie:

— Chodźmy!

Ponieważ wyglądało na to, że zna drogę, poszliśmy posłusznie za nią.

Po krótkim spacerze dotarliśmy do znajomych rzeźbionych drzwi. Tym razem obie połówki stały otworem. Kota nie było, ale wydawało mi się, iż dostrzegłem kogoś lub coś pośpiesznie kryjące się za tronem. Ponieważ nie byłem pewien, nie odezwałem się. Za to Verra siedziała na miejscu.

— Witajcie — powiedziała.

— Witaj, matko — odparła Alera.

Odebrało mi mowę.

— Kim jest wasz przyjaciel i co was tu sprowadza?

— Nazywa się Aibynn — odpowiedziała Alera. — Sprowadził nas tu, by nas uratować.

Nadal nie mogłem wyjść z szoku.

— Rozumiem. Mam was odesłać czy też jest może coś jeszcze, co mogę dla was zrobić?

— Odeślij nas, mamu. Musimy.

— Przepraszam — wtrąciłem, zmuszając umysł i język do pracy. — Mówisz dosłownie?

— Co mówię? — zdziwiła się Alieria.

— Że ona jest twoją matką.

— A, tak. A co? Nie wiedziałaś?

— Nigdy mi nie powiedziałaś!

— Nigdy nie zapytałaś.

— A skąd mogłem... dobra, nieważne. Verro, gdybyś była tak uprzejma, chciałbym, żebyś ich odesłała. Mam ci do powiedzenia coś, czego nie muszą słyszeć.

Alieria spojrzała na mnie ostro.

— Nie podoba mi się twój ton, Vlad.

Nim zdążyłem się odezwać, Verra rzekła:

— Ma powody.

Alierze nie przypadło to do gustu, ale skapitulowała.

— No dobrze.

— Na długą rozmowę nie mamy czasu, Vlad — ostrzegła Verra.

— Bo spóźnisz się na spotkanie.

— Jakie znów spotkanie?

— Z Cesarzową.

— To my jesteśmy umówieni?

— Owszem. Morrolan miał ci to przekazać, gdy tylko się zjawisz w Czarnym Zamku, ale mogłam to zrobić i ja. To niczego nie zmienia.

Oblizalem wargi i powiedziałem, patrząc na Aibynna:

— W takim razie spotkamy się przed głównym wejściem pałacu.

— W porządku.

Nadal wyglądał na zmęczonego. Dziwne.

Verra także miała mu coś do powiedzenia:

— Zainteresowałeś mnie, grajku. Być może kiedyś będziesz chciał dla mnie zagrać.

— Jasne.

Mogłem go uprzedzić, że praca dla Bogini Demonów nie zawsze daje oczekiwane skutki, ale nie chciało mi się. Poza tym nie chciałem być nieuprzejmy przy świadkach.

Alera podeszła i pocałowała ją w policzek.

Verra uśmiechnęła się prawie czule.

Alera cofnęła się, skinęła głową i oboje z Aibynnem zniknęli.

Już otwierałem usta, gdy zza tronu wyłoniła się mała dziewczynka.

— Witaj, Devero — powiedziałem.

— ...bry, wujku Vlad.

— Dlaczego się chowasz?

— Bo mama nie może mnie jeszcze zobaczyć.

— A dlaczego?

— Bo to by popsuło sprawy.

— Aha. A więc to jest twoja babcia?

Devera uśmiechnęła się i zamiast odpowiedzi wdrapała się Verze na kolana.

Szefie, to tylko ja czy wszystko powariowało? — upewnił się Loioosh.

Na pewno nie ty. Jak już, to my obaj.

A! Miło słyszeć.

Verra odezwała się pierwsza:

— Przykro mi, że to wszystko się wydarzyło.

— I słusznie.

— Pomogłam uratować ci życie.

— Ano. Dzięki. Jak sądzę.

— Chcesz mi coś powiedzieć?

— Chcę. Dość skutecznie spieprzyłaś mi życie, a co ważniejsze zmanipulowałaś wydarzenia tak, że przez moje działanie zginęły

setki ludzi, Dragaerian nie licząc. Nie wiem dokładnie, co chciałaś osiągnąć, i prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie to. Wiem natomiast, że nie chcę więcej mieć z tobą nic wspólnego. Wyraziłem się jasno?

Devera wyglądała na nieszczęśliwą, ale nie odezwała się słowem.

Natomiast Verra powiedziała:

— Rozumiem, Vlad. I nie mam ci tego za złe. Jeszcze nawet nie wiesz, kim naprawdę jesteś. Zaczynasz nowy etap życia i proponuję, żebyś najpierw sprawdził, jakie ono będzie, zanim podejmiesz podobne do tej decyzje.

Zanim zdążyłem coś odrzec, Devera zjechała z jej kolan, podeszła do mnie i złapała za rękę.

— Nie złość się, wujku. Ona chciała dobrze.

— I... — zacząłem.

Po czym spojrzałem w dół, potrząsnąłem głową i nic nie powiedziałem.

— Czekają na ciebie w Cesarskim Pałacu — przypomniała Verra.

— Po co?

— Zobaczysz. I myślę, że spotkamy się jeszcze, Vlad, niezależnie od tego, co w tej chwili uważasz.

Pomieszczenie zawirowało i zniknęło, nim miałem okazję się odezwać.

* * *

Zawsze uważałem, że życiu nie brak ironii.

— I własnym postępowaniem, z narażeniem życia... — perorował dostojnie szambelan, odczytując dokument tak

gromkim głosem, że echo prawie się od ścian odbijało.

A ja miałem poważny problem, gdyż nie mogłem zrobić żadnej z dwóch rzeczy, na które miałem przemożną ochotę — obejrzeć się, by zobaczyć minę Soffty, ani ryknąć śmiechem.

— ...co z pewnością kosztowałyby życie tysięcy obywateli Imperium...

Loiosh oczywiście nie był żadną pomocą czy podporą duchową. Siedział na moim ramieniu, rozglądając się dumnie, jakby to właśnie on był honorowany. Ba, jakby mu się to słusznie należało.

Nawet pogadać z nim nie mogłem!

— ...i wszystkie ziemie wokół jeziora Szurke położonego w księstwie Eastmanswatch na odległość...

Uprzejmi byli, nie można powiedzieć — dali mi nawet poduszkę pod kolano, żeby mnie nie rozbolało. Z szarym jheregiem na czarnym tle. Ponieważ oczęta miałem skromnie spuszczone — było to najbezpieczniejsze przy ogarniającym mnie wewnętrznym pustym śmiechu — wyraźnie widziałem fragmenty wyszywanego skrzydła, których nie zasłaniało kolano.

I to mnie jeszcze bardziej rozbawiało.

— ...jak też wszystkie prawa i przywileje należne tytułowi dla niego i jego potomków, jak długo Imperium...

Bądź co bądź dorównałem Cawti tytułem... Przelotnie zastanowiłem się, jaka by też była reakcja Cawti na wieść o moim hrabiostwie, ale szybko zdecydowałem, że wolę nie wiedzieć. Być może najbardziej w tej nowej Cawti brakowało mi poczucia humoru.

— ...herb, w którym Imperialny Feniks znajduje się ponad symbolem Domu Jherega... — Tu biedak prawie się zatchnął.

Byłem ciekaw, czy kiedykolwiek imperialny tytuł, to jest tytuł

wraz z dobrami, został nadany komuś z Domu Jherega. Sądząc po reakcji szambelana, było to mało prawdopodobne. Natomiast na pewno nie został nadany żadnemu człowiekowi.

Zacząła mi wracać chęć do życia, gdy to sobie uświadomiłem.

— ...herb umieszczony będzie w Rejestrze Imperium po wieczne czasy. Usunięty zaś może zostać jedynie w wyniku jednogłośnego głosowania Rady Następców i Cesarza...

Jeszcze tylko tego mi do szczęścia brakowało! Kolano mimo poduszki zaczęło drętwieć. A ja nagle zdałem sobie sprawę, że nie bardzo wiem, czy na zakończenie tego jublu mam coś powiedzieć, czy też wręcz przeciwnie.

Zdecydowałem, że tylko się ukłonię.

— ...otrzymuje tytuł hrabiego Szurke oraz prawo ferowania wyroków na swych ziemiach oraz staje się odpowiedzialny...

Wracając do ironii, to na szczyt tejże zakrawało, iż nie miało to najmniejszego wpływu na moje bezpieczeństwo. Imperium nie było w stanie mnie obronić, a organizacja choćby chciała, nie mogła odwołać polowania. Inna sprawa, że wątpię, by chciała — w końcu zdradziłem członka rady, o zabiciu go nie wspominając.

A wszyscy z Alierą na czele tak się starali uratować mi życie...

— ...stoi teraz przed Cesarzową, by otrzymać...

W mojej sytuacji tytuł i włości były, praktycznie rzecz biorąc, pustym gestem. I byłem ciekaw, czy Cesarzową też to śmieszy. Czy doprowadza do furii...

Ceremonia w końcu dobiegła końca i mogłem wstać. Jak tylko okazało się to wykonalne, wymknąłem się z sali tronowej i skierowałem w stronę wyjścia. I natknąłem się na Aibynna obserwującego przechodzących i bębniącego monetami po marmurowej poręczy. Ładnie dźwięczało.

— Gdzie idziesz? — spytał.

— Po żonę. I chciałbym cię prosić o przysługę. A raczej o uprzejmość.

— Jaką?

— Chciałbym dostać od ciebie klejnot Feniksa, który miałeś na szyi.

Zmarszczył brwi, ale potem wzruszył ramionami i powiedział:

— Zgoda, weź go sobie. Został na stole w zamku.

— Jesteś pewien, że nie będziesz go potrzebował?

— Pewnie. A jeśli będę, to coś wymyślę.

— Dziękuję, Aibynn.

— Nie ma za co. A co ty masz na szyi?

— Amulet, żeby nie rzygać po...

— Nie. To drugie.

— To? Symbol tytułu baroneta, który nic nie znaczy. Podoba ci się? To weź w zamian.

— Nie, tak tylko pytałem. Gdzie się udasz?

Potrząsnąłem głową.

— Nieważne. A ty? Na wyspę wrócić nie możesz.

— Przynajmniej na razie. I nie chcę. Tu mi się podoba, a poza tym gracie znacznie prymitywniej na bębnach.

Uśmiechnąłem się, żałując, że nie zobaczę min paru znajomych muzyków, gdy im to powie.

— To może się kiedyś spotkamy.

— Pewnie tak.

— I jeszcze coś, Aibynn...

— Tak?

— Myślę, że mylisz się co do bogów.

— Pod jakim względem?

— Według mnie jeśli bóg robi coś złego czy odrażającego, to nadal pozostaje to złe i odrażające.

— W takim razie czym jest bóg?

— Nie wiem.

— Może więc się dowiesz.

— Może. Dziękuję.

Skinął mi głową i wrócił do bębnienia po poręczy.

Ja zaś doszedłem do skrzydła Ioricha, gdzie okazało się, że muszę czekać z godzinę, nim zakończą wszystkie formalności związane z uwolnieniem Cawti.

Nie miałem na to ochoty, za to miałem sprawy do załatwienia.

Wyszedłem na ulicę i teleportowałem się, nadal ciesząc się z braku skutków ubocznych.

* * *

— Nie możesz mi tego zrobić — jęknął Kragar.

— Właśnie zrobiłem.

— Nie przeżyję pięciu minut!

— Przeżyłeś znacznie dłuższe okresy i to już parę razy.

— Tamto było czasowym zastępstwem, Vlad. Zostałem Jheregiem, bo nie mogłem być Smokiem, mimo że urodziłem się w Domu Smoka. Mówiłem ci, jak było: wydawałem w czasie bitwy rozkaz, ale nikt tego nie zauważał. Nie mogę...

— Ale...

— Pomyśl o pieniądzach.

Pomyślał.

— Tu masz rację — przyznał.

— Poza tym wszyscy, którzy tu pracują, są wobec ciebie lojalni. Znają cię i mają do ciebie zaufanie. I powiedz mi, jaką mam alternatywę? Ile teraz oferują za moją głowę?

Wymienił kwotę.

Nawet na mnie zrobiła wrażenie.

— I mówi się, że chcą broni Morgantich — dodał.

Wstrząsnęło mną, choć się tego spodziewałem.

— Sensowne — powiedziałem, siląc się na spokój.

Rozejrzałem się po biurze — nadal było pełne moich rzeczy, bo przecież aż do tego momentu było to moje biuro. Tarcza na ścianie... wieszak, na którym jak zwykle siedziały Loiosh i Rocza... ciemne koła na blacie od kubka z klawą... obrotowy fotel na kółkach mojego wynalazku... To był dom, w którym czułem się znacznie lepiej niż w mieszkaniu zwyczajowo jedynie zwanym domem.

— Myślisz, że możliwy będzie powrót? — spytał Kragar.

— Może. Ale nawet jeżeli będzie możliwy, nie wiem, czy będę chciał do tego wrócić. A gdybym chciał, to zawsze się jakoś dogadamy, albo zacznę od nowa w innym rejonie miasta.

Westchnął ciężko.

— Dogadać to się dogadamy. Ciężko mi będzie bez Melestava.

— I bez Kija.

Zamilkliśmy przez szacunek dla zmarłych.

Melestava jakoś wciąż nie mogłem znienawidzić. Natomiast Kija nadal mi brakowało. Był przyjacielem, z czego naprawdę późno zdałem sobie sprawę.

Nienawidziłem, gdy ginęli przyjaciele.

Ciszę przerwał Kragar.

— Będę w stanie jakoś się z tobą skontaktować?

— Nie. Jak już, to ja z tobą, ale nie za często.

— Gdzie się udasz?

— Nie wiem. Mógłbym zostać w Czarnym Zamku, ale zdechłbym z nudów. Na wschodzie już byłem, na południu jest morze, więc zostaje północ i zachód...

Kragar zamyślił się, a po chwili spytał:

— A co zrobisz z Południową Adrilankhą?

— Nie musisz się martwić. Co do tego terenu poczyniłem stosowne przygotowania.

— Już mi ulżyło.

Jeszcze raz rozejrzałem się po pokoju, z którym wiązało się tyle wspomnień...

Loiosh przysiadł na ramieniu Kragara, polizał go po uchu i przeleciał na moje ramię. Rocza wylądowała na drugim.

Wstałem.

— Pożegnaj ode mnie Kierę, Kragar — poprosiłem. — Powiedz jej, że nadal jestem jej dłużnikiem. I że nie wątpię, że zdoła mnie znaleźć, gdy będzie chciała.

— Powtórzę jej to — obiecał Kragar.

— Dzięki. Powodzenia.

I teleportowałem się.

* * *

Wyglądało to niczym przedstawienie po próbie generalnej. Znow czekałem na stopniach przed wejściem, aż wyprowadzą Cawti. Wyprowadzili — tym razem nie musieli wynosić, sama szła. A potem objęła mnie i przytuliła się, jakby robiła to z uczucia.

Też ją objąłem, zastanawiając się, dlaczego niczego nie czuję.

Loiosh i Rocza latali nad nami, obserwując okolicę.

— Opowiedz mi o tym — poprosiła Cawti.

Opowiedziałem jej.

Wszystko.

I zastanawiałem się, jak mogę tak spokojnie o tym mówić,

zupełnie jakbym nie brał w tym udziału. Nie doszedłem do tego, ale zakończyłem opowieść równie spokojnym głosem, jak ją zacząłem.

Gdy umilkłem, odsunęła się i spojrzała mi w oczy.

— Zabiją cię!

— Wątpię.

— A co ich powstrzyma?

— Mam plan.

— Jaki?

— Najpierw odpowiedz: wrócisz do mnie?

Nie odwróciła wzroku, tak jak się spodziewałem, lecz przyjrzała mi się uważnie. Tak jak komuś obcemu, kogo motywy próbuje się odczytać z zachowania i wyrazu twarzy. Nic nie powiedziała, ale było to wystarczającą odpowiedzią. Niemniej jednak odpowiedziałem za nią, bo nie lubię niedomówień:

— Zbyt wiele się wydarzyło i zbyt wiele się zmieniło. Ty się zmieniłaś za bardzo, by było to możliwe. Straciliśmy to, co nas łączyło, i wątpię, byśmy mogli stworzyć coś nowego. Nasze drogi się rozeszły i rozchodzą się nadal. I to wszystko. Na pewno na chwilę obecną, a prawdopodobnie na zawsze.

— Więc odchodzisz?

— Tak.

— A wrócisz kiedykolwiek? — spytała dziwnym tonem, jakby nie wiedziała, na ile tak naprawdę jej na tym zależy.

— Nie wiem.

Kiwnęła głową jakby na potwierdzenie własnych myśli.

— Kiedy? — spytała.

— Zaraz.

— Przykro mi, że tak to wyszło.

— Mnie też. Może bardziej.

— Interesy przekazałeś Kragarowi?

— Wszystkie poza Południową Adrilankhą.

— A z tym co zrobisz?

Skoncentrowałem się na przygotowaniu teleportu.

— Interesy w tej części miasta należą do ciebie — powiedziałem. — Jutro rano dostaniesz wszystkie papiery. Miłej zabawy.

I teleportowałem się na dziedziniec Czarnego Zamku.

* * *

Siedziałem z Alerą w bibliotece, czekając, aż dołączą do nas Sethra i Morrolan. Kwestię pozostania w Czarnym Zamku przedyskutowaliśmy już wcześniej, więc nie było sensu do niej wracać. Fakt, byłbym bezpieczny, ale za szybko zaczęłoby mi się nudzić. A z nudów człowiek głupieje i zaczyna robić rzeczy, których potem żałuje. Jak na przykład niepotrzebnie naraża przyjaciół...

Czarny Zamek, a zwłaszcza biblioteka, także wiązał się z masą wspomnień. Tu zawsze czułem się dobrze. Tu z przyjaciółmi planowaliśmy, świętowaliśmy i kłóciliśmy się. Tu też pomagaliśmy sobie, czasem wbrew woli zainteresowanego. Ściany tej budowli słyszały nasz śmiech, przycinki, przyrzeczenia pomocy i groźby wypatroszenia — czasami wszystko w ciągu paru minut...

Zauważyłem, że Alera mi się przygląda, i powiedziałem:

— Poznałem twoją córkę.

— Jaką córkę?!

— Dowiesz się.

— O czym ty bredzisz?

— Zapytaj matki. Coś mi się wydaje, że czas dziwnie się zachowuje w jej sąsiedztwie.

Zamiast odpowiedzi powiedziała:

— Będzie mi ciebie brakowało.

— Prawdopodobnie wrócę...

— Członkowie organizacji mają długą pamięć.

— Ja też. Ale mimo to...

— Co będziesz robił?

— Nie wiem. Wiem, że chcę być sam. Jak mi przejdzie, dam ci znać.

— Nie bardzo mogę to sobie wyobrazić.

— To, że chcę być sam? Mnie też to dziwi. Zresztą całkiem sam nie będę: będą ze mną Loiosh i Rocza.

— Mimo to...

— Wiem. Pewnie znajdę jakieś miejsce, gdzie będą ludzie czy Dragaerianie, żebym mógł ich nienawidzić generalnie i lubić indywidualnie. Teraz nie mam jednak ochoty na niczyje towarzystwo, to wiem na pewno.

Zapadła chwila ciszy, którą postanowiłem szybko przerwać.

— Wiele ci zawdzięczam.

— Ja zawdzięczam ci życie.

— Ja tobie także, i to parokrotnie. Czasami żałuję, że nie znam przeszłości, zwłaszcza początku...

— Sethra może to załatwić.

— Nie teraz.

— Mogłoby ci to pomóc dojść do ładu, zrozumieć, kim naprawdę jesteś.

— Znajdę własny sposób.

— Zawsze tak robiłeś...

Nim spytałem, co miała dokładnie na myśli, dołączyli do nas

Sethra i Morrolan. Przyjrzałem im się i powiedziałem:

— Wygląda na to, że czas się pożegnać. Chwilowo, ale jednak.

— Życzę ci szczęścia w podróży — powiedział poważnie Morrolan. — Będę uważał na twojego dziadka.

— Dziękuję.

— Sądzę, że się spotkamy, i to prawdopodobnie w tym życiu — dodała Sethra. — Jeśli nie, to na pewno w następnym.

— Tak czy owak będzie to inne życie — odparłem.

— Masz rację.

I na tym skończyły się pożegnania.

Wyszedłem.

* * *

Z dziadkiem porozmawiałem na samym końcu.

— Dobrze wyglądasz — powitał mnie.

— Dziękuję.

Pierwszy raz w dorosłym życiu wyglądałem jak człowiek, nie jak elf z Domu Jherega. Co prawda ubranie miałem swoje, ale przefarbowane: peleryna miała zieloną barwę, spodnie też, koszula była błękitna, a kaftan miałem skórzany.

— W tych warunkach musiałem się zamaskować — dodałem.

— A jakie to warunki, Vladimir?

Opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami. I to, co się stało, i to, co sobie zaplanowałem na dającą się przewidzieć przyszłość. Oraz to, co według mnie powinien zrobić.

Gdy skończyłem, potrząsnął przecząco głową.

— Nie jestem władcą, Vladimir. Nie mam daru rządzenia nawet małą posiadłością.

— Noish—pa, niczym nie będziesz musiał zarządzać. Właśnie

o to chodzi, że nie będziesz musiał nic robić. W majątku żyje ze setka Teckli z rodzinami i kilkanaście ludzkich rodzin. Jak dotąd radzą sobie dobrze bez niczyich rządów, więc nie trzeba niczego zmieniać. Z nadaniem tytułu wiąże się pensja wypłacana przez Imperium. Wystarczy ci na życie, i to dostatnie. Chcę po prostu, żebyś udał się nad jezioro i zamieszkał w zamku czy rezydencji, czy co tam jest, bo coś jest na pewno. Jeżeli chłopci przyjdą do ciebie z problemami, nie wątpię, że znajdziesz dobre rozwiązania, ale prawdę mówiąc, prawdopodobnie nie przyjdą. Będziesz miał spokój, będziesz mógł robić, co chcesz, i będziesz u siebie. A to całe Szurke leży na zachód od Peppersfield, czyli w górach na zachód od Fenario, więc będziesz blisko swoich stron rodzinnych. Trudno o lepsze miejsce.

Zamyślił się głęboko.

A potem kiwnął głową na znak, że się zgadza.

— A co z tobą? — spytał.

— Nie wiem. Na razie muszę uciekać. Jeżeli sytuacja się zmieni i uznam, że to bezpieczne, wrócę.

— A twoja żona?

— To już przeszłość. Skończone.

— Rzeczywiście?

— Tak. Istnieje cień szansy, iż może po jakimś czasie to się zmieni, ale tylko cień.

— Ostatniej nocy rzucałem piasek, Vladimirze. Pierwszy raz od dwudziestu lat. Pytałem, co ze mną się stanie. Czułem moc i symbole były jasne: powiedziały, że doczekam się prawnuka. Myślisz, że piasek się mylił?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Ale żebyś ty się doczekał prawnuka, ja muszę żyć, żeby go zmajstrować.

Pokiwał głową.

— Dobrze mówisz, Vladimir. Zrób, co musisz. Udam się nad to jezioro i będę tam żył, żebyś mógł mnie znaleźć, gdy będziesz w stanie.

— Na pewno cię znajdę. Jak tylko będę mógł.

Epilog

Było takie miejsce, które pamiętałem doskonale, a które dla nikogo innego nie miało znaczenia. Praktycznie można by uznać, że nikt inny nie miał pojęcia o jego istnieniu. Była to polanka w środku tropikalnego lasu, porośnięta wysoką trawą i częściowo osłonięta konarami potężnego dębu. Jej brzegi porastały krzaki, ale nie z rodzaju kolczastych. Miałem jej obraz wyryty w pamięci, gdyż tu właśnie rozpoczęła się moja kariera zawodowego zabójcy. Piękno i różnorodność przyrody tak wtedy, jak i teraz nie miały dla mnie najmniejszego znaczenia. Być może zmieni się to w przyszłości.

A być może nie.

Gdzieś z lewej strony zaśmiała się przeraźliwie chreotha, przędcąc sieć na norską czy inną wiewiórkę. Pnącza porastające dąb zafalowały pod wpływem wiatru, wydając odgłos podobny do leniwych uderzeń batem. Gdzieś w górze załkał trzęsitobolek. Było przyjemnie chłodno, a równocześnie był to czas kwitnienia wielu kwiatów — lilie i kamienniki czułem wyraźnie, mimo że rosły za pasem krzewów.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że jest wiosna, bo dotąd na pory roku zwracałem niewielką uwagę.

Polana przywoływała wspomnienia — to tu dostałem jajko, z którego wyklął się Loioosh. Być może właśnie w tym momencie moje życie zatoczyło koło. Tutaj zacząłem być zabójcą i tutaj skończę...

A może był to tylko przerywnik.

Loiosh i Rocza milczeli.

A wokół nie było nikogo — Adrilankha leżała daleko, a w promieniu wielu mil nie było miast czy nawet większych osad.

Byłem sam.

Nie chciałem nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać, a klejnot Feniksa, który miałem na szyi, uniemożliwiał zarówno kontakt telepatyczny, jak i odnalezienie mnie przy użyciu magii śledzącej. Czy zresztą jakiegokolwiek innej — dla każdego adepta byłem po prostu niewidzialny. Miałem przy sobie pełen zestaw uzbrojenia, co mogło wydawać się absurdalne, ale wolałem być przygotowany na wszelkie okoliczności, a liczyć na to, bym mógł poręczne elementy szybko zastąpić, byłoby w tych warunkach naiwnością. Jeżeli natomiast okaże się, że taki arsenał nie jest mi potrzebny, zawsze można go zmniejszyć. Poza tym miałem odzież na zmianę, zapasową parę butów, pełną sakiewkę i kilka drobiazgów, które uznałem za niezbędne.

Nie rozczulałem się nad sobą, choć była to doskonała okazja. Decyzję podjąłem świadomie i czekało mnie nieznanne. A wyzwania zawsze mnie podniecały. Teraz czułem się tak, jak na robocie, gdy cel właśnie wchodził w rejon wybrany przeze mnie na miejsce zamachu.

Nie wiedziałem, co mnie spotka ani kim się stanę, o ile w ogóle stanę się kimś innym. Nie wiedziałem, czy najpierw dojdę do ładu sam ze sobą, czy też znajdą mnie wysłannicy organizacji. Mogło też zdarzyć się coś innego, czego nie da się przewidzieć, mógłbym choćby się zakochać...

Ta ostatnia możliwość spowodowała, że się uśmiechnąłem i zaprzestałem bezcelowych rozważań.

I rozpocząłem marsz na zachód.